

DZIEŁA WINCENTEGO POLA

TOM III.



MIKOŁÓW G.-ŚI.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KAROLA MIARKI.



7580 s

7578 s / III

884-1

ZBIORY SLASKIE

Akc K Nr 104 / 75 / 5

PIEŚŃ
O
DOMU NASZYM

Tego mnie matka nasza niegdy nauczała,
Gdy śpiącemu w kolebce święty hymn śpiewała;
A choć się z moim losem na lepsze zmyliła,
Co jednak Bożym duchem tętniała, to ziściła.

Woronicz.

I.

Nim ta struna jeszcze pęknie,
Zanim wyda jęk ostatni,
Niech od serca na niej brzęknie
Po staremu śpiewak bratni.

Pieśni moja! wracam do Cię
Z tem pragnieniem, w tej tęsknocie,
Z jaką człek na młodość patrzy,
Na kamieniu starcem siadłszy.

Pieśni moja! wracam do Cię:
Myśli krocie, cierpień krocie
Przeszły niby zawierucha
Przez to serce i przez ducha.

Pieśni moja! wracam do Cię —
A i świadcz ty o żywocie:
Niech rozplynie tu się w śpiewie,
Co paliło jak zarzewie.

Pieśni moja! wracam do Cię:
Prowadź duszę w tej prostocie
Serca — ducha — myśli — słowa —
I niech w Tobie się przechowa,
Co tam dane było z góry,
Na rozkosze i tortury!...

Pieśni moja! wracam do Cię —
Coś w miłości i pieśzczocie
Kołysała serce z młodu,
Kiedym wchodził do Narodu.
Czarodziejko! ty mnie powiedz,
Czyś mnie wiodła Bożą drogą;
Czyś mnie zwiodła na manowiec,
Że dziś niemam już nikogo.

Czarodziejko! Twoje lica
I dziś świecą mi uroczo,
Jak w pół-świetle blask księżycy,
Gdy go srebrną dróżką stoczą
Górskie wody po potoku,
W nocnej ciszy i w uroku.

Czarodziejko! ja Cię jeszcze
Widzę taką, jakąś była,
Gdyś dawała tchnienia wieszczę;
Kiedy słowa Boża siła
Żyła we mnie, żyła w Tobie —
W ziemi Ojców i na globie.

Czarodziejko! po co stajesz
Tu przedemną, w Twym uroku.
Czy ty jeszcze mnie poznajesz?
Czy się przejrzę w Twojem oku?
Czy Cię jeszcze ująć mogę,
Zniewoloną jak w zaraniu?
O! to daj mi łzę na drogę
Czarodziejko, przy rozstaniu!
Niech to serce się ukoj. —
To i powiedz, gdzie są moi?

To mi powiedz, u tej bramy,
Czym ja jeszcze jest ten samy?
Powiedz, gdzie są duchy one,
Mirą nieba namaszczone,
Co przedemną krocząc przodem,
Wielkich dziejów Bożym chodem,
Ducha mego w dzieje wprzędły?
Gdzie jest wieniec ich niezwiędły,
Co ozdabiał jasne skronie?
Gdzie ich serca — gdzie ich dłonie,
Którym ściszał tak bezpiecznie,
Jakbym z niemi tylko wiecznie
Miał stać w życiu sercem — czołem —
Przed Narodem i Kościołem. —

Pieśni moja! na zaklęcie
Duchów onych — stań jak z młodu!

I bierz serce me w objęcie,
I chodź ze mną do Narodu!
Jam świąteczne tylko chwile
Mego serca — mego ducha
Oddał Tobie — to o tyle
Proszę tylko — wspieraj druha! —
Co przed laty jest poczęte
Za twą sprawą, niech dojrzewa;
I co było w życiu święte,
Niechaj jeszcze pierś dośpiewa. —

Ducha karmę — niebios rose,
Komu sercem złożyć? — komu? —
A czy wiecie, co Wam niosę? —
Dziś Wam niosę „Pieśń o Domu“.

Pieśń o starym domu naszym,
O Piastowym domu Laszym,
Co na roli Ojców stoi,
Z lat tysiąca w ziemi twojej.

Więc przyjdź do mnie bracie młody,
Bo na wielkie spraszam gody,
Do wielkiego dziadów stołu —
I odprawiam je pospołu.

Nie jest moje, co przynoszę —
I zrozumieć to potrzeba,
Gdy na ucztę dziadów proszę,
Że te dary dane z nieba.

Dzisiaj moi towarzysze,
Ja wam polski dom opiszę:
Jego skarby i nadzieje —
Jego węgly i koleje.

Czego woda nie zabierze,
Czego ogień wam nie spali,
Co nie odciąć ostrzem stali,
To ten dom Wasz w Panu strzeże.

Więc ni z drzewa, ani z cegły
Dom ten stawił wiek ubiegły:
Duch tu Polski budowniczym —
To nie zburzyć domu niczem!

Ni powodzią, ni pożarem,
Ani mieczem, ni rozbojem:
Bóg zamieszkał w domu starym —
Duch zamieszkał w domu twoim.

A dla wiary i dla ducha,
W ziemi dziadów śmierci niema:
Choć rwie wieków zawierucha,
Dom się w węglach swoich trzyma.

I dostoi — i przestoi
Wszystkie burze, wszystkie złości —
Bo krew dziadów we krwi twojej;
A kość żyje w twojej kości.

II.

Znasz ty Boga na niebiesiech —
A Ojczyznę znasz po Bogu?
Lud po dołach i po lesiech —
I pług Piastów na rozłogu?

I czy znasz ty bracie młody
Te spienione górskie wody,
Z tym oddechem — z tym uśmiechem,
Jakim Bóg je tylko darzy,
I o których serce marzy?

Jeśliś miłość pił u źródłu
Rajskich oczu — a w przyjaźni
Poznał człeka — a lud w boju,
A skarb duszy w wyobraźni.

Jeśliś kochał, walczył, wierzył,
Poznał prawdę — stwierdził w czynach,
Przebrnął morze — świat przemierzył,
Poznaj jeszcze łódź w Pieninach.

Jak cudowna modra żmija
Hen! Dunajec się przewija;
Jak odwieczne grają dумы,
Tak tam szumią jego szумы.

Jak dwa mury, w pion dwie skały:
W górze niebo — w dole woda —
Łódka szybka jak myśl młoda;
A na łódce sternik śmiały.

Stara Orlów to dziedzina:
Tutaj Czorsztyn — tam Niedzica —
Nowotargaska hen! dolina —
Nad Tatrami łyskawica.

A tu stoi łódź u brzegu;
Góral wita cię z uśmiechem —
Nie myśl długo — skocz z pośpiechem
I płyn, bo już łódka w biegu.

Gdy cię chwycą modre tonie
I na przepaść łódka zbieży,
Silniej drgnie ci serce w łonie,
Mocniej dusza twa uwierzy:
W skarby ziemi — w skarby nieba,
W siebie, w Boga i człowieka —
I uczujesz, że potrzeba
Wierzyć, kochać było z wieka
Ziemię — Boga — i człowieka.

Modre tonie i kipiele
Gdy zagrają w koło ciebie,
Tak ci porwą duszę śmieie,
Jakbyś skrzydła miał, i w niebie
Miał się oprzeć na tej łodzi;
Jakbyś w chmury z tej powodzi,
Miał wylecieć z łódką społem,
Nie żeglarzem — lecz aniołem.

Skarby chowa ziemia Lacka
I piękności, co Bóg stworzył;
Dziwnie cudne ziemskie cacka
Dał nam Pan Bóg — abyś ożył

Wielkim duchem w Ojców ziemi
I szedł torem za lepszymi. —
Więc gdy wdziękiem ziemia wita,
O skarb ducha Bóg zapyta.

Skarby ducha leżą w grobie,
Więc skarb z grobów dobyć tobie
Trzeba młody przyjacielu. —
Jeśliś poznał pieśń natury
Na Dunajcu, w onej łodzi,
To pieśń dziejów na Wawelu
Poznać Ci się jeszcze godzi;
Bo gra pieśnią grób ponury,
Duszy naszej taką wielką,
Że jest matką Rodzicielką
Wielkiej sprawy i ofiary,
I zakłamięm w ziemi starej.

Znasz ty Wiary tajemnicę,
I wieczności raj przeczyty? —
I Miłości rajskie lice,
I Nadziei święte nuty

Na dno życia — na dno duchem!
W głębi prawda niby w grobie;
Czego nie wziąć okiem, uchem,
To odszukasz tylko w sobie!

Na dno życia — na dnie waga,
Na dnie tylko prawda naga;
I świat uczuć rwie się z głębi,
Kiedy w sercu krew zakłębi! —

Na dno życia! — kto wypłynąć
Chce wraz z ludem z tej powodzi,
Ten jak w grobie musi zginąć,
Nim się w duchu znów odrodzi.

Na dno życia! — bo skonania
Prawda znana tylko w niebie:
Kto nie dobył Boga z siebie,
Temu niema zmartwychwstania!

Kto Cię patrzeć, czuć nauczy
I podsłuchać głos tej ziemi?
Kto Ci wielkie poda klucze;
Abyś duchem wielu ożył,
I przybytku drzwi otworzył,
I w nim stanął z Wybranemi?
Jest w podaniu tajemnica,
By ten żywot przysposobić
Dla rycerza i dziedzica,
Co tych skarbów ma się dobić. —
Znaj podanie twego rodu,
Wielkie dzieje twojej ziemi;
W dziejach świata prąd Narodu,
Sojusz dziadów ze Świętymi!

A wyniesiesz — i z pogromu
To, co wynieść z ziemi trzeba:
Zrąb polskiego twego domu;
A dla domu łaskę nieba!

III.

Synu ziemian i rycerzy!
Żywot bieży i wiek bieży —
Gdzie jest bracie twoja niwa?
Gdzie to Synu dom twój bywa?
Miedze poszły w świat przez pola;
Gdzież twe kopce i twa rola? —

Gdzież to szukać twego domu,
Twego domu — twego łomu —
I obejścia i ostrzeszy,
I miłosnej twej pieleszy?

Czy tam może kędy gwiazda
Dla pierwszego zeszła gniazda,
Co go orzeł sobie uwił? —
Czy tam może nad jeziorem,
Gdzie na wiecach wielkim wzorem,
Po raz pierwszy kmieć przemówił?

Na dno życia! — kto chce z Bogiem
Przetrwać wiernie czas żałoby.
Grób — wieczności świętym progiem:
A czy znasz ty Polskie groby?

Pójdź na Wawel! — z wolą Bożą,
Choć w pierwospach miasto leży,
I dzwon północ bije z wieży,
Nam się wszystkie drzwi otworzą.

Jak z wyższego nakazania,
Na zakłęcie zmartwychwstania,
Polskich grobów sklepy jękną,
I te wieka trumien pękna.

Tutaj uderz najprzód czołem,
Przed grobami i kościołem:
Lud co żywi, broni, wierzy,
We łzach tutaj krzyżem leży.

A tu przyłóż teraz ucho —
Czy rozumiesz, czy pojmujesz,
Jak tam w polskim grobie głucho —
I marmuru chłód czy czujesz?

Co zamarło w ciele skrzeplem,
Musisz duchem twym odtworzyć;
A i serca twego ciepłem
Ukochane musi ożyć.

A więc słuchaj, co Ci powiem:
Jeśli dziejów masz żyć zdrowiem,
Winy trzeba szukać w sobie —
Prawdy w wierze — życia w grobie. —

Innych skarbów w duszy niema:
Ach! i tylko tyle trzyma,
Co za siebie człowiek streści!
Bo i któż Ci duszo młoda,
Któż Ci skarby ducha poda
I te wielkie z nieba wieści?

Czy go szukać na podgórzu,
Na zarzeczu — czy podborzu?
Czy na stepie — na kopani —
Czy u morskiej tam przystani.
Czy go szukać w puszczy może,
Na zarąbku i przy borze?
Czy w opolu — czy w opłotku?
Na polanie — czy w przykmiotku?
Czy w zaciszu i przy wodzie?
Czy pod cieniem tej dąbrowy?
Czy przy mleku i przy miodzie —
W ziemi żyznej — czy w jałowej? —

Gdzie jest bracie twoja niwa,
Gdzie to Synu dom twój bywa?
Miedze poszły w świat przez pola:
Gdzież twe kopce i twa rola? —

Wszędzie, kędy ciche stadło
Przy ognisku z dziatwą siadło:
Wszędzie — wszędzie, gdzie przy kaszy
Ojciec matką dziatwę straszy:
Matka ojcem przy pacierzu,
A oboje straszą Bogiem:
Wszędzie — kędy w tem przymierzu
Człek za własnym żyje progiem —
I gdzie córę rosną światu,
Ciche jako kwiat bławatu;
Syny jak dębowe witki:
Gdzie jest dobra sława domu,
Gdzie jest wierzyć — służyć komu,
A z dostatku są pożytki:
Wszędzie — wszędzie, jak daleko
Ludzie sobie w Panu rzeką;
Jak daleko Ojców mowa
Czyste iskry z duszy kowa:
Jak daleko język sięga
I tych dziejów pamięć czuła —
I rzek siedmiu srebrna wstęga,
Ziemię dziadów twych osnuła...

Wszędzie — wszędzie, jak daleko
Człowiek pługiem ziemię mierzy;
Jak szeroko pieśni cieką
Starych kmieci i rycerzy;
Jak szeroko odgłos dzwonów,
I ów sojusz zaprzysięgły
Chwałę świętych Pańskich szerzy,
Wielkich ziemi tej patronów.

Wszędzie bracie — wszędzie, wszędzie
Pod twojego domu węgły,
Grunt bezpieczny dla Cię będzie —
I tak niskiej niema strzechy,
Gdzieby w łasce Pan nie stawał;
Gdzieby sercom Bóg nie dawał
Dusznej rosy i pociechy —
Tak niskiego niema progu,
Skądby wynieść duchem Pańskie
I rycerskie i kapłańskie
Niepodobnem było Bogu...

W tych granicach bracie młody
Szukaj domu i zagrody;
Bo w tym domu masz się schronić,
I te miedze masz obronić.

IV.

Gdzie to Synu twoja niwa?
Gdzie to Synu dom twój bywa?
Miedze poszły w świat przez pola:
Gdzie twe kopce i twa rola?

Puśćmy Synu się po kraju,
Na te sioła i dziedziny —
I poczyńmy oględziny,
W jakim żyją obyczaju,
Za kopcami i za miedzą,
Ci, co zdawna w ziemi siedzą?

Bo masz usiąść w domu twoim,
Za ich wzorem, za ich strojem,

I wziąć w polu — i wziąć w lesie,
Co obyczaj ziemi niesie:

I wziąć z chaty i ze dworu,
Z puszczy ciemnej i z futoru,
To, co wszystkim wspólne z rodu,
Z czego idzie wszystek watek;
Te masz przyjąć od Narodu
Obyczaje na początek.

Patrz! tu stara mszysta strzecha:
Dąb odwieczny ją ocienia —
To tu będzie i pociecha!
Bo co miłe jest z wejrzenia,
To i czyste w sercu bywa. —
Gospodarza głowa siwa:
Coś zadumał się głęboko,
I jak Piast na przyspie siedzi:
Znać gdzieś w przyszłość puścił oko,
Lecz nie znalazł odpowiedzi...

Tutaj Synu rzeknij w progu:
Pochwalony! — Sława Bogu! —
Na te słowa — patrz powstaje
I gościowi cześć oddaje,
I do chaty go prowadzi,
I za wielkim stołem sadzi:
Bo gdyś w Bogu go pozdrowił,
Toś przymierze ziemi wznowił,
I po Piaście dom stateczny
Wita gościa już bezpieczny. —

Chata roić się poczyną:
Ojciec zleca gościom Syna,
Matka córy — i nakrycie
Na stół daje — by przybycie
Gościa poczcic — „bo gość w domu,
To Bóg w domu“ — taka wiara,
Gdzie pod dębem chata stara.
Na kominek znieśli łomu:
Wszystko krząta się w popłochu:

Piast się spuszcza sam do lochu.
Zanim wróci miły bracie,
Rzućmy okiem po tej chacie.

Lampa płonie u siostrzenia,
Przed obrazem Matki Boskiej —
I jej światło rozpromienia
Dzieje domu; dzieje wioski.
Przy obrazie wota wiszą,
I dwie kule się kołyszą:
Jedna większa — to moskieska;
Druga z miedzi — to czerkieska;
I od kajdan odłamane
Wisi obok nich ogniwo;
A na wota poskładane
Patrzy Marja miłościwo. —
Więc gospodarz znać bywały,
I w ojczyźnie tej służyły,
Kiedy takie polskie wota
Są świadkami tu żywota.
Jest i palma i gromnica;
Bo pokoju palma znamię —
A wieczysta łask krynica
Kruszy strzały, gromy łamie.
Przed obrazem jest ołtarzyk —
Karawaka na nim leży;
Ewangelja, kalendarzyk,
I książeczka*od pacierzy.
Niżej nieco kropielnica;
A do koła wonne wianki:
Z siatki dziane są firanki —
I przybytkiem jest świetlica! —

Stół się okrył darem Bożym:
Piast przeżegnał bochen nożem,
I postawił na stół flaszę —
I powiada: „W ręce wasze!
Czem bogata stara chata,
Tem i rada — w ręce wasze:
Niech się smucą wrogi nasze!“ —

Wtem się ozwał dzwonek z wieży;
Więc najpierwsza matka bieży
I uklęka przed obrazem. —
„Anioł Pański zmówmy razem,
Gdy się jednym chlebem dzielem
I w gościnie tej weselem“. —
I jak mak siał — nawet trzpiotka
Na kominku mruczy kotka. —
Co drobniejsze, to na przedzie
Do bojaźni Bożej wiedzie
I modlitwy pani matka;
Starsi dalej — a z ostatka
Piaś z czeladzią razem klęczy;
A w obrazie niby w tęczy
Wszystkich oczy tkwią z tą wiarą,
Że modlitwa jest ofiarą.

O modlitwo wspólna domu!
Ty co chronisz dom od gromu
I od sromu — któż to zmierzy,
Jaka siła w tobie leży?

Tyś jest cnoty matecznikiem.
Bo modlitwy wraz z językiem
Uczy matka to pachole,
W tej żywota w pierwszej szkole.

Tu się we czci język łamie,
Aby Boże słowo głosił:
Tu przyjmuje Boże znamię,
Aby je na sobie nosił.
I choć w życiu się odstrzeli
Od kościoła i od Boga,
Gdy sprowadzą go anieli
Do takiego w powrót proga,
Gdzie bojaźni uczą Bożej,
Grzeszną duszę żal ogarnie
I łza serce upokorzy —
I z drugimi klęknę karnie
I uczuje ból straszliwy.
Choć najgorszy z domowników;

Bo tu bije ów źródło żywy,
Co ucieczką jest grzeszników.

O modlitwo wspólna wiernych!
Tyś dla domu twierdzą Bożą:
Tyś krynica łask niezmiernych —
Tyś ogniskiem — tyś i stróżą —
Dom po tobie idzie karnie —
I ty dajesz sytość chleba,
Gdy dostatek praca garnie,
Co się boi kary nieba.

V.

Synu gazdów i oraczy!
Czy wiesz co się tobie znaczy?
Czem to trzeba dom ozdobić?
Co świat daje, — Czem Bóg raczy? —
Ha! na wszystko trza zarobić,
O co serce się pokusi —
Wszystko człowiek zdobyć musi!...

Zdobyć! zdobyć! — owo sprawa!
Bo nic darmo się nie dawa.
Co Bóg daje, lub co Boże,
To jest tylko Ci zwierzone:
Co świat daje, lub dać może,
To wieczyście zaprzeczone...
I od chleba aż do nieba
Wszystko — wszystko zdobyć trzeba! —
I świat trzyma — i Bóg trzyma —
Więc bądź czuły na rozdroże;
Bo wyboru tutaj niema,
I w zakonie lub na sforze,
Będiesz musiał chodzić karnie —
I przejść zacie — albo marnie!

Są i skarby, co się bierze,
Których łaska Pańska strzeże:
Są i takie, co je niosą
Niby kwiaty jeszcze z rosą;

Co je sypie świat obficie,
I przystraja niemi życie,
I zatruwa niemi dusze,
I wydaje na katusze,
Po użyciu i przesycie...

Więc znać trzeba, co to warte
I na jaką pisać kartę?
Co Bóg dawa — co świat dawa —
A w czym człowiek za się stawą?
Co się spadkiem z domu bierze,
Dobre bywa i szczęśliwe,
Jeśli cnota spadku strzeże,
I podanie w domu żywe

Zmarnić łaski nie dozwoli;
Co i pracą i zasługą
Wyorana z Ojców roli
W pokoleniu biła strugą.

Lecz i spadek ten uroni,
Kto go w życiu nie obroni. —
Po zdobyczach człeka liczą —
I obrona jest zdobyczą!

Co świat daje, mało warte
I jak stary pieniądz starte:
Skarb nie chowa się pod wicheł —
Co ci obcy daje — liche! —
Choćby złocił i cukrował!
Co sam niesie, mało warte —
A to tylko bywa dobre,
Dzielne duchem, sercem chobre,
Co przed tobą dobrze schował;
Co od niego jest zdobyte,
Co mu gwałtem jest wydarte
Duchem — pracą — krwią obmyte!

Synu gazdów i oraczy!
Twardy żywot Ci sięaczy:
Zdobyć! zdobyć! owo sprawa!
Bo nic darmo się nie dawa —

I jedynie to posiędziesz,
Co na siłę sam zdobędziesz!

Trzeba zdobyć: pracę — zdrowie —
Siłę — męstwo — ducha — wprawę —
Miarę w oku — miarę w mowie —
I już z młodu dobrą sławę.

Trzeba zdobyć: rozum — wiedzę —
Zdobyc statek — zdobyć wolę —
Trzeba zdobyć dom i miedzę —
I zasługi własnej pole.

Trzeba zdobyć serce wierne —
Wiernych sprawie towarzyszy —
Zdobyc szczytne — zdobyć mierne —
Wiarą — pracą — w łasce — w ciszy.

Sam za siebie oracz orze:
Nikt Ci w pracy nie pomoże:
Sam utargać musisz wołu —
I dostatek twego stołu
Znieść i z bliska i z daleka —
Utrzyć konia i człowieka —
Utrzyć własną duszę hardą —
Utrzyć wolę pracą twardą —
Ukuć oręż na obronę,
I uzbroić się odwagą —
I obrabąć swoją stronę —
A to wszystko piersią nagą...

Czem stać będziesz w tej szernierce?
Kłęb odyniec — a wół rogiem —
Bóg Ci duszę dał i serce:
Dobrą wolą stój! — i Bogiem!

Dobrą wolę zdobądź z kraju;
Bo otwiera drzwi do rajów.
Po niej pracę — z tej mennicy
Wielcy ziemi tej dziedzicy
Na szafarzy szli bezpiecznych —
I dóbr ziemskich i dóbr wiecznych. —

I tak mądrze szafarzyli,
Jakby znali, że tu byli

Na przednowku i dorobku.
Zdobądź pracę miły chłopku!
To od grzechu wielka tarcza
I na żywot jej wystarcza...
Ona tylko świat weseli,
I nią sławne córy — syny;
Gdy po mieczu idą czyny,
Poświęcenia po kądzieli.

VI.

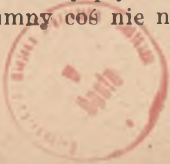
Gdzie to Synu twoja niwa?
Gdzie to synu dom twój bywa? —
Miedze poszły w świat przez pola:
Gdzie twe kopce i twa rola?

Poco prawić gołosłownie?
W życiu szukaj wielkich kluczy:
Świat to mędrzec, co wymownie
Prawd największych ludzi uczy.

Chodźmy w pola — mgły jak wianek
Hen! zawisły nad pagórkiem:
Piękny, chociaż chłodny ranek —
I szron biały za podwórkiem

Świeci oku blaskiem tęczy —
I po siatce tej pajęczej
Snuje pereł się tysiące —
I po ścierniach — i po łące.

Zdała słyhać wiejskie dzwony,
I lud tłumem ciągnie w bieli
Od kościoła, przez zagony. —
To znać pogrzeb będziem mieli!
Śpiew żałobny płynie rosą:
Ale trumny coś nie niosą?...



To po zmarłych upominek!
Po cmentarzu się rozbiegli;
Klęcząc każdy krzyż oblegli;
Więc i „wieczny odpoczynek!”
Dzień zaduszny serce święci,
I powszednie dzieje chaty,
I najcięższe życia straty
Stają żywo tu w pamięci...
Kmiecie stoją zadumani:
Śmierć nie straszna, lecz sąd Boski —
I niedola serce rani —
Owo całe dzieje wioski!
I na grobach każdy składa
Upominki i obiady —
I o swoich opowiada —
Owo dzieje polskiej chaty!

Za okopem palą Dziady
Na mogiłce zabitnika —
I trzask łomu lud przenika;
Bo dla takich trudne rady,
Co na własne życie godzą,
Lub ze świata w zbrodni schodzą.
Toć rok cały każdy wiernie
Co przejeżdża, co przechodzi.
Rzuca łomy, słomę, ciernie —
Bo i takim coś się godzi —
I gdy wzrośnie na mogile
Stos po roku, to go palą —
I pamiątki po nim tyle,
Że nad ogniem się użalą —
Bo i straszny, i czerwony,
Jak blask gromu, w nocnej tuczy —
I coś jęczy, i coś huczy,
Jak duch w mękach potępiony.

Dzień zaduszny! — Każdy składa,
Po pacierzu, na krzyżyki
Żółte wieńce śmiertelniki —
I sny nocne opowiada —

Sny wieszczego pełne ducha
I czyścowej pełne męki —
Więc w bojaźni każdy słucha —
I na grobach znowu w klęki.
Nie jednego duch nawiedził,
I upraszał o ofiarę —
Bo się dotąd będzie biedził,
Aż syn zmaże krzywdy stare.
Więc syn prosi gospodarzy
O ofiarę i przyczynę —
O ofiarę u ołtarzy —
Bo chce spłacić ojca winę.

Ktoś tam inny znowu prawi,
Że czerwony upiór póty
Nie zakończy swej pokuty,
Aż gromada krzyż postawi
Na mogile u rozdroża. —
Więc dumają, z cicha radzą —
I stanęło, że krzyż dadzą,
Kiedy taka wola Boża!

Ktoś znów inny widział we śnie,
Jak czyścowe te duszyczki
Po cmentarzu szły z kapliczki —
I śpiewały tak boleśnie
Matki Bożej wielką chwałę,
Że już odtąd noce całe
Spać nie może — a więc prosi
Dla duszyczek o trzy wianki,
I dla Marji o firanki —
Bo jak święta Pani zrosi
Łzami swemi grzeszną duszę,
To się kończą jej katusze.

Ktoś znów inny opowiada,
Że duszyczek tych gromada,
Już bielutka i wesola,
Szła z cmentarza do kościoła —
I że słyszał jak duszyczki,
Już szczęśliwe i weselne,

Niosąc w rączkach drobne świeczki,
Upraszały o kościelne
Światło Boga — i śpiewając —
I do okien tych pukając,
Skrzydełkami trzepotały —
Aż się zrobił już dzień biały —
Dzień zaduszny — aż na święto
Drzwi kościoła odemknęto:
Jak gołębi tedy stado
Obleciały już do koła
Cały kościół — i gromadą
Drzwiami wpadły do kościoła. —
Stoją kmiecie zadumani:
Próżno dumać — próżno prawić —
I to boli — i to rani —
Więc żywota nam poprawić.
I jak przyszli, tak wracają,
Zadumani i wzruszeni;
Gwarząc jeszcze, często stają —
Aż już znikli gdzieś wśród cieni.

Na cmentarzu tylko troje
Ludzi jeszcze pozostało:
Znać małżeństwo — bo tu dwoje —
A tam wdowa z dziatwą małą.
W trzy mogiłki młode stadło
Patrzy z żalem — a tam wdowa
Płacze — „Biedna moja głowa,
Że sierotą być nam padło!“
„Chodźmy żono“ — mąż powiada:
„Nie wypłaczem, nie wystojem —
Ot zabierzmy wdowę z trojem:
Stypę sprawić im wypada“. —
I zabrali wdowę ciesząc,
Co przybyła gdzieś zdaleka. —
A ode wsi bieży, spiesząc
Jakaś psina — i zaszczeka —
A więc patrzą: koło płota,
Pod piołunem — a na grobie
Siedząc, płacząc, jak sierota,
Jakaś nędza na mogile,

Aż usnęła w końcu sobie —
Bo jej rzekli tylko tyle:
„To grób matki, i znaj o tem:
Grób bez krzyża, a pod płotem!“
Stoją — patrzą wszystko troje —
Psina legła przy sierocie —
I nie pomną smutki swoje;
Lecz w litości i w szczerocie
Biedne dziecię z sobą wzięli,
I odchodzą ze cmentarza:
Psina przodem się weseli;
A na twarzy gospodarza
Myśl zabłyśnie i pociecha.
„Słuchaj żono — Bóg wziął troje:
Gdy bez dziatwy nasza strzecha,
Weźmy dziecię, to za swoje —
Wszak nie darmo świat to prawi,
Że gdzie chowa się sierota,
Bóg domowi błogosławi,
I słoneczko tam we wrota“. —
— „Bóg przemówił sam przez ciebie“ —
Rzekła żona — i przytula
Biedne dziecię już do siebie —
I rańtuchem omatula —
I przyjęli na gościnę:
Biedną wdowę z sierotami,
Błędne dziecię, błędną psinę —
I nie byli w sercu sami.

W moc modlitwy święta wiaro!
Co z duchami duchy łączy —
Co tak wielką mierzysz miarą,
Że się żywot tu nie kończy:
Wiarą w karę i w nagrodę —
W wspólność duchów i swobodę —
Dobrej woli — świętej woli —
Ty przyświecaj synom roli
Bo ty trzymasz to sumienie,
Jak na wodzy w ojców wierze;
I przykazań Boskich strzeże,
Co na pieczy ma zbawienie. —

Wielka wiaro tej prostoty!
Ty się trzymaj wiejskiej strzechy —
I od wdowy i sieroty
Bierz otuchy i pociechy! —

VII.

Z pierwszym krokiem drogi świętej,
Z tchnieniem duszy nieśmiertelnej,
Stoi w księdze wierzytelnej
Dług żywota zaciągnięty...

I dług pierwszy — Boże znamię!
I sumienie Ci nie skłamię
Dług ostatni — krzyża ramię,
Co w wieczności świeci bramie.

Miedzy pierwszym, co Ci gwiazdą,
A ostatnim — co Ci zbroją —
Wszystkie inne długi stoją —
I zacieżą nad twą jazdą;
Więc je wszystkie spłacić trzeba;
Bo zakłęcie poszło z nieba:
Spłacić — spłacić owo Pańskie —
Owo ludzkie — chrześcijańskie! —
Spłacić trzeba krew i kości,
I pieluchy i miłości.

Spłacić trzeba perłę cenną
Dobrej woli i ofiary —
I lżę każdą — noc bezsenną —
Wedle sprawy, wedle miary.

Spłacić trzeba życia wdzięki,
Co świat dawa na zaranie —
Każdy uścisk wiernej ręki,
Poświęcenie i kochanie.

Spłacić trzeba to, co dane,
I co w nas jest rozpoczęte —
I co z ziemskich skarbów złane —
I co ludzkie — i co święte —

I co tylko w drodze długiej
Padło sercu bez zasługi —
Dobre słowo — oko tkliwe —
Radę zdrową — pomoc żywą —
I przestrogi miłościwe —
I najmniejszą chęć życzliwą.
Splacić trzeba dobro jawne
I tajemne — splacić w rodzie —
Splacić w domu — i w narodzie,
Tak nieznane jak i sławne;
Bo krew długiem — imię długiem.
Czy za tarczą, czy za pługiem,
Wielkim długiem ojców czyny,
Ojców cnoty i wawrzyny:
Więszym jeszcze stare winy,
Z pokolenia w pokoleniu,
W księdze długów niezmazane,
A w modlitwie i w cierpieniu
Na Chrystusa rany zdane.

Bo są tacy, co nie płacą
Ani sercem — ani pracą —
Nie zaciężni, nie wysłużni —
Co nikomu nic nie dłużni —
Nie miłują, ani życzą —
Lecz stanęli tylko na tem,
Że świat liczą — albo ćwiczą —
I jak złodziej idą światem
Milczkiem, chyłkiem, pokryjому.
Na niesławę tego domu. —

Nieużyte, duchem sprośne,
Śmietne mózgi — serca postne —
Lekkoduchy i mitręgi,
Pod nieszczęsną ziemi gwiazdą —
Co nic nigdy nie zdobyli,
I nic nigdy nie splacili —
Lecz skalali stare gniazdo...
Im jak bydłu odlać cięgi;
Bo podlejsi tu od zwierza,
Jak gad zjadły żywot sączą;

Więc jak owad bez łyż skończą —
I w grób padną bez pacierza,
Bez czci ludzkiej, bez imienia,
Wymazani z pokolenia! —

VIII.

Kiedy wszystko zdobyć trzeba —
Wszystko spłacić — jak to zdołasz?
Kogo w pomoc tu przywołasz?
Uproś synu łaskę nieba!

Łaskę nieba uproś z młodu —
A w kościele bije źródło,
Co miłością nie wychłodziło —
Daje łaski dla narodu.

Kiedyś jeszcze bez wędzidła
Ludzkich grzechów — bez żalości —
Gdy modlitwa jasne skrzydła,
Jako anioł ów miłości
Ponad światem rozpościera
I do nieba drzwi otwiera —
Wówczas módl się! — Bo u Pana
Jest modlitwa wysłuchana,
Co z czystego serca płynie,
Nim żalośne winą w winie
Przebaczenia tylko woła —
I w pokucie się zanurza --
I smutnego ma anioła
Za Anioła Stróża! —

Póki jeszcze Cię nie zgnebi
Płacz poranny, grób wiosenny —
Póki nocą krwi nie kłębi
Żar piekielny, lęk bezsenny —
Pókiś jeszcze cały sobą —
Póki jeszcze świata hydry
I na udry i na wydry
W tan nie pójdą grzeszny z Tobą...

Módl się bracie! — Bo potęga
Rzewnej prośby w niebo sięga:
I kto często mówi z Bogiem,
Nie zwykł błdzić za tym progiem.
Po modlitwie, łaskę jedna
Ludzkie serce — co nadobne,
Na usługi bliźnich drobne —
I z miłością łza otarta —
Podupadła starość wsparta
I sierota, wdowa biedna —
Ah! i łza ta więcej warta
Tam u Boga, niż zasługa,
W którą wszystek świat tu wierzy —
I źródł łaski ci wymierzy.
Łza ta będzie w życiu rosą:
Bo zbawione niebios duchy
Łzę tę biorą na swe puchy,
I przed Boży tron ją niosą —
Bo łza nędzy i upadku,
Każde słowo tej pociechy
Policzone jest w ostatku,
Gdzie się w sądzie ważą grzechy ...
Módl się bracie! — zanim płaczem
Ta modlitwa twoja będzie —
Zanim będziesz sam tułaczem —
Zanim staniesz w grzesznych rzędzie —
Nim pokusisz się do sławy
I o wielkie w ziemi sprawy.
Innej trzeba będzie tarczy
Gdy do walnej przyjdzie bitwy:
Prośba serca nie wystarczy:
Siebie oddasz na modlitwy —
W pokaraniu dasz na karę.
I z ofiary dasz ofiarę. —

Żywą wiarę gdy posiędziesz,
To i Ojców skarb zdobędziesz;
Boćto wiara tem zakłębem,
Co tych skarbów trzyma klucze —
I skarb tylko przed tym święcim,
Co się wiarą dziejów uczy.

Jeśliś wiarą tą nie pałał,
Nie miłował bardzo dusznie,
Nic dobrego sam nie działał,
Ani umiał stać posłusznie —
Żał się Boże krwi i chleba;
Bo Ojczyźnie, ani Bogu
Luźnych ludzi nie potrzeba —
To i ustąp z ojców progu —
Boć tu trzeba wiary żywej:
I Bóg Ojców miłościwy,
Na tej krwawej krzyża roli,
Żywej wierze, dobrej woli,
Tylko w ziemi błogosławi —
I na czoło wiernych stawia:
Tylko w czynach wiara żywa
Da ci prawo do puścizny:
Ziarno Boże kto posiewa,
To syn ojców i Ojczyzny.

Tu początek polskiej drogi,
I to kamień jest węgielny,
Co ma dźwignąć dom ubogi
I dać ziemi rok weselny.
Do przybytku łask i danin
Wstąpić może z woli Bożej
Tylko dobry chrześcijanin —
I on tylko skarb otworzy,
Gdy wypowie tajemnicę,
Jaką ziemi tej dziedzice
Skarb zakłęli dla potomnych. —
Lecz dla synów wiarołomnych,
Nie otartych w służbie Bożej,
Skarb się nigdy nie otworzy.

Ducha karmę — z niebios rosę
Ja potrzebnym tylko niosę:
Tym co w sile ja nie radzę —
Co w potędze, życia chwale
Stoją bardzo okazale,
Dzierżąc wszystko rząd i władzę —

Ale tobie tylko radzę
Biedna polska ty sieroto,
Co się dźwigasz ojców cnotą
I co krwawą idziesz drogą
I tu nie masz już nikogo,
Prócz tej igły i prócz Boga,
I prócz cnoty i prócz wiary —
Tobie pragnę w ziemi starej
Wskazać jaka twoja droga.
Tobie młody ty szermierzu,
Co prócz dobrej polskiej woli
I prócz siły — i niedoli —
Nic nie liczysz w twem przymierzu.

Wam ja polskie wy sieroty
Święcę tutaj ziemi cnoty —
Bo znam serce to sieroce,
I niespane we łzach noce —
I srom nędzy — i świat twardy --
Zimne serca — wzrok pogardy —
Więc was pragnę przyhołubić,
I w com wierzył wam poślubić;
I niech koi wam boleści
To, com dobył z ducha treści.

IX.

Gdzie to synu twoja niwa?
Gdzie to synu dom twój bywa?
Miedze poszły w świat przez pola:
Gdzie Twe kopce i Twa rola?

Praca ducha bardzo trzodzi;
Więc i wytchnąć ci potrzeba
I zachwycić głosu nieba,
I zamieszać między ludzi.

Idą święta — nowe lato,
Jak to mówią — już za drzwiami:
A czyż zeszło nam już na to,
Byśmy w święta byli sami?

Konie zaszły — siadaj w sanie —
Sanna dobra, toć i miło
Się przejechać na zaranie,
Gdy się mrozem wyiskrzyło.

Konie niby żłobem rypią
I śnieg skrzypi, sanie skrzypią;
Świat bielutki gdzieś bez końca,
A szron iskrzy blaskiem słońca.

Na wysokim okieść lesie
I głos trąbki od dąbrowy
Wietrzyk wschodni ku nam niesie —
To dzień Wilji, więc i łowy! —

Hej! stój družbo, družbo stary,
Bo zagrały i ogary —
Posłuchajmy jak las szumi
Po tym wrzawnym psim rozumie.

Już na oko widzę wzięły:
Jakże grają — jakże siadły —
Już i pierwsze strzały padły —
A jak nożem psy ucięły.

Jedźmy dalej — jak szeroko
I jak biało po tym świecie!
A czy widzisz — rzuć tam oko:
Krańcem lasu coś się miecie.

Jednokonka staje — czeka —
Ot i charty z niej pomknęły:
Więc gdzieś liszka niedaleka —
Tu! tu, hajże! — Już ją wzięły.

Będzie więcej tych majaków,
Bo nie dadzą dziś kielbasy:
Gospodynie tych próżniaków
Wypędziły precz na lasy.

Jak wymrożą trochę sadło,
Po tych łowach, po tym poście,

Tożto bractwo będzie jadło!
„Stój! bo stoi ktoś na moście.

Stój przed mostem — miejże olej —
Most jak kładka, jedna kolej —
To niech mija — bo po prostu
Zwalisz człeka w rzekę z mostu.

Pochwalony! dokąd bracie? —
Czy z daleka?“ — „Nie daleki:
Ot pasiecznik do pasieki“. —
„Jakaż sprawę tam dziś macie?“

„Dziś wigilja — Bóg się rodzi!
Więc się pszczoła ze snu budzi
I ten chleb się pszczole godzi,
Który podał Bóg dla ludzi!“ —

„To niech w drogę Bóg prowadzi! —
Ruszaj drużbo — bo mróz srogi —
Patrz jak polem ktoś tam sadi
Na krzyżowe pędząc drogi.

Śmigaj batem — bo chcę wiedzieć,
Kto tam goni w pędzie chyżym —
I wypada go wyprzedzić,
By nie mijać się pod krzyżem.

I on widzę na to pomny —
Jaki grzeczny, jaki skromny:
Nie chce w poprzek przeciąć drogi —
Stanął, czeka — choć mróz srogi. —

„Pochwalony!“ — „Witam pana —
Jakie szczęście dla gwardiana,
Że powitać pana mogę;
Bo podobno w jedną drogę“. —
„Gdzież ksiądz gwardian?“ — „Ha! ja jadę
Do Sędyka z opłatkami:
Więc nie będziem widzę sami.
Trza przeżegnać dom i dziatki,
I dobytek i gromadę;
Bo pan Sędyk na opłatki

Czeka już tam od tygodnia:
Więc sam gwardian bernardyński
Wstał z północks, ruszył do dnia;
Bo nie jeden korzec zmiele
Dla klasztoru kamień młyński:
Jest i baran, jest i ciełe,
I od złota więcej warte
Serce prawe i otwarte. —
A więc proszę jechać przodem;
A my ruszym za przewodem;
Bo co cztery to nie para,
Jak przypowieść mówi stara“. —

Jakże tego konie sadzą!
W różne strony lecą gońce —
Mróz się sadi, zaszło słońce;
Lecz przed gwiazdą jeść nie dadzą.
„Chociaż widny już dwór biały,
To wolnego — niech wypoczną —
Nie zajeżdżaj mi wyskoczno,
Bo się konie nam zhasały“,
Jakiż blask od kuchni świeci!
Istne piekło gwar i krzyki:
Jak szatany mkną kuchciki:
Miotła iskier w komin leci.

Dom się widzę dobrze zbroi:
Kadź z rybami wielka stoi:
Tuż przed kuchnią i dzik leży,
Co go sągiem nie przemierzy:
Tuż przy dziku legł pies karny;
A na kołkach cztery sarny:
A pośrodku między niemi
Kozioł rogiem sięga ziemi.
Będzie tego i na jutro,
Jak to wszystko w kuchni utra.
„Pochwalony!“ — „A witamy
Gości naszych u tej bramy! —
Witaj bracie i sąsiedzie!
W ruchu cała dziś drużyna;
Więc zasiądźcie u komina. —
Do apteczki nie powiedzie

Dziś gospodarz — bo na niebie
Gwiazdy jeszcze nie zabłysły;
Więc wybaczcie — dziś post ścisły —
I nie witam dziś po chlebie.
Bo gdy taka w niebie rada,
To dopełnić nam wypada
Tych obrządków za drugiem,
Jak obyczaj niesie ziemi“.

Jak obrządek każe dzienny,
Snopy wnosi sam gumieny;
Bo trza chleba do wesela —
I sam siankiem stół zaściela,
W pamięć żłobu Zbawiciela, —
I po kątach snopy stawia,
I coś z cicha błogosławi.
Plastry miodu w wielkiej robi
Stary bartnik sam sposob; —
Bo we dworze, to nie w lesie. —
Stadnik wie sam żrebiątko,
Pastuch pierwsze to cielątko,
Owczarz pierwsze jagnię niesie.

A klucznica aż trzy kosze,
Gęś i kaczkę, i kokosze
Jeszcze w puchu z pisklętami,
Byście tu nie byli sami;
A niech dziecię to nadobne
Chwali nawet pisklę drobne.
Więc sadownik jabłka wonne
Skląda u stóp pani matki;
A pierniczki, te zakonne
Thuczeniczki i opłatki,
Skląda gwardian sam na tacy;
Bo i *sacra et arcana*,
W dniu tym wielkim Chryste Pana,
Mają starzy ci Polacy.

Krzyż wszystkiemu na początek, .
Bo od Boga wszego wątek!
Więc od krzyża i od słowa
Książdz rozpoczął — za nim głowa,

Głowa domu słowo bierze. —
Przy opłatku się przeprasza
Z całym domem w ojców wierze;
Boć to bratnia uczta nasza;
A że z wieka będzie po wiek,
Ta gromada wielki człowiek,
Więc poczyną te biesiady
Pan z opłatkiem od gromady.

Zadudniło coś po moście:
Ktoś przed gankiem z bata pali —
Więc drzwi w oścież — goście! — goście!
Coraz pełniej w wielkiej sali. —
Przełamali się pospołu —
I stanęli w koło stołu —
I trzy krzesła polskim strojem
Kolo stołu stoją próżne:
I z opłatkiem każdy swoim
Idzie do nich spłacać dłużne:
I pokłada na talerzu
Anielskiego chleba kruchy;
Bo w tych krzesłach siedzą duchy,
Co z ojczyzną są w przymierzu.
My ich widzimy, oni siedzą
Razem z nami tu za stołem;
Bo o dniu tym w sercu wiedzą —
Więc go święcą z nami społem.
Nikt nie pyta o kim mowa,
Wszyscy wiedzą, co się święci,
I dla kogo serce chowa
Wierną pamięć w tej pamięci. —
Łżą się uczta rozpoczyną —
Niemo liczy się drużyna
Ze strat wszystkich, z lat ubiegłych,
Z nieobecnych i poległych:
Jak mgła czarna tak przechodzi
Myśl tej wielkiej męki ducha;
Ale Bóg się w ziemi rodzi,
Więc powraca znów otucha:
Że więźniowi drzwi otworzą.
Że wygnaniec przetrwa mękę;

I że tułacz z wolą Bożą
Poda jeszcze wszystkim rękę. —
Za oknami, na dziedzińcu,
Słyszać szepty i poswarki —
I migają się latarki —
I chłopięta stają w wieńcu —
Aż już w blasku niespodzianie,
W samym oknie szopka stanie,
I kolęda zabrzmi głośno
Pieśnią wielką i donośną.

Tedy wraca znów pociecha
I do serca i do domu;
Gdy ten żłobek wita strzecha,
Jest i Boga witać komu. —
Ach! bo jakież to nadzieje
Gwiazda świata zapowiada:
„Bóg się rodzi, moc truchleje,
I ciemnościom ziemi biada —
Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony —
Ogień krzepnie, blask ciemnieje:
Staje w ziemi nieskończony
I wzgardzony — staje z chwałą —
I śmiertelny nad wiekami —
A słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami!“

Jak od morza aż do morza
Są posiane polskie łąny;
Jak szeroko rosną zboża,
Tak szeroko śpiew ten znany:
W każdej chacie, w każdym dworze,
W każdym zamku i w klasztorze,
Grzmi po ziemi pieśń wesela —
I witają Zbawiciela. —

Owo wielkie skarby kraju!
I podała Polska stara
Boskie rzeczy w obyczaju,
Które dźmierzy wszystka wiara.

Z niemi idzie człowiek z młodu,
I przez żywot z niemi chodzi:
I obyczaj dla narodu
Coraz nowych synów rodzi:
Bo na naszą polską wiarę
Każdy przejdzie, w ziemi naszej,
Co przy chlebie i przy kaszy
Obyczaje poczi stare;
I czić Boga się nauczy,
Przy tej kaszy i tym chlebie. —
Więc nie traćcie starych kluczy,
Lecz chowajcie je u siebie. —
Czego woda nie zabierze,
Czego ogień wam nie spali,
Co nie odciąć ostrzem stali,
To obyczaj wam ustrzeże.

X.

Służba czeka cię sieroto —
Więc się dźwigaj ojców cnotą.
Służba w ziemi wznosi ducha
I duchowi daje znamię:
Ten co rządzi, lub co słucha,
Ma i wolę, ma i ramię —
I języka wydobędzie,
Gdy na słowie jego siędzie
W dziejach ojców wielka karta,
W dziejach służy wielka warta.

Co za rozkosz, u sztandaru,
Złożyć braci i ojczyźnie,
Co z natchnienia i z przemiaru
Idzie niby po puściźnie!
Co za rozkosz, władać dzielnie
Sobą, wolą, czynem, słowem —
I żyć w duchu nieśmiertelnie,
W ziemi życiem pogrobowem!

Co za rozkosz, wiernie służyć
I tych darów Bożych użyć,

Na czas Boży, w sprawie wielkiej,
Na pożytek rodzicielki!
Lecz gdy padnie już tak krzywo,
Że pogrzebiesz w tem więzieniu
Dobłą wolę i myśl żywą,
Coś wykochał w pokoleniu:
Lecz gdy padnie, że w jasyrze,
Na Kaukazie broń ci dadzą;
Że wygnańcem na Sybirze
Ujrzysz się pod dziczy władzą;
Że tułaczem na obczyźnie
Błądzić będziesz obcą drogą;
A po żalu i po bliźnie
Znać jak ziemia ta ci drogą —
Któż cię wówczas od zaguby
I zachowa i obroni? —
Znasz ty bracie polskie śluby?
Znasz ty głębie polskiej toni? —

Nie daremnie Bóg te dzieje
W takie ciemne pchnął koleje:
Nie daremnie u łańcucha
Bóg tak trzyma w pracy ducha:
My wśród lęku — i wśród jęku —
Spełnić musim w jego rękę,
Niepowszednie świata dzieje,
I na nowe przejść koleje.

Po staremu, my w kościele,
Wielkie rzesze tego ludu
Zgromadzili na wesele —
I lat tysiąc tego trudu
Trzeba było, by to sprawić,
I ten kościół tu postawić —
I ozdobić — i osłonić —
Który trzeba i dziś bronić.

Z światłem Bożem w duszy, w oku,
My pomknęli w ziemi kroku —
I wolności Bożym darem,
I przymierzy tych wymiarem,

Odorali te granice —
Ale świat nam stanął w drodze,
I ciemności puścił wodze —
I po nocy skradł szablce.

Odtąd niema tu już komu
Bronić swobód i kościoła:
Nędza, ucisk w starym domu,
I nieludzki świat dokoła.
Ziemia nie chce rodzić ziarna:
Nikt nie rządzi, nikt nie słucha;
Rzesza luźna i niekarna,
I bez Boga, i bez ducha.
Więc tu ciężka służba padła,
Komu zlecił Bóg te straże,
Na kim sprawa taka siadła;
Lecz stać trzeba, gdy Bóg każe.
Bo potrzeba odbyć wartę,
I przewrócić krwawą kartę.
Toć ustąpić tu nie wolno —
Lecz stać trzeba sprawą rolną,
W tych wierzejach posłannictwa,
I kościoła i dziedzictwa —
Bo i stare dziejów prace,
I te nowe niedaremne;
I świat bierze naszą płacę,
Choć koleje nasze ciemne.
Co w obecnej świat ma chwili
Za prąd ducha i za nowość,
My krwią serca wysłużyli:
W dziejach świata n a r o d o w o ś ć!

Nie wysilaj na wiatr ramię:
Nie zacieraj ziemi znamię:
Biada, biada narodowi!
Co chce zwrócić dziejów prądy;
Co o sobie tak stanowi,
Że chce zmienić Boże sądy;
I na poprzek prawdy Bożej
Być Narodem, bez przewodu —
I Narodem, bez Narodu —
I bez krzyża, u rozdroży!

Nie zacieraj ziemi znamię:
Nie łam, czego Bóg nie łamie.
Kiedy wszystkie ludzkie środki
Już wyczerpią wrogi nasze,
Wichrzyciele i wyrodki;
Wówczas poda sam Bóg czasę,
I na sądzie w ziemi siedzie,
I chleb znowu w domu będzie —
I gdzie była, będzie woda —
Wiara ojców i swoboda.

Wytrwać — wytrwać! — to zadanie,
Kto pocziwej sprawie służy:
Choć ci wszystko w poprzek stanie,
W burzy serca — w życia burzy —
Chociaż swoi się sprzysięgą
Przeciw tobie, w zradnej radzie —
Chociaż piekło swą potęgą
Tysiąc zapór ci pokładzie —
Wytrwaj synu! — I w Twym ślubie
Szukaj siły utwierdzenia —
Wytrwaj synu, w Bożej próbie,
W wielkiej chwili przesilenia!
Kraj się pracą i ofiarą
Z tej otchłani wydobędzie;
I odmierzy własną miarą,
Gdy zasięda ziemi sędzie.
Wytrwaj — wytrwaj u łańcucha —
Bo nie w czynie, ani w zdaniu,
Lecz zasługa w sile ducha,
I w niezłomnem Bożem trwaniu.
Tylko wiernych i służyłych
Bóg w narodzie łaską raczy:
Tylko mężnych i wytrwałych
Służba w dziejach karby znaczy.
Wytrwaj synu dzielnie, ładnie,
Choć ci ciężka służba padnie,
Czy po duchu, czy po bliźnie,
To służ milcząc, służ ojczyźnie,
Jak syn wierny i obrońca —
I już wszystko postaw na tem,

Byś nie liczył się ze światem —
Wówczas wytrwasz aż do końca ...

Synu ziemian i rycerzy!
Ciężką służbę świat wymierzy:
Więc jej tory znaczę tobie;
Bo nie jeden w tem pobłądził,
Że swej drogi nie osądził,
I samopas poszedł sobie. —
Służba duszy jest potrzebą:
Służbą można zdobyć niebo!
Tu się tylko wkupić wolno
Pracą długą i mozolną —

I w tej służbie niema skoku:
Bo w wieczystym nowicjacie
Czyni żołydy brat po bracie,
Pilnowany w każdym kroku;
I przejść musi każda cnota
Wielką próbę krwi i złota,
Potępienia i zniewagi;
Aż w pokorze stanie nagiej
Po zasłudze dusza karna,
W Panu mężna i ofiarna!
Znaj więc synu, że na gruncie,
Gdzie przez takie wiodą tańce,
Kłatwą ziemi samozwańce!
I nikczemny duch po buncie,
Coby śmiał się rwać swą wolą,
W poprzek woli wiernej rady:
Boć mądrości Bożej solą
Poznaczone wielkie ślady;
A kto naród z tego toru
Zwrócić zechce świętokradzko,
Syn to gwałtu, i syn moru,
Co nie stanie sprawą bracką.

XI.

Gdzie to synu twoja niwa?
Gdzie to synu dom twój bywa?

Miedze poszły w świat przez pola:
Gdzie twe kopce i twa rola?

Wychowanku polskiej strzechy!
Są uśmiechy i pociechy,
Których Polska nie poskapi
Temu, co jej nie odstąpi.
Idź jej prawem i jej likiem,
Byś się skarbem jej ozdobił
Nie na bruku, nie językiem,
Obyczajów lud się dobił:
Sercem stawał przed kościołem,
Przed wrogami stawał czołem,
I przez wieki tak się porał,
Że z tej ziemi skarb wyorał —
Skarb największy, co dziedziczy
Miłość ziemi tej Piastowej,
Żywot prosty i sąd zdrowy,
I obyczaj ów rolniczy. —
Stąd gdzie kopiec, tam granica —
A gdzie kościół, tam Bóg mieszka:
Gdzie mogiła, tam strażnica —
A gdzie droga, tam i ścieżka.

Jeśli życie ci się zbrudzi,
Jeśli świat cię bardzo strudzi,
Do wiejskiego idź kościoła —
I na pola — i na sioła —
I tam szukaj znowu ludzi.
Co bruk miejski sponiewiera,
To krynica znów obmyje;
Co świat grzeszny pozaciera,
To wśród sioła znów ożyje
Więc ci o tem trzeba wiedzieć,
Że najlepiej człeku siedzieć,
Gdzie od ziemi czeka chleba,
A ta ziemia łaski nieba.

Biada! biada tej rodzinie,
Co się ziemi już nie trzyma,
I co wirem życia płynie
W świat szeroki za oczyma.

Więc jak możesz siadaj rolnie,
Bo bez ziemi i przykmioty,
Bardzo trudno i mozolnie
Chować w sercu ojców cnoty.

To Zapusty! a tyś młody! —
Gdyby były czasy inne,
To zabawy te niewinne
Poczywały się na gody;
I jak dobra sanna stanie,
A ochota w sercu szczera,
Par dwanaście niespodzianie
W domu kulik ten otwiera.
Gdzieś z muzyczką podjechali,
I do panien się zakradli:
Z szumem, z hukiem nagle wpadli,
I hulają już po sali.
Wpada z lękiem gospodarstwo,
Bo nic o tem nie wiedzieli:
Pan w kożuszku — pani w bieli —
Pyta: „Co to za włodarstwo?”

Lecz muzyka różnie od ucha
I w podkówki ognia krzeszą. —
„Hej szła moja! — grzmi głos z ucha:
Niech się państwo nam ucieszą”
I pocziwy ukłon dają
I w kolana przepraszają —
Więc gospodarz: „Pan Bóg z wami —
Trudna rada z warjatami!”
Światła! światła: pani woła —
A gospodarz woła: wina!
I dopiero teraz z koła
Rozpoznaje się drużyna.
„Ta to Zosia! — ta to Kasia! —
Ta to Wańdzia! — ta to Basia! —
Jakże pięknie wam w tym stroju!
Przejdźcie-że się po pokoju —
Poco czynić pokryjomu?
Wszakżem matką, panią domu!

Trzeba było mi powiedzieć,
Ze kulikiem nas nawiedzić
Chcecie dzisiaj — tobym przecie
Obmyśliła coś w tym świecie,
Jak obyczaj w ziemi naszej;
A tak nie dam nic, prócz kaszy“.
Wtem gospodarz z winem wpada:
„Kiedy kulik, jest i rada!
Co tam Jejmość młodym swarzy:
Stare prawo gospodarzy:
Kiedy od nas ta drużyna
Kulik w ziemi rozpoczyna,
To dodajmy mu powagi
I oddajmy drugim plagi;
I niech na tem już tu siędzie,
Co wam mówię bardzo prosto:
Ja wam będę sam starostą,
A młynarką Jejmość będzie. —
Więc niech Jejmość się postara
O rańtuchy i młynarza“. —
Na te słowa krzyczy wiara:
„Zdrowie! — zdrowie gospodarza!“ —
I wypili, prześpiewali —
I znów krzeszą w koło sali —
„Hejże dana! dana! dana!
Ty ojczyzno ukochana!“ —
Szumią śpiewy i grzmią tańce:
Ale w cztery świata strony
Lecą gońce i posłańce,
I już kulik ogłoszony. —
Jedzie młynarz z starościną —
I w ślad gońców sanie płyną:
Wierzchem, strojno drużby sadzą,
I wyprzedzić się nie dadzą;
I jak zwyczaj każe stary,
Już tu każdy szuka pary.
Bo ochoczo i ognisto,
I wyskocznie i parzysto
Już do domu wpaść wypada:
Kto bez pary temu biada! —

Pan starosta, prosto z mosta,
Kłęcząc wita starościnę:
Więc i śmiechy i kielichy —
Zapraszają na gościnę.
Panie w futrach — w burkach wiara —
Ale nic tu nie pomoże,
Bo starostwo pierwsza para,
Więc za niemi krzesz nieboże. —
Wtem „Na ustęp! — pani woła:
I na potem tego stanie!“
Zcichły grajki — wieść wesola —
Bo podano już śniadanie.
Są starostwo i młynarstwo,
Są swatowie, są i swaszki:
Ale w klatce niema ptaszki;
Więc niedobre gospodarstwo,
Trzeba wybrać pierwszą parę. —
„O młodego prosim wiare;
A o młodą z wolnej ręki
Prosim wszystkie tu panienki:
Bo i ja się już przebiorę. —
Więc przypada wybór w porę;
Lecz pamiętać o tem proszę,
Jak starosta różgę noszę“. —
Więc już swaszki pannę młodą,
A młodego družby wiodą;
I jak zwyczaj każe stary,
Piją zdrowie pierwszej pary. —
Tu się družba musi sprawić,
Jak oracją będzie bawić —
Jakim strojem — jakim szykiem —
Gdzie uderzyć tym kulikiem?
I kto wierzchem — i kto w sanie —
I kto wpaść ma nieco przodem —
I jak każda para stanie?
Kogo zabrać mimochodem? —
Lubią radzić, lubią bawić
Przy kielichu ci panowie:
Ale trzeba coś poprawić,
I w tym stroju i na głowie:

Więc się panie zwolna tracą,
I kielichy tylko płacą. —
Aż już nagle głos wyskoczy:
„Czas panowie, bo się mroczy!”
Na dziedzińcu już tymczasem
Rozpalają te kagańce;
Boć zaćmiło się nad lasem,
A na nocne jadą tańce.
Rozkaz starszy drużba daje,
I przed gankiem konno staje;
Za rozkazem i za wodzą
Rzędem sanie już zachodzą.
W pierwszych saniach grzmi muzyka —
Więc się zerwał jaki taki:
Drużba przodem sam pomyka;
A więc za nim w białe szlaki!

„Co się święci? kto to jedzie?” —
— „Ot nie pytaj bracie wiele” —
Mówi drużba mu na przedzie:
„To krakowskie grzmi wesele!
Jeśli łaska, prosim bracie
Poweselić się za nami:
Jeśli chcesz się kwasić w chacie,
To się kwaście tutaj sami!” —
Rzekł — i strzelił tak z harapa,
Że aż odgłos szedł po lesie:
Więc gdzie sanie, więc gdzie szkapa,
Za kulikiem każdy rwie się.
I zabrali mimochodem
Już nie jedną piękną parę;
I psotników pchnęli przodem.
Zapowiedzieć tę maszkarę.
A psotnicy jak Tatary,
Postrojeni w te maskary,
Zdradnie naprzód się zakradli,
I na cichy dwór napadli...
I już prosto do tej sali
Z latarkami w lot trafili;
Stoły, krzesła przewrócili,
I buszują coraz dalej.

„Gdzie gospodarz — gospodyni?
Niech tu przecież ład uczyni?“ —
W dworze okrzyk: „To Tatary!“ —
„Nie Tatary, lecz maskary —
Niema o czem mówić wiele:
To krakowskie grzmi wesele!“
Roi dworska się drużyna,
Niby w wielkim ulu pszczoła:
„Światła!“ pani — a pan: „Wina!“ —
Światła! wina! wszystko woła:
I już sala wyprzątnięta,
I czyściutko umieciona
Na wesele, jak na święta:
Czeka pani ustrojona.
Przyświecili w sień kagańcem —
I już cała ta gromada,
Przy muzyce żwawym tańcem
Na tę salę prosto wpada.

Przetańczyli — zaśpiewali —
Gospodarstwu pokłon dali —
I orację družba prawi,
I tę sławę domu sławi...
Więc gospodarz od piwnicy,
Od spiżarni gospodyni
Już staroście klucze składa:
„I my goście, nie dziedzicy —
To niech waszmość już tak czyni,
Jak dla domu tu wypada“. —
W dobrem ręku są te klucze;
Więc nie weźmiem ich do siebie:
A niech wiara ta się uczy,
Jak się kochać nam przy chlebie!“
I już kulik ogłoszony
W całej ziemi bardzo śmieie:
I mkną gońce na wsze strony,
Że krakowskie grzmi wesele.
Każdej nocy w innym dworze,
I sercami wszystkich władną:
A więc czekaj ich nieboże,
Bo nie zgadniesz kiedy wpadną.

I tak dalej — coraz dalej
Staropolski kulik wali;
Aż nareszcie mówią matki,
Że się kończą już ostatki.
Tedy družba, co rej wodzi,
Z parą swoją już podchodzi,
I przed panią domu staje,
I odprawę wszystkim daje.

„Wpadliśwa tu z hukiem, z krzykiem
Z weseliskiem a kulikiem —
Lecz na radość smutek godzi:
Wstępna Środa już nadchodzi.
Powiedzcie tam wstępnej Środzie,
Niech poczeka na ogrodzie! —
Ej, gosposiu nasza droga!
Proboszcz grozi gniewem Boga —
W okna bije dzionek biały —
Oczka pannom pomalaly —
Więc daj barszczyk na śniadanie,
Pannom kącik na przespanie,
Bo pojedziem już do Kielec,
Z żalem serca na popielec.

Tak zapusty polskie kończą —
Ale kiedy wszystkie głowy,
Bez wyjątku i wymowy,
Wróg posypie już popiołem;
Kiedy wierną krew wysączą,
Przed narodem i kościołem,
Z tych serc polskich — to nastają
Całe lata popielcowe —
I jak trupa, tak tu krają
Serce żywe — ciało zdrowe.
Jedno ramię tego krzyża,
To tułactwo — a wygnanie
Tu za drugie ramię stanie.
Pozostałych wróg poniża,
I żołdacy sobie szydzą,
Jako niegdyś u stóp krzyża,

Gdy ten naród w męce widzą —
Stądto inne obyczaje
W tej się ziemi dla nas rodzą:
Bo garść ziemi Polska daje
Tym na posag, co wychodzą
Z garścią ziemi na tej piersi,
I służyli i najszczerzy
W świat wychodzą tu z pogromu,
Polskie dzieci z Piastów domu —
I ta ziemia koi troski,
Przy medalu Matki Boskiej;
Bo gdzie legnie, to już wszędzie,
Garść tej ziemi przy nim będzie,
Którą kochał — co go rodzi —
Co u świata w chwale stoi —
I co cierpki żywot słodzi —
I wspomnieniem bóle koi.

XII.

Synu ziemian i rycerzy!
Twardo Polska synów dźmierzy:
Nikt tu w służbie nie pogłaska,
Bo narodu dziwna tkliwość —
Bez zasługi jego łaska;
A wyjątkiem sprawiedliwość.
Lekko cenić zwykł pocziwych,
Nienawidzić zwykł rozumnych;
A obdarza złych i chciwych —
A wynosi tylko dumnych.

Gdyby służby tu placono,
Miałbyś same sługi pono;
Lecz, że hasłem twych sztandarów
Syn ojczyzny i obrońca;
A zaparcie twą przysięgą —
Płyną dzieje krwi twojej wstęgą,
Bez początku i bez końca. —
I co dla cię krwią dziedziczną,
Herbem rodu, w polu krwawem,

Świat zwie siłą demoniczną. —
Co dla ciebie nieba prawem,
Świat upiorem dziejów mieni —
I jest nasza Matka święta
Dla narodów niepojęta,
Jako wielka duchów ksieni.

Nie za narów bierz, mój synu,
Tę duchową karność braci;
Bo nie wieniec tu wawrzynu,
Lecz mogiła służby płaci.

Każdy wolny, co się rodzi —
Równy, bo w niewoli chodzi —
I w mogile ma zasłynąć
Wolny — bo mu wolno zginać.

Na tem krótkiem toporzystku
Siadło dzisiaj tej siekierce:
Polskiem prawem polskie serce;
A bez władzy moc ucisku...

I stał wielka duchów ksieni,
Zdana na te sądy Boże,
Jako święta się promieni,
Bo dać więcej ofiar może,
Niż złość świata zabrać zdola —
Więc nie zabić już żelazem
Niewolnika — apostoła:
Każde cięcie idzie płazem.

Po Chrystusie śmierć złamana:
I kto przed Nim zgiął kolana,
Zmartwychwstania klucze trzyma,
I dlatego śmierci niema! —

Biada światu, że postawił
Na tym ostrzu nad otchłanią
Cały naród — bo się skrwawił
I spoganił nadaremnie.
My bezpieczni pod przystanią
Tego krzyża — i tajemnie

Bierzem łaski niepojęte;
Lecz kto zdeptał w ziemi święte,
Z czem odjedzie, — gdzie odejdzie,
Gdy go tępy miecz zawiedzie?
I gdy wiedzie tam do Boga
Tylko jedna, jedna droga,
Co jest prawdą i żywotem. —
Machabeusz w dziejach młotem,
A w tej strasznej walce z wrogiem,
Stał nie sobą — ale Bogiem.

Szczęście twoje! że szatani
Cię nie zbili z drogi twojej;
Żeś pozostał wierny Pani,
Co niewoli bóle koi: —
Szczęście twoje, że twą drogą
Syny gwałtu iść nie mogą;
I że wielki duch ofiary
Może światu ponieść dary,
Jakich żadna władza niema: —
Szczęście twoje, że duch wiary
Klucze dziejów tylko trzyma:
Szczęście twoje, żeś nie z niemi,
Lecz w ubogiej Piastów ziemi:
Szczęście twoje, że złodzieje
W znacznej części świat posiadli,
I na takie podłe dzieje
Wielkie rzesze ludu zwiedli. —

Nie miej synu to za narów;
Bo ze wszystkich Bożych darów
Duch ofiary jest największy —
I wybrane gdy upiększy,
Stoi w dziejach święte, wierne
W dopełnieniu powinności —
A krew ze krwi i kość z kości
Rwie przez światy się eterne,
W pokoleniu własnym torem
Za wybranych wielkim wzorem.

Stąd znaj synu, że nie żywość
Serca twego jest zasługą;

Lecz pokora i cierpliwość,
I do cnót tych zbrój się długo.

Bo to bardzo wielka Pani
Jest ta Polska z czasów dawnych:
Święci stali u przystani;
A po świętych iluż sławnych!
Więc już dobrze, gdy pozwolą
Zajść z twym pługiem na tę rolę,
I odorać dzień powinny,
I mieć udział w sprawie słynnej —
I znaj o tem, że tą grozą
Stoi Polska ksieni duchów —
I na wielkiej fali ruchów
Skarb Królowej tylko wiozą.

Tu się wkupić tylko cnotą;
Bo tu dzieje tylko płacą:
A czy oddasz krew, czy złoto —
Czyś się rozlał krwawą pracą —
Wielkie szczęście gdy na grobie:
„Dobrze służył!” — rzekną tobie. —

Synu ziemian i rycerzy!
Niech twe serce mocno wierzy,
Jeśli pójść masz za lepszymi,
W te podania polskiej ziemi:
Bo nie jedno serce zmrozi,
Ah! i więcej sercu grozi
Złość od swoich — niż od świata,
Niż śmierć nawet z ręki kata.

Mocno uwierz w wierne rady;
Bo na gady i na zdrady
Stapać będziesz musiał nogą,
Gdy się puścisz polską drogą:
Gdy brać będą, to za siłę,
Co gorączki jest znamieniem;
Gdy opaszą cię pierścieniem
Śmietne mózgi, serca zgniłe,

Co się niby rwą do czynów,
A słowami tylko płacą;
Co z krzywd tylko się bogacą,
I przez hańbę do wawrzynów
Idą drogą świętokradzką. —
Tam to cnota i zasługa
Nie opuścić tego pługa,
Lecz go ciągnąć sprawą bracką!
Wichrzycieli zawierucha,
Ani z miecza, ani z ducha,
Ani z roli, ani z soli,
Lecz urosła tem jedynie,
W tej nieszczęsnej tu krainie,
Co z ich winy drugich boli.

I ze wszystkich już boleści
Ta największa, co bez cześci —
Ah! i z dziejów tych niewoli,
Nic tak bardzo już nie boli,
Jak niecnota własnej braci,
Która piekłu haracz płaci. —

Jeśli w służbie chcesz iść prosto,
Nie szatańskim obcym tańcem;
Jeśli nie chcesz zostać chłostą,
Kłatwą ziemi — samozwańcem —
To idź znanym w dziejach torem,
Za wybranych wielkim wzorem:
Bo nam tylko tędy dalej
Chodzić trzeba, kędy dziady
W służbie ziemi tej chadzali:
Więc idź śladem w dziejów ślady.

XIII.

Gdzie to synu twoja niwa?
Gdzie to synu dom twój bywa?
Miedze poszły w świat przez pola
Gdzie twe kopce i twa rola?

Bardzo bolą dzieje sromu:
I nie łatwo trafić duszy

Do twojego bracie domu:
I schnie serce, mózg się suszy,
Gdy niesforne ziemi duchy
Bez potrzeby się zatrudzą;
I w tej ziemi jeszcze głuchej
Wszystkie jędze piekła zbudzą.
Co nawarzą — wypić trzeba —
Lecz idź bracie za lepszymi:
Bo głos dziejów woła z nieba,
Byś się wiernie trzymał ziemi.
Dla rolnika i rycerza
Z now wiosną wszystko wraca;
Gdzie pług ziemię znów przemierza,
Gdy nastaje w polu praca. —

Polską biedę skiba kryje:
I gdy posiew się zaruni,
To, co żyło, znowu żyje —
I co pękło, Bóg ostroni!
Wiosna! wiosna! To i w pole —
I na Bożą zdawaj wolę!
Co przepadło, lub zakrzepło,
Słońca ciepło — serca ciepło
To ożywi i rozgrzeje,
Co wyrasta nam w nadzieję.

Wiosna! wiosna! Już żurawie
Przeciągnęły ponad ziemią:
Rowy mszą się w świeżej trawie,
Wierzba pęka — lany plemię
Się, w takrócznej ozimie:
I nad siołem bocian płynie,
I na starem gnieździe siada,
I wieś cała już go wita
I o wieści z cieplic pyta;
Ale bocian nic nie gada.
Białowłose i brzuchate
Na obejście wyszły dzieci,
Bo po zimie lepią chatę,
Bo słoneczko ciepło świeci.
I już chaty podbielone,
Bo się matuś rażno krząta —

I podwórko umiecione,
Bo na święta czeladź sprząta.
Grodzą płoty, wierzby sadzą —
I zuchwało kogut pieje,
Bo choć ziarna już nie dadzą,
I Bóg sieje — i człek sieje —
Już dla niego wszystkie ziarno;
Więc się trzyma bardzo swarno.

Sam gospodarz poszedł z pługiem:
Za nim poszedł pies domowy. —
Pachnie ziemia w smugu długim:
Lecą wrony od dąbrowy,
I pług w rąbki skiby składa;
A za pługiem pies i wrona. —
Ozimina zaruniona —
Ćma gawronów na nią spada —
I wiokają w koło pługi.
A w carynach, jak świat długi,
Kmieć tem ziarnem w Panu siewa —
Skowroneczek sobie śpiewa
I dodaje tej nadziei:
Bo kmieć orze — a Bóg sieje!

Wczesna wiosna — późne święta!
Lecz na niebie dobre znaki,
Bo parzyste z cieplic ptaki
I parzyste są gęsięta.

Bydło nudzi się w okole:
Chociaż biedne jeszcze trawki,
Lecz gdy ryczy, pędź go w pole,
Niech się przejdzie dla zabawki.
I z dniem każdym ptaki nowe
Z cieplic w ziemię powracają;
A fujarki te wierzbowe
Do ich śpiewu przegrywają.
Na deszcz wróżą z ptaków lotu —
Niebo młodzić się poczyrna —
Dym się ciągnie od komina —
A więc tylko czekać grzmotu.

Bo bez deszczu niema wiosny,
I grzmot tylko ziemię wzruszy,
I ożywi ugor postny,
I zimową pleśń osuszy.
I w te same znowu szlaki
Wróćą kwiaty i ptaszęta —
I zakwitną sady, krzaki —
I doroczne wróćą święta.
A ze świętem pieśni nowe,
Pieśni z wieków obrzędowe
Tak powróćą, jak te kwiaty,
Jak jaskółka do tej chaty.

Post się kończy — Tydzień wielki
Przy kościele ludziom schodzi —
I obrządek wraca wszelki,
Co z kościołem razem chodzi.
Pieką, warzą gospodynie —
I kraszanki piszą dziewczki:
Jak wił wianki, nócił śpiewki,
Dzień choć duży tak się minie.
Boć to wielkie te porządki
Które w domu trzeba zrobić:
I nie mało przysposobić
Na te święta i obrządki.

Wielki Tydzień! Duch truchleje
Na te straszne krzyża dzieje —
I lęk wszystkim się udziela,
Po tej męce Zbawiciela.
Dzień straszliwy! — Pan Bóg w grobie,
Co dla grzesznych krwi nie skąpił;
Do otchłani Chrystus zstąpił —
Cóż tu człeku począć Tobie?
Bóg twój skonał — Bóg miłości —
Gdzież jest twoja obietnica?
Zmartwychwstania tajemnica?
Cóż ty poczniesz wśród tych złości?
Bóg twój w grobie, Polska biedna!
Najstraszliwszy to dzień w roku,
Boś na ziemi sama jedna,
A bez Boga ani kroku.

Ale ufaj, bo zabuja
Nad tym grobem sztandar wielki —
I zaśpiewa język wszelki:
Resurexit — Alleluja!

Chrystos wskres! — płynie siólem
Wieść wesółą dla gromady —
I zagrzało z Bożej rady,
I lud wszystkich staje czołem.

Chrystos wskres! — pachnie paska,
I święcone w całej ziemi —
I do chaty wraca łaska,
I gościna z życzliwemi.

Chrystos wskres! — Jakież budzi
Myśli w duszy wielkie hasło?
Chodźmy Synu między ludzi:
Żyje w sercach i nie zgasło,
Co kotwicą jest ufania;
Co najwyższe w domu Twoim —
To, w co wierzem — na czym stojem —
Tajemnica Zmartwychwstania!

Dzisiaj w ziemi niema głodu,
Każda nędza jest podjęta;
Dziś nie znaleźć serca z lodu;
A kto takie święci święta,
Ten zapalił Bogu świecę —
Ten i w dziejach nie pokłamię,
Bo braterstwa poczcil znamię
I najwyższą tajemnicę.

„Ot dwór jakiś! — Wstąpmy bracie!“ —
— „A czy Waszmość tu się znacie?“ —
— „Jako żywo — nigdy w oczy! —
Lecz gdy cały świat ochoczy,
Dzisiaj po chrzcie i po chlebie,
Dobrze przyjmą tutaj Ciebie.
Kto i jaki? nikt nie pyta:
Nawarzyli i napiekli —
Alleluja sobie rzekli —
Ot i gości każdy wita!“ —

Jakże suto zastawione
Długie stoły u ścian w koło!
Staropolskie to święcone,
Więc zabawim się wesoło.
Bo co wszystkich tak weseli,
To dla serca w ziemi rajem. —
Ot gospodarz jajkiem dzieli,
To i my się dzielimy wzajem!
„*In quo nati!*... ależ starka!
Dobrze taką post odprawić —
Tylko trochę wielka miarka“. —
— „A ja radzę, by poprawić“ —
Ktoś tam z boku na to prawi:
„Bo trza wypić, kto chce spożyć;
I kto wieżę w ziemi stawi,
Ten fundament ma położyć“.
Mazowiecki statut radzi,
By po starce przysiąść trochę;
Więc się w kątku nie zawadzi,
Bo są rzeczy tu nie płocze. —
Świat zwykł chwalić te powaby
Gładkich panien — zawdy, wszędy;
Lecz w kącie panny, kiedy baby
Tak wyrosłe stają w rzędy —
Co u licha! dzik zuchwały
W poprzek stołu legł układnie:
Jakże z nim się spotkać padnie,
Kiedy widzę jeszcze cały? —
Niema troski, bo nadziany
Kopą pardwi — przystęp łatwy —
I głowizną przekładany;
A są także kuropatwy.
W drugim końcu, w równej mierze
Tej zastawy sarniuk strzeże:
Stanął niby w małym lesie,
I złożone rożki niesie.
Miasto darni mszą się puchy,
Od fijołków i rzeżuchy.
Co tam stoi między dzikiem
A sarniukiem — któż to zgadnie?

Kto to przejdzie wszystko likiem,
Co dom daje tak już ładnie?
Tutaj szynki — tu pieczenie —
Więc i sarnie i jelenie —
I cielęce i baranie —
A co bliżej, to już stanie
Ta kielbasa pozwijana,
Pisankami przetykana.
Aż i tutaj — i tam prosię
Już na krańcu stołu staje —
Bo tu ledwo dopchało się,
A więc w pyszczku chrzan podaje.
Gęsto między tem mięsiwem
Leżą rzędem ułożone:
Te mazurki postrojone,
Co sąsiadek są podziwem —
Więc i placki przekładane —
I kołacze te rumiane,
Co po stole gęsto stoją,
I barwinkiem stół ten stroją.
W środku stołu stoi wiernie
I urobion jest misternie
Ów baranek, co prowadzi
I te grzechy świata gładzi.
A już głębiej, za barankiem,
Wonne kwiaty stoją wiankiem;
I z przysmaków urobiony
Koń w tureckim stoi siodle;
Bo nie chadzał dom ten podle,
Ale gotów do obrony,
W rodzie swoim miał hetmana,
Który siadał w siodło hana.
Więc w tym koniu pamięć męstwa,
Wiernej służby i zwycięstwa,
Staropolski dom ten święci —
I nie jemą z tej pamięci,
Ale chwała jest w narodzie,
Że szli tacy nam na przodzie:
I szczęśliwy jest ten, komu
Czczyć się godzi dzieje w domu;

Kto jak starszy staje czołem,
W święto wielkie, przed kościołem;
Kto jak starszy jest przewodem,
Dla narodu swoim rodem.

XIV.

Synu ziemian i rycerzy!
Wielki skarb w Twych dziejach leży
Dobądź go z pod ojców strzechy;
A przemówią księgi święte,
I ogarną Cię pociechy,
Z przeszłych wieków niepojęte.

Po modlitwie i po duchu
Mkną ogniwa w tym łańcuchu;
Wielką miarą dzieje mierzą.
A że dzielni tor przetarli,
Do narodu stąd należą
Wszyscy żywi i umarli.
Więc znaj o tem, żeś Ty duchem
Wszystkich zmarłych w ziemi żywej —
I że płyniesz dziejów ruchem,
Jak następca sprawiedliwy.

Jako duchów zastęp wolny
W imię krzyża kościół liczy
Na wojenny, pokutniczy,
I w niebiesiech triumfalny!
Tak i naród dzieli duchy
Na czyścowe, pełne skruchy,
Wojujące, uzbrojone,
I w niebiesiech uwielbione.

Od Kruszwicy i od Piasta
Ze szlachetnej tu rodziny
Starsza bracia w ziemi wzrasta:
Po pogłowie idą syny;
Więc stać czołem tu zadaniem,
A starszeństwo powołaniem!

W to od wieków wszyscy wierzą,
Więc tą Wiarą stój dziedziczną,
Że tu wielką miarą mierzą
I ewangeliczną! —

Weź do ręki — zajrzyj w księgę!
Jaki z dziejów duch w niej wieje,
Jakie były słowa dzieje,
Co wrosły na potęgę:
Z czego Naród brał pochopy,
Gdy Chrystusa ujął stopy,
A pogaństwo trzymał w trwodze,
Na krzyżowej stojąc drodze,
Przy kościele wielką tarczą.
Zajrzyj w księgę — ona powie:
Jak tatarskie strzały warczą —
Co ciężało na tej głowie,
Nigdy w walce niezlomanej —
Co z Bożego rośło miru —
Czem domowe były ściany —
A czem bywał świat Jasyru?
Zajrzyj w księgę. — W księdze starej
Jak w bursztynie jest zamknięty
Z ręki świętych klejnot Wiary,
Język Ojców — język święty,
Co w kościele Apostołem;
I dopokąd my Narodem,
A nasz kościół jest kościołem,
Za nim pójdziem my przewodem,
Jak za wielkim z nieba głosem,
I w narodzie i w kościele:
Bo to serce się uściele
Wonnym w ziemi tej pokosem,
Przed tą mową, jak przed Bogiem.

Gdy rzuciwszy dom ubogi
Na rozstajne wejdiesz drogi,
Zajrzyj w życia przeszłe karty:
Czy na śmieciu — czy na grobie?
Czy sam zechcesz stać o sobie?
Czy o dzieje stać oparty?

Jeśli w śmietne rojowisko
Rzucisz serce, to i snadno
Skarby świata Tobie padną,
I zawisną dla cię nisko
Marne cacka tej niewoli:
I utyjesz — i na roli,
I za stołem — i na soli: —
Choć nie bardzobyś się padał,
To świat będzie ci dokładał
Z każdym rokiem pełną miarą,
Z tą potężną ziemską wiarą,
Żeś mu służył, jak pies wiernie,
I ustrzegną tylko ciernie
Śmierci w tobie — a syt danin
W dół się stoczysz jak poganin. —

Lecz gdy powiesz w sercu sobie,
Żeś na Ojców stanął grobie,
Jak syn wierny, z piersią nagą,
Wielki dziejów spadkobierca,
Syn ofiary i król serca,
Co z wytrwaniem i odwagą
Służyć biednej matce pragnie —
Tedy niebo ci się nagnie,
I usłyszysz głos tajemny,
Co powiedzieć w drodze ciemnej —
I za wielką łaską Bożą
Skarby domu się otworzą:
I niewolnik staniesz licem,
Syn bez ziemi staniesz w ziemi
Spadkobiercą i dziedzicem,
I w sojuszu ze świętymi!
Od pradziada do prawnuka
Płynie z dziejów tych nauka,
Jaką tylko ten posiedzie,
Co z miłością ją dobędzie.

Jeśli z dziejów tej niewoli
Nie wyniesiesz prawd i sądu,
Co tak bardzo wszystkich boli —
I czem zwrócić prąd bez rządu —

Jeśli z całej męki ducha,
I z mąk ciała u łańcucha
Nie wyniesiesz takiej prawdy,
Coby wszędy, coby zawdy
I dla wszystkich prawdą była —
Jeśli Bożej prawdy siła
Nie ożywi tego słowa,
I zaklęcia cudem prawie —
To nie twoja znać w tem głowa,
I odstąpisz po odprawie.

Prawda ona, co ma zbawić,
Sama siebie będzie sławić;
Jako słońce jasną będzie,
Jako piorun dzieła w pędzie,
Jako Boże słowo żywa,
Jako ziemia miłościwa!

Po owocach ją poznać,
W każdym uściech — w każdej chacie;
Bo obudzi w duszach żywość,
I da siłę i skupienie,
I wymierzy sprawiedliwość,
I postawi cenne w cenie ...
I ożyje w ziemi starej.
Duch miłości i ofiary:
I jak Chrystus do zbawienia
Wskaże drogę wyjarzmienia! —

Gdy dziejami staniesz silny,
To nie wpadniesz na tor mylny;
I podania Ci wystarczą;
Dzieje będą twoją tarczą:
A że tysiąc lat chrześcijaństwa,
Tysiąc walki — tysiąc państwa —
I że pięćset lat dobiega,
Odkąd stara szkoła uczy,
Więc nie trudno do szerega
Trafić tobie — i do kluczy
Onych skarbów narodowych —
Do prawd Bożych — do rad zdrowych —

Które naród w tej skarbnicy
Całe wieki wiernie składał,
Kiedy sobą wszystek władał;
I o krzyżu, po szablicy,
Z siebie dobył, że nie marnie
I odorał ojców dzieje,
I odrąbał miedze zdarnie:
I nam podał to w puściźnie,
Czem stać tylko w tej Ojczyźnie!

XV.

Gdzie to synu twoja niwa?
Gdzie to synu dom twój bywa?
Miedze poszły w świat przez pola:
Gdzie twe kopce i twa rola? —

Na tej ziemi, pod tym niebem,
Człek nie żyje samym chlebem;
Ale także słowem Bożem:
Jeśli siejem, jeśli orzem,
To i zbierać w ziemi trzeba,
Co od wieków naród ceni,
Co mu dane było z nieba,
Z wielkich dziejów samej rdzeni. —

Hej! na Jana, na Kupała!
Słońce pała — serce pała —
Wszystkie gaje zamajone,
Wszystkie zboża zarunione,
I dla duszy są pobudki,
Bo i Wianki i Sobótki! —

Jan to Chrysta uprzedziciel,
Co przed Panem ścieżki prosił:
Jan Kupała, to Jan Chrzcziciel,
Co żywota drogę mościł:
Więc na Jana, na Kupała,
Ziemi chwała — ducha chwała
Z Wianki płynie, w tej krainie,

I w Sobótki ogniach płonie,
I w rzesz wielkich Bożem łonie,
Co się w święto w Wianki stroi,
I tem światłem ognisk poi. —
Jest coś z ziemi, jest coś z nieba:
„Maju — raju — raju — maju —
Łaski z góry nam potrzeba“. —
Co się w głębi duszy tłumi,
To się tutaj w wieniec składa:
Co człek czuje i rozumi,
To Sobótka raz w rok gada:
I na Jana, na Kupala
Słońce pała — serce pała,
Raz do roku, tak wymownie,
Jak nie zdoła pałać słownie.
Wianki spłyną — ognie zgorą —
Naród idzie ojców drogą;
A od Jana ludzie biorą,
Ile w łasce przyjąć mogą.
Na przed-Janiu czyszcza źródła,
Wiją wianki i łom znoszą;
Boć tu wiara nie ochłódła,
Że i łaskę tam uproszą,
Kędy łaski prosić trzeba:
„Raju — maju — chleba — nieba!“ —
Zbierz się synu, siadaj w krypę,
Nie na pogrzeb, nie na stypę
Popłyniemy dzisiaj z wodą;
Lecz na wielkie wianków święto:
To zrzuc z duszy ducha pęto,
Tchnij miłością i swobodą.
Patrz! jak Wisła płynąć miło:
Jakie siola, jakie grody!
Znać gdzieś w górach spadły wody,
Świętojanki nam przybyło.
Dziś nie trzeba macać prądu,
Bo od ładu aż do ładu
Stoi Wisła w pełnym brzegu:
Więc i puszczaj krypę w bieg,

Kiedy wody i człek w sile.
Krypa ledwo wody muśnie,
Z galarami grzmią oryle:
Tylko rudel czasem pluśnie:
Przodem pędzi łódź wesola:
Waruj! waruj! rotman woła,
Błyszczcy wiosło jak motewka —
Grzmi flisaków stara śpiewka.

Pierwszy galar skreślił w biegu —
Patrz! — I przybił już do brzegu.
Czy wiesz czego zwraca z prądu?
Jest kapliczka w tej ustroni
Ot i czekać, jak od ładu
Znad kapliczki dzwon zadzwoni:
To flisaków upominek
Za tych, co gdzieś potonęli.
Patrz! — Oryle! czapki zdjęli,
Więc i „Wieczny odpoczynek!“ —
Na galarach i po łądzie,
Kto Warwarki dzwon usłyszy,
O tym Bożym wspomni sędzie,
I odmówi pacierz w ciszy.
Ma i oryl obyczaje
I na wodzie wiarę żywą,
Gdy na Boga wszystko zdaje;
O śmierć tylko, o szczęśliwą
Prosi Boga w tym pacierzu;
A Warwarka to patronka,
Co z orylem jest w przymierzu,
Gdy na Łasze się zabląka. —

Płynmy Łachą, bo tam wrzawnie
Jan oświecił dzieciom wody;
Więc swawolnie i zabawnie
Używają tej swobody,
I jak niby rybki małe
Tak się pluszczą na mieliźnie;
A co starsze i zuchwałe,
To i wodą w koło bryżnie.

Jak nie kochać ludzkich dzieci,
Gdy nadzieja z dziatwy świeci?
Gdy nas także ktoś tam muskał,
I wykapał i opluskał. —

Już się słońce w nieszpór chyli:
Patrz, jak roi się na moście,
Jakie stroje, jakie goście!
Dobrze żeśmy w czas przybyli:
Tu się spotkasz i z urodą,
I z powagą, i z zasługą,
Jak wianuszki puszcza z wodą;
Na co czekać już nie długo.

Jak rybitwy strojne łodzie
Już szybują po tej wodzie,
I na wieniec każdy czycha;
I nie jedno serce wzdycha,
Czy szczęśliwie wieniec spłynie:
Kto go chwyci na tej fali?
Czy na wirze gdzie zaginie,
Czyli gładko spłynie dalej? —
Z wianków biorą sobie wróżby,
Bo na Jana paproć kwitnie;
Więc gdzie wianki tam i drużby,
I jest chwała stać zaszczytnie.

Pierwszy wieniec już wypłynął,
I powstała wielka wrzawa:
Na nic zręczność, na nic wprawa:
Wszystkie łodzie gładko minął,
I wyprzedzić się nie daje:
Niby gwiazda, środkiem Wisły
Płynie sobie jak koleją:
Więc i z dobrą tam nadzieją
Oczy wszystkich na nim zwiśly. —
A w tem siedem panien staje:
Co za oczy! co za lice!
Czy to siostry? — Rówiennice;
Ale nikt im nie połaje. —
„Puśćmy wieńce nasze razem“ —
Rzekła jedna, z tym wyrazem,

Co się sercem tylko dzieli —
I stały jak anieli:
Wianki pluły — i już płyną:
„Wara, wara od tej wróżby!
Niech na Wiśle się rozwiną,
Gdzie serc siedem — siedem wieńców:
Tam się znajdują własne drużby
I nie braknie im młodzieńców.

Na te słowa wszystkie łodzie
Rozstały się na wodzie:
Siedem wieńców płynie z biegiem,
Zawsze jeszcze tym szeregiem,
I jak gdyby na znak miru
Okrażyły przepaść wiru
Wielkim wieńcem — i znów dalej --
Płyną razem po tej fali. —
Teraz, teraz od przystani
Siedem łodzi w ślad ich goni:
Każdy wieniec wyrwał z toni,
I odwozi do swej pani.

Pluszczą łodzie — płyną wianki —
I nie jedno serce bije,
I nie jedno stanie w szranki,
Co się na dnie duszy kryje.

Tłok przerzedzać się poczyną:
W tem o samym bieży mroku
Jakaś pani, czy dziewczyna —
I wstrzymała nagle kroku,
Dziwnie blada — drżąca — żewna —
Niesie wianek, lecz niepewna,
Czy iść dalej, czy się zwrócić?
Czy go rzucić, czy nie rzucić?
Znać nie dobrą świat jej miarą
Mierzył w życiu — bo z niewiarą
Przystępuje do tej wróżby:
I przy wieńcu nie ma drużby. —
I puściła wieniec z falą:
Wir go chwycił i już na dnie;

I nad biedną się użalą,
Bo i szczęście znać przepadnie.
Smutnie tylko oczy gonią
Po nad wiru straszną tonią.
Błada — drżąca — znikła w tłumie.
Nikt pocieszyć jej nie umie;
Bo szmer poszedł po tym gminie,
O tym wianku i dziewczynie,
I szeptają z cicha sobie:
„Biedna — nie wie, że on w grobie!“
I wspomnieli własne biedy,
I myśl przeszła: kiedyż — kiedy?
Po tej Wiśle, w tej krainie,
Nasz paproci wieniec spłynie,
Co gdzieś kwitnie tam po mroku,
Niewidziany zdawna oku?

Smutne dzieje! — Puszczaj z falą,
Środkiem Wisły, bo się mroczy:
Nowy widok chwyci oczy,
Bo sobótki już zapalą.
Patrz na kępę! — Jak wśród cieni
Świętojańskie tam robaczki
Pełzną po tem tle zieleni
Niby gwiazdki, niby szlaczki:
Jak to ślicznie tam się mota
Świętojańska ta pieszczota!
Ha! przy takiej gwiazdce tylko
Można znaleźć kwiat paproci;
Gdy mdłem światłem, krótką chwilką
Nad paprocią się zazłoci.

Puszczaj z falą — bij w kolano! —
Gdzie pod brzegiem flisy staną.
Przybywamy właśnie w porę,
Bo tysiące ognisk gore:
„Maju — raju — raju — maju —
Raju — maju — nieba — chleba —
Łaski z góry nam potrzeba!“
Więc i z dala, więc i z bliska
Coraz nowy ogień strzela,

I widokiem rozwesela. —
Od ogniska do ogniska
Błędne światła biegną nocą,
I na ciemnem tle migocą,
W tę i w ową błędząc stronę:
Łazy w górach zapalone,
Jak płonące gorą miasta:
To sobótki — uczta Piasta.

Hasło idzie przez sąsiedztwo;
A lud wszystek ogniem daje
Na wsze ziemie to świadectwo,
Że w ofierze ognia staje: —
Że ten samy, i że cały —
Czyste źródła, ognie święte
Czci dla wielkiej Boga chwały
Jako znaki niepojęte:
A kto takie święta święci,
Ten i w dziejach nie pokłamię:
Temu z radą Wniebowzięci
Staną w wielkiej ojców bramie! —

XVI.

Synu ziemian i rycerzy!
Wielki skarb w twych dziejach leży:
Więc go podnieś duchem, z chwałą,
Bo nie na tem jeszcze stało.

Jeśli masz iść dziejów chodem,
Czcij krew ojców i ich kości;
Ale żywe bierz miłości,
I za czas swój idź z narodem.

Polska, wielka duchów ksieni!
Więc są orle duchy z rodu,
Co z najgłębszej słowa rdzeni
Wydobyli dla narodu
Skarby wielkie — prawdy czyste —
I ofiary wiekuiste.

Od tych orłów pożycz lotu,
Ustrój się w ich srebrne puchy;
Od nich ucz się w chmurach zwrotu;
Bo potęgą wielkie duchy. —
Od ich pieśni pożycz skrzydeł,
I wychelznaj się z wędzideł,
Co cię wiążą z marnym światem;
Bo nie koniec jeszcze na tem:
W pieśni polskiej jest potęga,
Co z Ojczyzny w niebo sięga.

My za siebie w wielkiej treści
To streścili, co jest własne,
Bo miłości i boleści,
I wyskoki ducha jasne;
A za wszystkich to, co Boże,
Co powszechne i co wieczne;
Więc pieśń nasza gra jak morze
I o drogi trąca mlecze.

Jak do ula znoszą pszczołki
Dary Boże — jako mrowie
Znosi pilnie wonne smółki —
Tak i naród, po tem słowie,
Znosi skrzętnie skarby ducha; —
I jak gołąb w gołębniku
Koło gniazda swego grucha.
Tak tu idą prace w szyku,
Po miłości i po znoju: —
Więc po kotle i po trąbie,
Jeden szczerby szablą rąbie,
Drugi w ciszy i w pokoju
Skarby ducha wydobywa;
Więc i uczy, radzi, śpiewa —
I po siwej szła tu brodzie
Mądrość, w starym tym narodzie.

I są półki gdzieś dębowe,
W wielkiej straży, w wielkiej cenie:
Na nich stawia księgi nowe
Każde nowe pokolenie. —

Księga stara, obok nowej,
Kiedy staje po zwyczaju,
Jest jak puhar ów godowy;
Jest jak wino od Tokaju,
Co i krzepi i zagrzewa:
I tym strojem idą dzieje,
I z nich w serca się posiewa,
Co przez wieki w dziejach grzeje.

Księga polska, wielkie dobro!
Bo jak oręż w dziejach chrobry,
Tak spisano przeszłość chobrą
W onej księdze — i jest dobry,
Co i sławy tej poprawia,
I mądrości przeszłe wznawia.
Księga polska, wielka tarcza!
I na wieki jej wystarcza:
Bez tej księgi w naszym domu
Miałbyś dzisiaj dzieje sromu,
Bez przewodu i bez gwiazdy:
I lat tysiąc krwawej pracy,
Co odparły te najazdy,
Bez osłody i bez płacy
W tych mogiłach-by zmarły
Po tej księdze, tyś olbrzymem,
Coś się dźwignął duchem, rymem;
A dokoła ciebie — karły!
Bez tej księgi w tym narodzie
Złość-by zbodła, co nas bodzie:
Bez tej księgi człek nie człkiem,
Ani wiek nasz dziejów wiekiem,
Ani naród jest narodem,
Ani chód nasz w dziejach chodem:
Bez tej księgi, siłą bicza
W przepaść grzechu gwałtem gnani,
Bez znamienia i oblicza,
Stalibyśmy wśród otchłani
Jak niegodni Pańskich godów —
Potępieńcy wśród narodów! —

I tą księgą w ducha pracy,
W ducha pracy — a bez płacy,

I w pokucie u łańcucha;
W pasowaniu wielkiem ducha,
Bóg na próbie naród trzyma:
I wyroku jeszcze niema,
Choć się szala dziejów waży,
Co zwycięży — co przeważy? —
Czy wybranych dusz pociechy,
I miłości i ofiary —
Czy przeważą nasze grzechy,
I nierządy i niewiary? —

XVII.

Gdzie to synu twoja niwa?
Gdzie to synu dom twój bywa?
Miedze poszły w świat przez pola:
Gdzie twe kopce i twa rola?

Taki tutaj zakład dawny,
Że po pracy tylko sławny:
W dziejach praca, w roli praca
I popłaca i wzbogaca.
Chodźmy w pola — żniwa! — żniwa! —
Posłuchajmy jak w tej dłoni
Na tym łanie sierp zadzwoni,
Jak przednica żeńcom śpiewa:
„Raz i drugi! Ot i snopek!
Łan przed nami — ściern za nami —
Raz i drugi! I półkopek! —
I już w polu my nie sami“.
Łan się snopi, świat się snopi:
Gdy pogoda i ochota,
To i wszystko się pokopi,
I skończona już robota.

Pusto w siole i we dworze,
I bliźniaczki niosą dzieci:
Wodę starzec, jako zmoże,
Bo gorąco słońce świeci.
Pan wyruszył w pole rano:
Chciałby dożyć dziś pszenicy;

A we dworze pani wiano
Już obmyśla dla przednicy;
Bo wrócili dworscy z ładu,
Dawszy mleko do napoju;
Zostawiwszy wódkę panu,
I najczystszą wodę zdroju.
„Któż tam taki“ — pani pyta —
„Przed wszystkimi sierpem chwytą?“ —

— „Kowalowa, bogdaj zdrowa,
Na stajanie przodem sadzi:
Wyśpiewuje i prowadzi,
Że aż cała grzmi dąbrowa!“ —

Pusto w siole i we dworze:
Niema wody podać komu:
Kucharz podpił już nieboże,
Psy odbiegły nawet domu.
To wołajcie ogrodnika!
Lecz ogrodnik wraz z kucharzem
Wziął fuzyjkę — i pomyka —
I już obaj za cmentarzem.
I kredencarz nawet stary
Wziął kuchcików — „chodźcie dziatki!
Bo przepiórek dziś bez miary
Nałapiemy na te siatki“. —
A więc pani, w takiej toni,
Do proboszcza się ucieka:
I przez sady panna goni,
Bo plebanja niedaleka.
„Dobrodzieju! trzeba radzić:
Ja i pani same w domu!
A tu żeńców chcą sprowadzić;
A usłużyć niema komu.
Trzysta żeńców będziem mieli:
Trzeba światła i kapeli,
Smolnej beczki na dziedzińcu;
Bo w pszenicznym staną wieńcu“.
— „No wolnego! Nie mazura!
Nie tak straszna tam ta chmura:

Wszystko to się przysposobi,
I co trzeba proboszcz zrobi".
I wyruszył organista
Do karczemki — grajków woła,
Gdy się stała wieść wesola,
I zapija — klnie do trzysta —
Lecz co trzeba wszystko sprawił,
Bo kapelę podochocił,
Smolne beczki już wystawił,
I podpiwszy sam się spocił. —

Zaszło słońce i mrok pada!
Więc i żeńców tych gromada
Z pieśnią wielką i poważną
Ciągnie ziemią tą posażną.
Już ją było słyszeć blisko —
A w tem, w jakieś uroczysko
Pochyliła się gromada,
I chór cały gdzieś przepada:
Aż wypłynął — i znów bliżej —
I już słyszeć chór od krzyży —
I już w bramę płynie przodem:
A dla żeńców pan przewodem.
„Witam — proszę!“ — Prosi, wzywa:
I tej samej prawie chwili
Smolne beczki rozpalili,
I kapela się odzywa. —

Piastów ziemi upominki,
Witam — witam was obrzynki!
Dawne jako snop na ziemi:
Jakom witał was od młodu,
Gdym się wdrażał do narodu,
I pieśniami żył waszemi. —
Starej ziemi obyczaju!
Coś zawładnął sercem ludu
Od Dunaju do Dunaju,
Oto wieniec twego trudu!
I jak stajesz przed tym progiem,
Tak w tym wieńcu stań przed Bogiem
Po Piastowym Bożym stroju,
Ludu pracy i pokoju!

A was karty dziejów pytam,
Gdy obrzynki sercem witam,
Jakie były to tam dusze,
Co zawarły te sojusze
Z Bogiem, z ziemią, z ludem, z chlebem —
Na tej ziemi — pod tem niebem? —

XVIII.

Synu ziemian i rycerzy!
Od przymierzy do przymierzy
Coraz wyższych wiedzie droga:
Zanim staniesz tam u Boga,
W tym nastroju twego ducha,
Urwij synu się z łańcucha,
Co na tobie z rodu ciąży,
Co do ziemi cię ciemieży;
A i wyleć w sfery one,
Co w tych dziejach prześwietlone
Duchem Bożym dusz wybranych,
W służbie ziemi i kościoła
Podniesionych, ukochanych:
Bo w te sfery głos ich woła.

Wyżej, wyżej! — coraz wyżej!
W śnieżnej szacie, w krwawej szacie,
Aż się duch twój tam przybliży,
Gdzie Bóg zasiadł w majestacie.
Jeśliś — gdy się świat uśmiechał,
Praw i gotów do igrzyska,
Wszystkie stare bojowiska
W ziemi ojców sam objechał,
To w dniach smutku i żałoby,
Obejdź świętych Pańskich groby.

Wielki sojusz mieli dziady,
Przez zasługę ze świętymi;
Więc idź śladem w święte ślady
I przymierze odnów z niemi.

Bo z niem łączy się łask wiele,
I w narodzie i w kościele;
I jest Chwały Pańskiej czasu:
„Matka Świętych — Polska nasza“.

Że z krwi twojej, twego rodu,
Wiary silnej i gorącej,
Jako kościół wojujący,
Ci rycerze wyszli Wschodu,
I krzyżowi i kapłańscy —
I że wyszli święci Pańscy,
Jak zastępcy dla narodu —
To najwyższe już ogniwo,
Co krwią żywą, wiarą żywą
Dom twych ojców z niebem sprzęga,
I przez całe dzieje sięga:
To największa w dziejach karta
I zasługa niezatarta.

Nie daremnie Święci dani
W twoim domu, u przystani:
Nie daremne wieczne ślady
Świętych Pańskich — wielkie rady,
Wielka sprawa i przyczyna:
Bo po szczeblach ich zasługi
Ku niebiosom duch się wspina;
A jasności wiecznej strugi
Płyną z chwały wiekuistej
Na przybytek i dom czysty.

W tym zielniku i ogrodzie
Chwały Pańskiej, w twoim domu,
Są Bożego pełne sromu —
Są i kwiaty, źródła czyste,
I owoce ku ochłodzie,
Dla dusz wiernych upragnionych —
I pociechy wiekuiste
Dla serc ciężko obciążonych.
W tym ogrodzie i chłodniku
Dusz wybranych jest bez liku:
Łask przedziwnych, skarbów wonnych,

I piękności serc zakonnych.
Uproś z łask tych, co ci trzeba:
Weź z tych skarbów, co cię zneći:
Cnotą wspinaj się do nieba,
A za tobą staną Święci!

Jeśliś z czoła, stój na czele
Z Stanisławem przy kościele. —
Jeśliś siewacz dobrej woli,
Z świętym Jackiem rzuć po roli,
Tak szeroko i nie marno,
Jak On posiał Boże ziarno. —
Jeśliś mędrce w starej szkole,
Skąd Jan Kanty wziął początek,
O mądrości pytaj wątek;
A modłace się pacholę,
Co o głodzie tam się uczy,
Do mądrości poda klucze. —
Jeśliś wiernym, o wytrwanie
Błagaj orszak purpurowy
Sandomierskiej braci owej;
A przyczyną ci się stanie.
Z Jozafatem i z Bobolą
Proś o męstwo i o wolą,
I w jedności stój przymierzem!
A z Florjanem, jak z rycerzem,
Co od złego ognia strzeże,
Broń pożaru w twoim domu:
Wówczas dotrwasz w ojców wierze —
I uderzy grom po gromie,
A nic duszy twej nie złomie. —

XIX.

Cicho w sercu — i po żniwie —
Com przez lata zbierał z młodu,
To dziś składam miłościwie
U stóp Matki, dla narodu.

Cicho w sercu — na zachodzie
Słońce stoi bez promieni,

I mgły lekkie mkną po wodzie,
I świat cichy na jesieni.

To i rzućmy jeszcze okiem
Po tym świecie po szerokiem,
Z tą miłością i z tą wiarą
Jaka zdobi ziemię starą.
Tam na wzgórzu dwór wesół,
Te rozłogi i te gaje,
Te klasztory i kościoły,
I przeczyste te ruczaje:
To świat tobie wierny, śliczny —
To nasz polski grunt klasyczny.

Długi szereg wiary bratni:
Nie my pierwsi, nie ostatni —
Lecz kto ufność w Bogu kładnie,
Kto rolnikiem i rycerzem,
Ten i przyjmie, co mu padnie,
I nie rzuci swego koła;
A na naszą padło kartę,
Siać dla drugich w pocie czoła,
I straconą trzymać wartę.

Jednak, jednak my nie sami,
Bo Pan wyrzekł: „Wszędzie, wszędzie,
Gdzie zebranych choć trzech będzie
W mem Imieniu, będę z wami“.
Więc niech stoją woła Bożą,
Ci, co bronią i co orzą:
Byle jedną chwilę pożyc
Całą duszą jeszcze z młodu;
Byle jedną perłę złożyć
Na ołtarzu, dla narodu;
To i cierpieć, walczyć warto,
To i skoczyć w toń otwartą,
W toń miłości i boleści,
Skąd do wnuków wróć wieści...

Jakiś biedny ty nasz domu!
Wątły, niby nić pajęcza:
Jakaż ciebie strzeże tęcza
Od upadku i od sromu?

Święta Boża Rodzicielka
Dom ten strzeże od otchłani;
A po Jasnej niebios Pani
Domu tego Tyś strażnica,
Matko Polko — tyś orlica,
Która strzeżesz tego gniazda!
Jako święta niebios gwiazda!
Tyś to pani i korona,
Póki żyjesz, tego domu. —
A po śmierci tyś patrona,
Co ochrania dom od sromu. —
Twoją cnotą ukochana
Rośnie dziewa powołana:
Twoją cnotą chłopak w męża,
Do kościoła i oręża. —
Biedne, biedne twoje serce!
Bo i złości i szyderce
Biją w niego jak w strażnicę:
Ale święte twoje lice —
Dusza, jako stal hartowna —
Czynny, jako cud wymowna --
I dopokąd stanie ciebie
Matko Polko w domu twoim,
Łaska Boga dla nas w niebie,
I na ziemi się ostoim.

Więc i komu złożyć pieśni,
I te polskie księgi wreście? —
Tej, co czuje najboleśniej —
Matce Polce i niewieście —
Co wykarmia serce z młodu
Tą miłością i tą wiarą;
I co wie dzie do narodu
Młodą duszę w ziemię starą
Z tem poczuciem obowiązku,
I Bożego z ziemią związku.
Tobie tedy, pani matko!
Matko Polko i dziedzico!
Matko orląt i orlico!
Tobie składam tę pieśń gładką:

Co z Twojego poszła daru,
Jako zdobycz u sztandaru!
Jako wierzysz i my wierzym:
Synem byłem i szermierzem
Onej sprawy, w której stoisz. —
Mężny — kogo ty uzbroisz.
Szczęsny — komu błogosławisz:
Silny — kogo ty postawisz:
A w przegranej nawet bitwie
Ten zwycięzcą — co go znaczysz
Krzyżem Twoim — ten, co raczysz
O nim wspomnieć w twej modlitwie.
Tobie tedy, Polska pani!
Pieśni moje niosę w dani,
Jak Królowej tych przymierzy,
Co i kocha, co i wierzy:
Matce wieszczów i rycerzy
Pieśń mą w twoim składam progę:
A ty złóż ją matko — Bogu!
I zapytaj duchów straży,
Co w tych dziejach, co przeważy?
Czy wybranych dusz pociechy,
Czy przeważą nasze grzechy? —

XX.

Oto moja „Pieśń o domu“,
Którą wyniósł wam z pogromu,
Bo stać może na wyłomie
Jak duch tylko pieśń w tym domie. —
Oto domu twego węgły:
Krew i dzieje — kościół — księga —
Oto sojusz zaprzysięgły,
Co od ziemi w niebo sięga. —
W tym to domu, w tem przymierzu
Stój rolniku i rycerzu! —
To, com z mleka matki wyssał,
Jam krwią serca w pieśni spisał:
I przebyłem straszne lęki
W tej mozole mego ducha;

Ah! i poszło z polskiej męki,
Co się łatwo w pieśni słucha. —
Więc niech.krwawy ten nabytek
Niech wam idzie na pożytek —
I niech pieśń ta skarbów strzeże,
Których woda nie zabierze,
Których ogień wam nie spali,
Ani weźmie ostrze stali!

Kiedym w świat szedł sercem z młodu,
„Pieśń o Ziemi“ dla narodu
Jam wam poniósł — dziś z pogromu
Ja wynoszę „Pieśń o domu“.
Byłem stróżem tej korony
Wielkich skarbów — dzisiaj staję
I domowi skarb oddaję.
Jako został mi powierzony
Od sług Bożych — od rycerzy —
I od matron wielkiej cnoty —
I od polskich tych szermierzy —
I od ziemian — od prostoty —
I co poszło z Bożej rady,
I z serc czystych w tej Ojczyźnie --
Od wybranych i gromady —
To wam składam tu w spuściźnie.
I niech pieśń ta ziemią płynie,
I niech lepszą przyszłość wita —
I niech w Piastów tej krainie
To oddnieje — co w niej świta!
Jak wierzyli — i my wierzym:
Synem byłem i rycerzem
Onej ziemi, z woli Bożej;
A kto serce ma i ducha,
I tej pieśni się przysłucha,
Na mym grobie kord położy.

PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ.

„Paść może i naród wielki, zniszczyć nie może
tylko nikczemny“.

Stanisław Staszyc.

WSTĘP.

NA JESIENI.

Coraz ciszej — wrzesień! wrzesień!
Słońce rzuca blask z ukosa,
I dzień krótszy, chłodna rosa —
Ha i jesień, — polska jesień!

O! jesieni złota nasza!
Tyś jak darów Boża czasza,
Dziwnie mądra, pełna cześci
I kojącej pełna treści...

W pożegnanie grają lasy
Barw tysiącem, pełnych krasy;
Wiosną łąki tu się tęczą,
Starodrzewne lasy wieńczą
Miedzią, złotem i rubinem,
I szmaragdem i bursztynem.
Na jesieni świat się mieni,
I w dobrane gra kolory,
Pajęczyny srebrem dziany,
Jak kobierzec różnowzory,
Na dzień wielki rozestany.

Mgła poranna, co nie rada
Wdzięk osłonić naraz oku,
To się wznosi, — to opada;
I uroczy świat w tym mroku,
Co się dzieli na obrazy,
W płataninie tęczy i gazy.
Jak czarowna niby wstęga.
Co tę ziemię z niebem sprzęga,
Z srebrnej gazy, z tęczy wątku,
I bez końca, bez początku

Płynie, sunie i przegania,
I otula i odsłania
Wdzięki ledwo sercu znane,
A tak pięknie zasromane!

Aż gdy cicho złote słońce
Z dobrą wieścią wyśle gońce,
Mgła uchodzi wielkim zwojem,
I po czarach łyży się żalą.
Za wzgórkami gdzieś niebios
Jarzabą płyną falą;
W blasku słońca perli rosa,
A świat strojny wielkim strojem,
Jak matrona się uśmiecha,
I w milczeniu znów oddycha
I powagą i pokojem.

Złote słońce i ścierń złota —
Nigdzie głosu — nikt nie śpiewa:
A po duszy się rozlewa
Jakiś smutek czy tęsknota.

Odleciały już bociany,
Polskiej strzechy gospodarze;
Już i żuraw rzuca strażę,
W klucz powietrzny zawiązany.
I już tylko od jeziora
Słyszać jeszcze wrzask kaczora
Lub szum długi, gdy gromada
Już wędrownych gęsi spada.

Jesień polska, to matrona!
Przysporzyła i oddaje:
A co wyszło z serca, z łona.
Ukojone — całe staje.
A ta srebrna pól tkanina,
Ta jasienna pajęczyna,
Owo rąbek wielkiej pani,
Który ziemia niesie w dani.

Cicho, chłodno — jakoś smętno,
Czule, rzewnie i pamiętno:
Bo wianuszki dawno zwite,
Wielkie prace odprawione,

Wielkie burze już przebyte,
Wielkie bole ukojone.
A więc słońce złotem ciska;
A złociste łąnów ściernie
Srebrną gazą się połyska
I przyświadcza temu wiernie,
W wielkiej ciszy, w wielkiej wierze,
Niebo, — ziemia, — człek i zwierzę.

Dziwnie mądra pora roku,
Zdrowa duszy, czuła oku.
Gdy liść zwiedły się przegania,
Ziemia zda się wówczas marzy
Wielkie prace, wielkie stróże,
Wielkie dzieje, wielkie burze;
I żywotem swoim waży
Wielkie myśli zmartwychwstania.

Panie! Panie! coś w szczodrocie
Na świat rzucił łaski siemię,
I coś rozdał darów krocie,
I obmyślał naszą ziemię
Na jesieni tym pokojem,
I tak wielkiem ukojeniem.
Czemu, Panie! za przejrzeniem,
Za przejrzeniem Panie Twojem,
Nie raczyłeś nam z kolei,
Tak opatrzeć na jesieni
Tych jesiennych naszych dziei?

Jest we Włoszech piękna wiosna,
Włoskich wieszczów ukochanie —
I czarowna i miłosna,
Ze słów ledwo dla niej stanie.

I jest starych bogów lato
Gdzieś tam greckie, — co bogato
I rozkosznie duszę poi.
Lecz jest także w ziemi Twojej
Starych bogów upominek, —
Miasto mirtu jest barwinek,
Miasto lauru dąb w jesieni.
Jesień, jako święta ksieni,

W ziemi Piastów gospodarzy,
I jak pani miłościwa,
Tak łaskawą, szczodłą bywa,
Że już tylko wszystkich darzy.

Coraz ciszej — to nie wrzesień,
Lecz listopad! — głucha jesień.
Hej listopad! — w listopadzie
Już nie rada, — bo po radzie.
Nic nie chwali łaski Boże,
Świat jak brudne stoi morze,
I bez wdzięku, bez uroku
Zda się, czeka czegoś w mroku.

Wielka była w ziemi rada...
Co nie poszło już za morze,
To się zbija w wielkie stada,
W polach gęsty ogień gore;
A wszystkiemu na przekorę,
Co tam kwitło a nie kwitnie,
I co zżółkło, leci — sitnie —
Sam pług tylko jeszcze orze,
W miłosierdzie ufny Boże!

Z kim więc pójdziem?

Czy w cieplice
Lekkiem skrzydłem za ptakami?
Czy pod strzechą ze stadami?
Ha! my starzy tu dziedzice,
Więc po wiośnie nie zapłacem:
Idźmy z Bogiem i z oraczem
Wielkim szlakiem — w wielkie bramy.
Wszystkie cnoty, jakie mamy,
Za zasługi świętych dane,
Wszystkie pługiem wyorane.

Pług stateczny i pług darzny —
A kto orze, ten poważny!
I broń stara i kość z kości,
Chwała świętych i rogoża,

I ta służba gościnności,
Miłość ludzka — bojaźń Boża,
Czułość serca i sumienia,
I co tylko nam z przejrzenia
Opatrzności było dane,
Wszystko pługiem wyorane.
I kmieć Boży z Bożym sługą,
Z Bożym sługą, z Bożym mężem,
Orął grunt ten wiernie, długo,
Pługiem, słowem i orężem...
Więc i wszystko świadczy temu,
Jak bywało po staremu,
Świadczy nawet w listopadzie,
Choć nie rada — bo po radzie...

Wszakże w końcu na jesieni
Tylko sosna się zieleni,
Jak ją w puszcze Bóg rozdzielił;
I świerk tylko, co gdzieś śmieje
W niebo wyrósł przy kościele,
Lub przy chórze śmiało strzelił; —
I barwinek gdzieś ukryty,
Wiecznie świeży i nadobny,
Co tam czeka, by był zwity
W wieniec ślubny — czy żałobny; —
I jałowiec, smutny wdowiec,
Co nim kadzą umarłemu,
I jemiola z krzywd wesoła.
Tylko żywa po staremu...

Jest na wschodzie kwiatów mowa:
Gdyby nasze drzewa, krzewy
Ktoś zapytał o ich słowa,
O zagadki i posiewy:
Jakim cudem świat ich ożył?
Co pan w łasce na nie złożył?
I co w żywot z nich się sieje?
Wówczas ziemi dzieje całe
Namby były zrozumiałe,
I jesienne nasze dzieje!

— Nie wymyślaj tylko stary!
Wszak chleb z pracy — wiara z wiary; —
A więc gadu stary dziadu,
Pleć pleciugo, byle długo,
Bajże baju po zwyczaju
O tym naszym polskim kraju.
Tyle szczęścia, co człek prześni,
Tyle życia, co jest w pieśni.

...Wielkim szlakiem, starym śladem,
Sercem, duszą szedłem długo,
I płynęły pieśni strugą,
Lecz rok każdy listopadem.

Gdzież te wdzięki, te uroki,
Kwitnącego wiosną sadu?
Czy go poznasz, kiedy mroki
Nań się spuszczą listopadu?

Czy poznany ptak po głosie,
Co tam czysto szedł po rosie?
I czy jeszcze serca stanie,
Co odpowie na wołanie?

Hop hop! Hop hop! głucho w lesie —
Głuszej jeszcze w sercu, w świetle.
Wiatr pożółkłe liście niesie,
I listopad śniegiem miecie.

Listopadzie! Listopadzie!
Bardzo duszy nie do składu,
Co tu radzić? gdy po radzie
W dniach przepaści listopadu!

— Nie wymyślaj tylko stary.
Bo powtarzam: wiara z wiary!
I pług kordem, kord lemieszem,
Orzem, siejem, modlim, grzeszem:
I naprzemian coraz dalej,
Na dziejowej płyniem fali!

Gadu gadu, stary dziadu,
Bajże baję po zwyczaju
O tym naszym polskim kraju!
Tyle szczęścia, co człek prześni,
Tyle życia, co jest w pieśni!

Wielka prawda! — gdy pieśń płynie,
Serce niby znowu żyje,
I jak mówią w Ukrainie:
Durny dumko bohatije...
Więc choć w głowie się coś męci,
Radhym duszę mą ocucił,
Ach! i z serca czy z pamięci
Coś wysnował i zanucił.
Jakoś rzewnie, czy miłośnie,
I wesoło, czy żałośnie;
Coś o bracie, czy o bitwie,
O Koronie, czy o Litwie...

— W to mi grajcie, panie bracie!
W to mi grajcie, miły swacie!
Z starą nutą żyje wiara,
A na wierze miłość stara.

Długom błakał się bez celu,
I milczałem, troską blady,
Jak grobowy głaz Wawelu,
Bo nie było z wami rady.

W waśni bracia się rozdarła —
I jak wróg mi życie zbrzydło;
Jak w więzieniu pieśń zamarała
I sokole zwisło skrzydło...

Dziś — gdy znowu słyszeć chcecie
Pieśń za młodu wyśpiewaną:
To i u mnie w duszy rano,
Choć listopad szronem miecie.

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyń, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Pola bitew — ojców groby —
I pomniki starej doby?

A czy wiesz ty, co tam stoi
Po tej ziemi popisano?
Co miłości twe ukoi?
Co puścizną tobie dano?

Trzeba będzie się nałamać
Z sobą, z ludźmi, z życiem, z losem, —
I nie wolno Bogu kłamać,
I pod lada upaść ciosem.

...Poznaj, pókiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzód,
Nim twe serce krwią dziedziczną
Kochać mogło ziemię śliczną.

Poznaj ziemskie i podniebne,
Bo te skarby ci potrzebne;
Poznaj wiernych serc puściznę,
Dobrej sławy ojcowiznę.

Bo to ona cię najczulej
I ukocha i upieści,
I uświęci i umieści,
I do serca przymatuli!

Otóż wyleć z tego gniazda,
Milać będzie taka jazda:
Spojrzyć z góry na twe ziemie.
I rodzime twoje plemię.

PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ.

Tam na północ! hen daleko!
Szumią puszcze ponad rzeką,
Tam świat inny, lud odmienny,
Kraj zapadły, równy, senny,
Często mszysty i piaszczysty;
Puszcze czarne, zboże marne,
Niebo błedsze, trawy rzadsze,
Rojśły grząskie, groble wąskie,
Ryby, grzyby i wędliny;
Lny dorodne, huk zwierzyny
I kęs chleba w czoła pocie. —
A na pański stół łakocie:
Lipce stare, łosie chrapy
I niedźwiedzie łapy.
Puszcz i żubrów to kraina,
A dziedzictwo Gedymina!

Ćmią się puszcze, mgła się zbiera,
Po pasiekach kraj przeziera.
Wół za rogi orze zgłiszce,
W ostrym zwirze socha świszce,
A za drogą, gdzieś w postronne,
Ciagną wózki jednokonne.
Koń obłoczny w wózkach małych,
Lud w chodakach z łyka szytych,
W chatach dymem ogorzałych,
Dranicami płasko krytych.

Gdy na lud ten człek spoziera,
To aż serce żal opłynie,
I zapytać chęć go zbiera:
Co ci to Litwinie?
Ale Litwin nie wygada!
Bo w tej duszy hart niełada!

Lud to cichy, rzewny, skryty,
Jak to mówią: kuty, bity.
Kiedy szczery, jak воск topnie;
Ale gdy go kto zahaczy:
To i w grobie nie przebaczy,
I na końcu swego dopnie!

Choć kraj jego niebogaty,
Radzi sobie, bo oszczędny;
Nie marnuje grosz na szaty,
Bo rozsądny i oględny.
Nie zwykł on się kochać w krasie,
Ale myśli o zapasie, —
I dobytek w dom prowadzi,
I „o jutrze“ wiecznie radzi.

To też znajdziesz w każdej porze
Wśród wszystkiego, jak w komorze:
Czy w krajance, czy w gomółce
Jest w serniku ser na półce.
Wiszą kumpie i wędliny,
I półgęski i świniny;
Obok w długich żerdziach ryby;
Z siatki pachną leśne grzyby,
A kwas czysty miasto wody,
W lochu stoją białe miody,
Wódki, starki i nalewki,
I rok cały lód przeleży.
A już w świernie wiszą wianki
I rozliczne przyodziewki:
Płótna cienkie, jasne tkanki
I przybory do odzieży.
W kubli stoi ów miód święty,
A dokoła włók rozpięty...

Nucąc pieśni o Birucie,
O Perkunie i Kiejstucie,
Przy łuczywie, u komina
Przędzie miękki len drużyna;
A w pobliżu dziatwy zdrowej
Toczy kołem wąż domowy.

Krosna stoją w małym oknie,
I czółenko pływa w włóknie;
Pieśni płyną jak uroda,
A wiek schodzi niby woda...

Niby w ciężkiem zadumaniu
O przeszłości, czy kochaniu,
Stoją niemo-czarne puszcze;
I rozlały się jeziora...
A po toniach ryba pluszcze,
A na niebie stoi góra.
Puszcze płoną gdzieś z daleka,
I w zaścianku pies gdzieś szczeka;
A za głosem z tokowiska,
Czesze gęstwą leśnik śmiały
Przez jelniki i zawały
Do rodziny i ogniska.

Staął, — słucha, — tam dzik ryje,
Uroczyskiem łoś pomyka —
Padło wietrząc, wilk gdzieś wyje,
A puszczami żubr poryka...

— Da! niech ryje, niechaj wyje,
Niech pomyka, niech poryka!
Na strzał padnie mi przed psami,
Com dziś jeszcze nie zastrzelił,
Byle tylko się barciami
Niedźwiedź ze mną nie podzielił...

Jak lud żyje po Bożemu,
Tak i szlachta z sobą wzajem
Dawnym żyje obyczajem
Na zaściankach po staremu;
Czas jej duszy nie wykrzywił,
Nikt cię państwem nie oparzy,
A gdy w Litwie pan się zdarzy,
To pan sobie jak Radziwiłł.

Bracia szlachta powietnicy,
Leśnych włości współdziedzicy
W niebielonych siedzą dworach;
Tamto kolej do sąsiada,

I z wielbnym ojcem rada
O sejmikach, o wyborach,
Jaka komu padnie gałka,
Kogo wynieść na marszałka?

Wówczas z cicha to wybije,
Co się w głębi serca kryje;
A gdy w puszczy pociemnieje
I miód stary pierś rozgrzeje:
To przybędzie i czułości,
Wówczas żywiej i myśl płonie,
A więc radzą o Koronie,
O Statucie i przyszłości...
Lub pocieszenie drwią z Pińczuka,
I z Żmudzina, jak z nieuka.

Lud tam jeszcze niezmieszany.
Wszystko jeszcze jest gniazdowe,
Jak te drogi powiatowe —
Każdy swój i każdy znany.

Więc też każdy wie, co niesie,
A choć drugim nie pomiecie,
Hardy strzelec w swoim lesie,
A brat szlachcic w swym powiecie.
I choć poznać nie da skoro,
Że o sobie wiele sądzi,
Choć w cichości i z pokorą,
Ufa twardo, że nie zbłądzi,
Bo dokoła się ogląda,
I wie dobrze, czego żąda;
A stąd bywa hart w narodzie: —
„Litwin mądry nie po szkodzie“.
I w tem głównie, głównie pono
Góra Litwy nad Koroną...
Lud niedarmo to myśliwy,
I skąpany w jezior łonie!
Bo głęboki jak wód tonie,
A jak łono puszczy, stróżliwy!
W puszczy go też widzieć warto
Z strzelbą w ręku lub na łodzi;

Jak mu lekko i otwarto,
Jak strzał trafia, wiosło chodzi.
Jak zna dobrze wagę zwierza,
Wszystkie knieje i ostępy,
Kędy jaka rzeka zmierza,
Gdzie mielizny, rapy, kępy!
To też wodą, czy na ledzie,
Całą Litwą cię przewiedzie.

Póki taje, jechać zdradno, —
Lecz gdy w puszczech przyschną brody,
Gdy rzekami kry opadną,
I powtórne niskie wody:
Łądem, wodą — jada, płyną,
Telegami i wicina,
Do Mitawy, do Lipawy,
A Wiliją, Niemnem, Dźwiną,
I do Tylży i do Rygi
Z kupią swoją na wyścigi.

Stamtąd Niemce i najemce
Za dalekie pławią morza:
Maszty, klepki, runo owiec,
I niejedną heczkę zboża,
I niejeden lnu bierkowiec;
Litewskimi sycąc płody
Zamorskiego ludu głody...

Jak za morzem Litwa splawna,
Z puszczy odwiecznych w świecie sławna;
Tak o miedzę ziemia chlebna
Głodnym ludom jest potrzebna.
Żmudź to święta! Ziemia Boża!
Na pół leśne jej obszary,
A na poły strojne w zboża,
Wolny oddech ma do morza,
I wszystkiego ma do pary. —
Bo lud wierny w ziemi żyznej,
I nieskapo tej ojczyzny!

Od tych prądów świętej rzeki
Aż po morza brzeg daleki

I Łotyszów płonne ziemie,
Siadło twarde żmudzkie pleię.

Tam nie błyszczą pyszne gmachy,
Ale za to duże chaty,
I wysokie, dobre dachy,
Lud dorodny i bogaty.
Ponad drogą krzyżów pełno,
I kapliczek tuż przy domu:
Lud odziany szarą wełną,
Pełen serca, pełen sromu,
I zażywny i niemarny,
Pracowity, gospodarny,
I poważny i nabożny;
Jednej krwi z tym swoim panem,
Jednej wiary z tym kapłanem.

Pan nie bywa tam wielmożny,
Nie nozrzutny ani butny:
A ksiądz biskup Boga sławi,
Do dobrego wiedzie ludzi,
I jak ojciec błogosławi
Na odpusćie „Świętej Żmudzi!”

Lud tam żyje po zakonie,
A więc zda się zimny zrazu;
Lecz gdy serce zawre w łonie,
Nie usłyszysz z ust wyrazu;
Lecz łza tryśnie na wpół rzewna,
Na wpół krwawa, na wpół gniewna,
Piersi jękną z tajnej głębi,
Zamiar wpadnie niby w studnię,
Lecz czas krwi tej nie wyziębi,
Dusza jego nie wychłódnie,
I wypłynie na jaw w czynie!

*

*

*

Gdy chcesz wiedzieć, co tam chowa
Wielka przeszłość w starej szacie,
Jedź na stare grody bracie,
Gdzie z kamieni mówią słowa.

Jeśli poznać chcesz zabawy,
Miejskie ludzie, miejskie sprawy,
Serce niewiast, świat ochoczy,
Gładkie słówka, piękne oczy,
I co ziębi i co parzy:
To stolica tem szafarzy.

Jeśli zwątpisz w siebie, w ludzi,
Patrz na cichą pracę w roli,
A znów duszę twą obudzi
Serce pełne dobrej woli,
Co każdemu niby bratem,
Co nas jedna z Bogiem, z światem.

Gdzie upadku, nędzy wiele,
Gdzieś tam blisko znajdziesz złoto;
Gdzie się godność człeka ściele,
Tam się spotkasz ze sromotą.

Gdzie źle tylko wielu czyni,
Tam winnego każdy szuka,
A choć do drzwi Chrystus puka,
Świat cię tylko tam obwini.

Do rozumu niema klucza,
Ale wszędzie jest w odwodzie,
Kędy bieda już dokucza,
Gdzie pracuje człek o głodzie.

Lecz gdyś w świecie trochę pożył,
I zateśknisz już do ludzi,
Czystych, jako Bóg ich stworzył,
To się przypatrz im na Żmudzi.

A gdy Żmudź ci przyjdzie rzucić,
Nazad Litwą znowu wrócić,
To przed pińską opatrz drogą
Wóz twój dobrze w potrzeb wszelką;
Bo w pustynię wjedziesz wielką,
W ziemię dżdżystą i ubogą.
Droga pójdzie ci przez błota,
Po nich długi pomost spłynie,
W oczeretach oko zginie,
A kraj nudny — niby słota!

Ani ruchu, ani duchu,
Woda stoi, wiatr nie wieje,
Lud po puszcach mało sieje,
Jedno lasem się zabawia:
Dziegiedź pali, drzewo spławia,
Drze dranice, gnie obody,
I nałożon jest do wody,
Jak tych bobrów leśne plemię,
Co z nim na spół trzyma ziemię.

Mnóstwo jezior, rzek niemało
Po kotlinach się rozlało;
Miasto trawy — rokiciny,
Miasto bydła — huk zwierzyny.

Lud też strzelcem, póki lody;
Lecz gdy z wiosną ruszą wody,
A po puszcach wzbiorą kały:
To pod wodą jest kraj cały,
A bezpieczen lud na łodzi
Pływa wszystek wśród powodzi.

*

*

*

Gdy wyniesiesz z pińskiej drogi
Z ludźmi twymi całe ziobra,
A z furmanką całe nogi;
Podróż była bardzo dobra!
Lecz pamiętaj gałęź choją,
Poza bryką zatknąć swoją.
Gdy się będziesz na Ruś wdzierać,
Pamiętaj się nie obzierać,
By ci czego bies nie wlepił,
I za bryką nie uczepił!
A gdy wjedziesz w Ruś pasznicą,
Równą, suchą, nie lesistą,
W lada którem ruskiem siole
Krasawice stojąc w kole,
— Z p u s z c z y j a d a! — wołać będą —
I z hałasem wóz obsiedą,
I rozerwą gałęź choją,
I do cerkwi się przystroją.

Gdy przypomnisz wówczas sobie
Owe puszcze, patrząc krajem,
Mrowie pójdzie aż po tobie,
A Ruś ci się wyda rajem!

Kędy wóz twój, bracie, wbiegnie
Na szerokie, czarne drogi,
Tam przed tobą Wołyń legnie,
I zapomnisz kraj ubogi.

W lewo spłyną czarne role,
Ukrainy bujne leże:
Na wprost, aż po Dniestr, Podole,
A wzdłuż Dniestru, Poberże.

Tam już dostać wody zdrowej,
Tam krynice i dąbrowy,
I brzozowe, czyste gaje,
I pług czarną ziemię kraje.

Zwolna wznoszą się kopanie,
Rzeki śmielsze nurty wiodą,
I tam kędy łąn nadstanie,
Ciagną stawy srebrną wodą.
Czajki wrzeszczą nad błotami,
Bocian stoi nad żabieńcem,
A rybitwy krążą wieńcem
Ponad groblą i wodami...

Jeśliś bracie jest myśliwy,
Na wołyńskie zajedź stawy:
Boś nie słyszał takiej wrzawy
Dzikich ptaków, jakoś żywy.
Podsuń czołnem pod szuvary,
Bo pocieszne ptasze rady:
Tamto sejmy, tamto gwary,
I zaloty i biesiady!
Słyszac krzyki i gwar dziki,
Patrząc na te ptasze zwady,
Tak się dziwnie w myśli plecie,
Tak się tonie w ptaszej wrzawie,
Iż zapomni człek o świecie...
Wstyd to mówić, lecz żal prawie,

Że człek ptakiem sam nie żyje,
Takie szczęsne to bestye!

Pełny oddech ma tam życie,
I wszystkiego wbród obficie:
Ryb i zboża i świniny,
Bydła, koni i zwierzyny,
I konopi, pszczoł i miodu,
I nie mało też narodu!

Tam ku góróm Miodoborskim,
Coraz wyżej kraj się wznosi,
Milę jedziesz łąnem dworskim,
Ziemia z datkiem aż się prosi!
Lecz człek pracy nie podola,
Bo choć duże, długie siola,
Więcej ziemi, więcej trudu,
Niż jest szczęścia, niż jest ludu...
Otóż kiedy łąn obsiewa,
Smutne dumy lud tam śpiewa...
I ta rzewność ziemi cechą, —
Płynie siołem, płynie strzechą,
I mogiły stare mija,
I ruczajem się przewija.
Patrz! przy cerkwi wzrósł stateczny
W służbie Bożej dąb odwieczny.
Cerkiew z trzema kopułami,
W niej odprawa — a pokłony,
Przed carskimi stojąc drzwiami,
Bije lud na twardo chrzcony!

Na nim kozuch lśni barani,
Albo świta, doma bita,
Krzemień suty i but kuty,
A bekiesza z sukna na niej,
A na dziewce wieniec z ruty.
I naówczas wzdłuż krainy
Drzemią łęgi i caryny...
Lecz w dzień budny w polu głośno,
I hukanie grzmi donośnie,
A gdy cichnie nad wieczorem,
Ścielą mgły się ponad borem;

Z pasowiska wraca stado, -
Żuraw skrzypi u krynicy,
A koniuchy na noc jada;
A ostatni blask wieczoru
Złoci białe szczyty dworu
I potrójny krzyż cerkwicy.

Wówczas starzy się gromadzą
I o swoim statku radzą: —
Przy kieliszku w karczmie kumy,
Na potulne wieczornice
Ciagną z śmiechem krasawice
Stare, ruskie piejąc dumy.
I matula świeci doma,
Choć już północ kur ogłosi;
A donieczka choć się sroma,
Choć się sroma, chłopców prosi,
Aby nie iść do dom samej,
Bo się różnie ludziom zdarza
Na przełazie, u cmentarza,
I u dworskiej, pańskiej bramy.

Różnie sobie dziewczę wróży,
Za co jej to chłopak służy?
A za służbę tak użyta
Płaci całus słodkie myto!
Gdyby matuś nie łajali,
Toby pewno się żegnali
Bez ostanku, aż do ranku,
Bo to nigdy już niesyta
Młoda dusza tego myta...

Tyle też to, tylko tyle,
Co miłosne dadzą chwile!
Bo o świecie inne życie,
I przy pracy inne śpiewki.

Gdy ataman zakołata:
— Hej do dwora! — Nieprzelewki! —
Bo tam kiedy dwór — to wielki?
Kiedy posłuch — to już wszelki!
Kiedy liczą — to miljony!
Kiedy jedzą — to łakotki!

Kiedy biją — to na sotki
Kiedy pan — to urodzony
Pewno z księcia albo z króla!
W domu jego dworno, szumno,
Czy to radzi, czy to hula,
Zawsze gwarno, zawsze tłumno...

Tysiąc plugów na obszarze
Orze zagon, gdy pan każe;
I po dawnym tam zwyczaju
Brzęczy złoto przy tokaju;
Koń arabski rży przy żłobie,
Jakby stepy wspomniął sobie.

Gdy przybędziesz tam nieznany,
Pan cię dumnem okiem zbada:
Sam zamorską mową gada,
A z błazeńska dwór ubrany.
Na to tylko w dom cię prosi,
By cię dumą upokorzył,
Bo łaskawie ledwo znosi,
Że i ciebie Pan Bóg stworzył...

Choć cię w świecie brano w kleszcze,
Choć wyszedłeś już z językiem,
Jak to mówią ze szkół jeszcze,
A z żołnierki szcwanym ćwikiem,
Nie znasz z czego począć mowę,
Kiedy w taki dom przybędziesz...
Choć do kogo się przysiedzisz,
Takie wszystko czcze, jałowe,
Nieużyte, zimne, twarde.
Takie nudne, takie harde,
Jakby nigdy nie słyszeli
Polskiej mowy, brzęku struny...
Nigdy serca nie ujęli,
A w tem sercu krwi czerwonej!

Nie po cnocie, lecz po złocie
Poznasz, że to wnuk hetmański,
Albo tylko po klejnocie,
Co ozdabia dworzec pański.

Już z przeszłości — ani cienia,
Ni zwyczaju, ani zbroi!
Państwo tam za wszystko stoi,
Nic polskiego — kromi imienia...

Nimby z nami los dzielili,
Nimby jeszcze warci byli
Promnickiego kawał chleba,
I braterstwa i swobody:
Ochrzcić by ich jeszcze wprzód
W Wiśle albo w Gople trzeba.

Prędzej w duszy tam niewieściej
Rzewna prawa myśl zagości,
Bożej chwały, ludzkiej cześci,
I miłości i boleści.

Jednak — jeśli chcesz z pociechą
Kraj opuścić, to patrz bracie,
Kędy dom pod niską strzechą —
Tam przyjęcie czeka na cię,
Tam młódź rzeżka i świat inny,
Umysł prawy i niewinny,
Tam się jeszcze tylko chowa
Serce polskie i myśl zdrowa —
A zacisznie i w kąciku
I w pomiernym tym staniku...

*

*

Gdy wołyńskie łany rzucisz
I na wschód tve konie zwrócisz,
Bez oporu oko zginie
W pogranicznej Ukrainie.
Tam to konie, tam to charty,
Step rozległy, świat otwarty!

Wóz twój wbiegnie na rozdroża,
Wiatr zaleci cię od morza, —
I krew raźniej ruszy w żyłach, --
I koń czujniej strzygnie uchem;
Drogę swoją po mogiłach
Liczyć będziesz stepem głuchym.

Tam świat bystry, trzeźwy, czujny,
Jak na czatach błysk oszczepu;
Jak młodości umysł bujny,
Tak szeroki oddech stepu.

W jarach kraj ku rzekom spada
Ziemia głuchym jękiem gada,
Dumka mówi o przeszłości,
A wiatr bieli stare kości...

Hej ku morzu, ku Czarnemu,
Ku Limanu szerokiemu
Na południe Dniepr tam płynie!
A cześć Ławrze! Sława Bogu!
Hulaj koniu po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie!

Szumi woda porohami,
Od porohów sokół leci,
Wicher wyje mogiłami,
Wilk oczyma nocą świeci,
Burzanami koza dzika,
Oczeretem lis pomyka.
Pędzi tabun, gdy wilk wpadnie,
We mgłach dyszą ciche jary,
I mkną mary przez czahary,
I krynica bije na dnie. .
A tu chesze stepem, borem,
Z listem kozak, gdzie pan każe;
I czumackie ciągną maże
Od limanów w świat taborem;
Po rozdrożach czort je wodzi,
I tumany nocne płodzi...

Ponad Dneprem, między jary,
Zasiadł dumnie Kijów stary,
Tam złocone monastery
A w nich czerńce staro-wiery.
A gościńcem do Kijowa,
Płyną maże z miodem, z zbożem,
A po Dnieprze niby morzem,
Z puszczy poleskich spławy drzewa.

Rzeki ciągną się jarami,
A nad niemi długie siola;
Na lewadach za sadami
Bujny lud, jak w ulu pszczoła
Niby sosna, niby wiosna,
Ukraińska krasawica,
A młojec każdy wojec,
Rażny, harny — a od lica,
W sercu śmiałem, w żyłach zdrowych
Bije dotąd krew kosзовych;
A jak krew ich w żyłach bije,
Tak ich pamięć w pieśniach żyje;
Tam stepami Dniepru szumy,
Płyną siołem stare dumy...
A po dworach pusta służba,
I koń czerkies, kozak družba;
I poszyto i obuto,
Niewymyślnie, ale suto!

Tu języka Lach nie zbłaźni,
Jak przed wiekiem nieodrodny;
Stały w gniewie i przyjaźni
I zuchwały i dorodny;
Nie zwykł w księgach łamać głowy
Ale z serca idą mowy, —
Chwat po prostu! Lubi konie,
Węgrzyn stary, krymskie burki,
Charty, łowy, jasne bronie,
I bekieszki i lisiurki.
W męskim ciele serce prawe,
W prostej głowie rozum zdrowy,
A za dobrą jaką sprawę
Zawsze życie dać gotowy.
Bo tak ojciec i dziad czynił,
Więc i syn i wnuk się kusi;
Niechaj padnie, co paść musi,
Byle człek się nie obwinił!!...

*

*

*

Jasne słońce nad Podolem!
Po parowach kraj się zboczył;

Wielkim łukiem, czy półkolem
Dniestr ku morzu się zatoczył...

Jarem, jarem za towarem,
Obłogami za wołami,
Manowcami za owcami,
Pobereżem na Podole,
A w Podolu jak w stodole!

Jak zaległy ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć rolę,
Zejdź świat cały, przepłynń morze,
Niema kraju nad Podole!
Jak zasięgnie tylko oko,
I daleko i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie
I w obszarach oko ginie...

Tu kraj cały jednym łańcem
I nadany wszelkim płodem;
Płynie mlekiem, płynie miodem —
A lud cały wielkim panem!

Ziemie czarne, niepochybne,
Pasze żyzne, wody rybne,
Mało wprawdzie trochę lasa,
Ale za to chleb do pasa!
Z rolą człek się tam nie kłopi,
Słomę pali. nawóz topi,
I co zmoże, w skład wyorze,
A jak umie, Boga chwali!

Kilkoletnie sterty, brogi,
W toku z laty poczerniałe,
Jak miasteczka stoją małe,
Niestrzeżone na obszarze —
I na polu skot w koszarze —
Co zabiela dniem rozłogi.
A skot bywa szerści siwej,
A koń bywa gęstej grzywy,
Nóg żelaznych, twardej skóry,
Bez narowu, lecz ponury.

Za okopem lub za płotem
Wsie zamknięte kołowrotem;
A choć rzadkie, duże, syte,
Chaty czysto wymuskane,
Srzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.

Kiedy spuścisz się ku wodzie,
Toś zajechał niby w góry:
Skała żebrem wzrok ubodzie,
Brzegowiska istne mury;
Po nich pnie się zarośl młoda,
Z nich urwisko skał opadło,
Na łokotach szumi woda,
A staw czysty jak zwierciadło!
Lecz gdy wymkniesz się z parowu,
Skały znikną, szum nastanie.
Jakbyś był na stepie znowu,
Równno, cicho znów na łanie...

Cicho — jednak niby ludno:
Wszędy zboża, wszędy krzyże,
Konik polny piosnkę strzyże,
O mogiłę też nie trudno...

Kłosa płyną w lekkiej fali,
A gdzieś widne w sienie dali
Brzozy smutne i powiewne,
I dąbrowy staro-drzewne...

A i ludu wdzięczne lica.
Boć to czysto, białe odzian,
Jak dąb młody, rzeźki młodzian,
A dziewczeczka — jak pszenica!

W chacie też to człeka radzi
Bogiem, chlebem witać w progu;
I Bóg gościa spać prowadzi,
I na drogę zleca Bogu.

Stary zwyczaj — dobre plemię —
Człek po Bogu — chleb po ziemi —
Wszystko zgodne — wszystko wcale —
Lecz i tutaj nie bez a le...

...Więc raz jeszcze potocz okiem
Po tych łąkach, po tych łąnach,
I po stawie, po szerokim,
I po złotych tych basztanach!
A wypiwszy strzemiennego
Starym miodem lub wiszniakiem
Z rąk człowieka rycerskiego,
Jedź na zachód bitym szlakiem!
Bo od tych to niw kurhanu,
Aż do Bugu, aż do Sanu,
Leży czarno wyorana
Ruś Czerwona, Ruś hreczana!

*

*

*

Wielkich wspomnień to ognisko,
Starych bogów uroczysko,
Wiernych dziadów bojowisko,
I praszczurów pogranicze.
Tym to szlakiem orde, dzicze,
Biły w dziejach ode wschodu,
Po nim poszedł ślad hetmański,
Z Bożym kmieciem i krzyż Pański
Ku odsieczы dla narodu.

Stąd z nad cerkwi i w kościele,
Z nad buńczuka i księżycą
Świeci ziemi na wesele
Matka Boża i Dziewica;
A o Turku i Tatarze
I dziad gwarze i dąb gwarze,
Choć już zarosł szlak hetmański
A bez trwogi jest krzyż Pański.

Pрут zaszumiał przez Poprucie
W ziemi Ormian — a Pokucie
Od Podola Dniestr oddzielił,
Co popłynął jarem kręto;
I świat wszystkich uweselił,
Bo wystrojon jak na święto!

Od tych ruskich rzek wybrzeży
Aż do Tatrów pierś jałową,

Po dziedzinę Krakusową,
Tam po Odrę po Żuławy,
Stara ziemia Piasta leży —
I lud gnieździ starej sławy,
A w pośrodku Wisła bieży!

Na południu w jasne chmury
Wystrzeliły sine góry!
Za górami, za lasami
Poszedł Beskid granicami!
Wziął się, kędy Wisły źródła,
A zaginął „w Czarnym Lesie“,
Kędy zwierz się w gawrach kudła,
A ku równiom Swica rwie się.

Tamto szumią górskie wody,
Wierzchem ćmią się jaworzyny,
I woń ronia poloniny,
I jelenie wieją chłody!
A Beskidem płyną chmury
W czarne lasy, w sine góry...

Z Bogiem ludu, z Bogiem, w Bogu
Od tych źródeł do Rozrogu!
Boć ci dobrze w twoich górach
Na tym owsie i żętycy!
Orły twoje współdziedzicy,
I swobodny ów świat w chmurach.

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Ponad niemi stoi chmura,
A po halach las przegania
Uronione orle pióra.
Świat to chłodny — a I omnica
Świeci polskiej ziemi do dnia:
Nad Tatrami jak pochodnia,
A na pełni jak gromnica...

Każda skała z tobą gada,
Wiatr, co w równiach ledwo wieje,

Z nóg tam garnie — deszcz co pada,
To już w turniach śniegiem sieje,
A powyżej, wyżej jeszcze,
Pływa sobie orlę wieszczce,
Gdy wyleci i zawiśnie
Na błękicie bez obłoku,
I dokoła okiem błysnie:
Widne stamtąd jego oku
Okolicznych wieżyc dachy,
Polskie puszcze i ziemice,
Krakowskiego zamku gmachy
I węgierskich gór winnice...

Czeladź górską też niepodła;
Lud wysmukły, niby jodła,
Niby górski potok szybki,
Jak ptak lekki, jak pręt gibki,
Wiecznie niby młody młodzian!
Strój ma krótko ukasany,
Topór jasno nabijany
I sam wszystek wełną odzian.

Czysty, ludzki, szczeromowny,
Strojny, dbały i budowny,
Zna się dobrze i na ziołach,
I na gwiazdach, na pogodzie,
Śmiały w skałach i na wodzie,
A radniejszy niż lud w dołach.

Ziemia jego mało rodzi,
Więc też luźno człek nie chodzi,
Gdy opędzi zimę snopkiem,
Idzie w równie za zarobkiem.
Do topora lud to sprawny,
A do kosy jaki sławny,
Jaki wesół i ochoczy,
Gdy na kośbę w równie rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
Jaka to tam w tańcu dusza!

Na świętego, na Wojciecha,
U nas w polu już pociecha,

Ale w górach ledwo taje,
I za ledwo jar nastaje.
A na Świątki, na Zielone,
Szumią majem świeże lasy,
Owce w góry wypędzone,
W halach schodzą się juhasy: —
Stary bacą rej im wodzi,
Pies liptowski strzeże owiec,
A przez lato juhas zbrodzi
Każdy potok i manowiec.

*

*

*

W góry! w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię.
Na szalase do pasterzy,
Gdzie ze źródła woda bieży,
Gdzie się serce z sercem mierzy,
A ze źródła woda bieży.
Tutaj silniej świat oddycha,
Tu się szczerzej człek uśmiecha,
Gdy się wiosną śmieją góry.

A gdy ponad turnie czasem
Przegrzmi latem nagle burza,
To zieleńsze potem wzgórza,
Ponad hale, ponad lasem.
Świeższe, żywsze barwy, wonie,
I powietrze bywa lżejsze,
Ach i bole serca mniejsze!
Czystsze czucia, w lżejszem łonie...
Trawnik błyszczący w świeższych rosach,
A olbrzymie półobrócze,
Rajskie wstęgi, jasne tęczę.
Pną się łukiem po niebiosach.

O te skarby, te obrazy
Prostej duszy i przyrody,
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano!
Bo nie wrócą ci dwa razy,
A schwyczone pozostaną...

Nie wrywaj się z gościny,
Gdy cię losy tam zawiodą,
A z powrotem puść się wodą,
Na Dunajcu przez Pieniny.
W równie — w równie, gdzie ci tworzyć,
Gdzie ci działać bez wahania,
I w potrzebie żywot złożyć
W dobrej sprawie z przekonania!

Bóg choć dojmie, błogosławi,
I dał szczodłą ręką z nieba
Narodowi, co mu trzeba,
Jako ojciec Staszyc prawi:
„Dał mu chleba i stal twardą,
Złota, srebra jedno w miarę!“
Serce czule — duszę hardą —
Miękką wolę. — silną wiarę,
Kraj otwarty, — miłość kraju, —
Ciężką pracę — ramię silne —
Mądrość złożył w obyczaju,
I dał czucie nieomyłne!

To też ludzie tam najszczerzi!
Tam to poleki świat ochoczy:
Serce chłopcom ledwo z piersi,
A krew z lica nie wyskoczy.
Tam to dziewcząt śliczne oczy!
Do taneczka tylko, śpiewki!
Stare baby wygadane:
A wesołe i rumiane
U matusi rosną dziewczki.

Kędy wzgórek, to i dworek,
Kędy wioska, tam i woda,
Kował pijak i gospoda;
A nad wioską i nad borem,
Nad sadami i nad dworem,
Jasną blachą pobijany
Świeci kościół murowany.
Stare drzewa wieży bronią —
I na „Anioł Pański“ dzwonią;
A gołębie krążą stadem
Nad plebanią i nad sadem...

Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata,
Nad nią bocian gniazdo splata,
A w niej żyje lud zuchwały.
Po nim gęsta bywa blizna,
Bo po ojcu broń puścizna:
Kord we dworze wisi stary,
W chacie stoi kosa stara,
A lud jednej krwi i wiary,
A krew polska i ta wiara!
Po kościołach chwała Boska,
Na odpusty naród płynie —
I cudowna Częstochowska
Jak szeroka Polska słynie!
Rej na godach družba wie dzie,
A z weselem kulig jedzie!
Tamto druchny śpiew miluchny,
I gospodarz gościom rady,
Tamto tany a biesiady,
A gosposie takie wdzięczne,
Takie lube i urocze
I w przyjęciu takie zręczne,
Iż gdy która cię powita,
Z mazowiecka zaszcebiocze,
I ugości i opyta,
To aż serce żalność schwyta,
Taka to tam szczerą mowa,
Tak serdeczne, proste słowa!

Póki zgodnie. póty zgodnie,
To i miło i swobodnie!
Lecz gdy obcy w bójkę wda się,
Gdzie rzempolą rażno grajki,
Nie policzy kólek w pasie,
Gdy go wezmą na kijałki!
Tam nie żarty, bójka sroga!
Pod razami trzeszczą kości,
A kosterę wie dzie droga
Suchym lasem do wieczności!

Bo to lud, co krew ma w żyłach,
A krew pono nie jest lodem!

Lud to z Pana Boga rodem,
To też czuje się na siłach.
Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już żmudnie,
I co robi, to już robi
Z całej duszy, nie obłudnie.

Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sądzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobrej wierze,
A gdy mówi — to rzecz naga!
Kiedy kocha — to serdecznie!
Lecz nie bardzo tam bezpiecznie,
Gdzie na wroga godzi składnie:
Bo się bije rad gromadnie —
I co pocznie za gromadą,
I za wspólną ludzką radą.
To też idzie mu i składnie.

Więc czy w drodze, czy to w rynkach,
Czy na polu, czy w kościele,
Na dograbkach, na obżynkach,
Wszędzie razem ludu wiele.
Przy zabawie, czy przy pracy,
Wszędzie razem. pieśnią, mową,
Wszędzie jedni i jednacy,
Czy do pitki, czy do bitki,
Czy do szklanki, czy do tanki,
Czy to przyjdzie do piosenki,
Czy dołożyć przyjdzie ręki,
Czy nałożyć przyjdzie głowę!

A przy szklance, pogadance,
Jeśli wspomnisz mu o żonie,
O domowym jego progu,
I ojczystym tym zagonie,
I o dziatwie i o Bogu:
Toś mu zabrał duszę całą!
To i we łzach się rozplynie,
I przebaczy lub pominie
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.

Choć to swoje, człek się kusi,
I pochwalić, co się godzi,
Niezła ziemia to być musi,
Kiedy takie ludzie rodzi!

Częste, gęste, piaski, łaski,
Lecz głód rzadki, Bogu dzięki!
Gdy się naród rzuci rojem,
I dołoży silnej ręki,
To niedarmo się i znojem:
Gumna, stogi się postroją,
I jest dosyć w potrzeb swoją,
I świat karmim chlebem swoim.
Głośno słyńą te pszenice,
I za morzem ziemie młaskie:
Sandomierskie i kujawskie —
I proszowskie okolice!

Choć im jedna świeci zorza,
Jednak różne znajdziesz kraje;
Lecz po dworach aż po morza,
Wszędzie jedne obyczaje:
W stajni konik domorosły,
W domu ściana modrzewiowa,
Umysł hojny i wyniosły
A cnota domowa!

Przy dziedzińcu dom chędogi,
Półtoraczne ławy w ganku,
Sień obszerna, a przy wianku
Wiszą strzelby, smycze, rogi,
Kordy, rzędy, drożne burki,
I wyprawne pękiem skórki.
Drzwi na oścież — a w pokoju
Stół dębowy, woskowany,
Pod nim niedźwiedź rozesłany,
Dzban cynowy do napoju,
A na ścianach antenaty,
A na półkach srebrne blaty.

Jak dzień Boży, szum na sali,
A z tej sali, coraz dalej,

W lewo, w prawo, jasne, ciemne,
Opuszczone i przyjemne;
Jawne, strojne i ukryte,
I bielone i obite
Zakomórki i kąciaki,
I pokoje pokoiki,
I sioneczki, narożniki!

To dla pana, dla jejmości,
To dla panien, to dla gości,
Dla paniczów, pokojowych,
To dla panien respektowych.

Co tam schowka, co tam sprzętów,
Dworskiej służby, rezydentów!
A dopieroż spojrzeć wkoło,
Po układzie tym pokojem,
Jak tam dziwnie i wesoło,
Jak tam każde swoim strojem,
W swem gniazdeczku się sadowi,
Któż to wszystko wam opowie?!

*

*

*

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć niełudno.
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył,
Dom niewielki — wtem gość wchodzi,
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nieciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.

I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska,
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.

A dopieroż to przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie!
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rześisto,
Biało, gładko, potoczysto.
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone,
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
A do tego dzban niepusty.
Jest czem serce rozweselić,
Jest się wszystkim czem obdzielić.
Choć przyjęcie najlaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów,
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla „Zagórskich panów!”

Lecz gdy rzucisz stoły hojne,
I pominiesz dworską bramę,
Ściany, jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne...
Przed Świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tem światłem czasem spłonie
Ponad łóżem karabela...

Gdy zawczasie do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwiała para siada
Do marjasza przy kominku:
I jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu jejmość zdaje...

Wszystko cicho — nic nie szańsie,
Czasem tylko warta wrzańsie,

Albo kotki załopocą,
Lub panienki zachichocą...

Bo i cóż to tam za żywość
Młodych Polek i uroda!
Tam wstyd szczery, tam poczciwość,
Tam po Bogu dusza młoda!
Boć to w cnocie i w szczerocie
W wiejskim domku uchowane,
Wypieczone, umuskane;
Niby dumne i dostojne,
A potulne jak trusiątka!
Niby dworne, a pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Jakby jakie niebożątka!

Myśl ich cicho w życiu świeci,
Pełne życia, jak nadzieje;
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje...

Gdy wesole, istne trzpiotki,
I wiewiórki i szczebiotki!
Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna:
Iż uwierzysz, że jej krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie!
Choć szłęk duszy jej nie zbadał,
Wkoło serca tak tam prawo,
Tak rozkosznie i tak łzawo,
Jakbyś grzechy wypowiadał.
A gdy uśmiech łzę pokryje,
I dla ciebie serce bije,
To cię dojmie tak do żywa,
Iż to cudne, cudne dziwa,
Że się serce nie rozplynie,
Że od szczęścia człęk nie zginie!
Zda się, że to żyjesz społem
Z rajskim dzieckiem, czy z aniołem.
Lecz to szczęście nie tak tanie,
Przeboleje dusza młoda;
Jednak lat i 'ez nie szkoda,
Boć raz w życiu to kochanie.

A jak ci się która poda
Z całej duszy i statecznie,
To już twoją będzie wiecznie.
I w ład pójdzie ci z nią życie,
Bo twej duszy nie wyziębi:
Ona sercem pojmie skrycie,
Co myśl wieku dźwiga w głębi;
Co się w czasie zrywa, waży,
To w rumieńcu na jej twarzy,
Jak w zwierciadle się odbije,
Bo w tem łonie przyszłość żyje.

*

*

*

A czy chcecie wiedzieć jaka?

Świetna, świetna, jak myśl ona,
Którą natchnie Bóg i bitwa!
Czysta, święta jak modlitwa
Przed skonaniem odmówiona;
A potężna, jak lud kmiecy,
Co ją dźwignie swemi plecymi!

*

*

*

Wyleć, wyleć orle młody!
Ponad ziemię ponad grody
Z myślą, pieśnią wyleć społem!
Potocz młodą duszę kołem!
Wyleć śmiało i wysoko,
I odetchnij w świat szeroko!
Obleć ziemię skrzydłem gońca,
Opatrz wszystko okiem słońca!
Bo tych twoich borów szumy,
I tych łąków złote kłosy,
I tych ludów śpiewne dумы,
I wód fale i niebiosy
Grają jedną pieśnią strojną
Jak Bóg wielką i swobodną!
Pieśnią, której nic nie stłumi!
Temu tylko zrozumiała,

Kto zrósł z ziemią duszą całą,
Kto za kraj ten zginać umie...

...Bo i cóż to tam za dusza,
Co tym ludem skrycie wzrusza!?
I wybija w tych to pieniach,
W tej dzielności na igrzysku,
I w tych męskich uniesieniach
Na pobojowisku...

...Cóż za życie pełne cudu
Co za dola i myśl Boża!
Zejść by mogła i jak zorza
Zaświeciłaby dla ludu!

O z tym ludem, ojców Boże!
Nim w spoczynku głowę złożę,
Dozwól jeszcze siać i zbierać!
Lub gdy nie dasz przy nim pożyć,
I strudzone kości złożyć!
Dozwól przy nim choć umierać —

MOHORT.

RAPSOD RYCERSKI Z PODANIA.

„Cnota sławą się płaci!” rzekł
Jan z Czarnolasu:
Dla drużyny od serca i dla ludzkich dzieci!
Niech i dzisiaj to jeszcze jako hasło świeci
Więc co było pocziwe za dawnego czasu,

DO EDWARDA TADEUSZA BIELIŃSKIEGO.

Oto Ci niosę mój kochany Szeffie
Pieśń o Mohorcie i księciu Józefie!
Pytasz mnie, widzę, jak do niej przychodzę?
A jużciż tego nie znaleźć na drodze.

Jak kruszec drogi są stare podania,
Co za nim trzeba spuszczać się w głąb ziemi;
I do udziału serce się nie skłania,
Co z dawna tylko rozmawia z zmarłemi.

Bo ta pierś wierna, co podanie chowa,
Taka milcząca, jak deska grobowa,
I z wierzchu zimna i jak lodem ścięta,
A jak relikwiarz dla świata zamknięta...

Więc jak odważyć tę deskę grobową?
I czem wywołać zmarłe w piersiach słowo?
Czy to się nada, co się z grobu rodzi?
I czy relikwiarz otworzyć się godzi?

Długo się o to pytałem niepewny,
I długom milcząc na tych grobach siedział,
Nad zbiegłem czasem bolejący, rzewny,
Aż mi świat w końcu na to odpowiedział,

Jak zapowiednia lepszych przyszłych czasów
Nowe zasady poczęły wychodzić,
Co miały ludzkość na nowo odrodzić,
I świat wybawić z śmiertelnych zapasów.

Na takie hasło prosił każdy w progi
Posłów zbawienia, jako niebios gości, —
W imię nadziei i świata przyszłości
Każdy ustąpił nowym ludziom drogi.

I wystąpili na świat nowi ludzie,
I świat pracował w bardzo wielkim trudzie;
Aż padł nareszcie zlany krwawym potem,
Bo co mu święte, to zbryzgano błotem.

I wystąpili na świat ludzie nowi
Z owem pogaństwem, co przed krzyżem padło;
I zarażali wściekłą zjadłą,
I nowy ołtarz wzniesli bałwanowi.

I świat się od nich odwrócił z boleścią,
I łaknął znowu za niebieską wieścią,
I szukał Boga — a lepsi i szczerzi
Naprzód się w żalu uderzyli w piersi.

I jako karę przyjęli tę chłostę,
Że mogli zwątpić i w święte i w proste,
Że zapomnieli na to, co się działo,
Że Bóg opatrzone rządy świata trzyma,
Że odkąd Słowo tu się Ciałem stało,
Już dla ludzkości nowej prawdy niema!
Więc za kotwicę wziął świat znowu wiarę,
I znowu dzierży, co nazwane stare!
Stare rozumem i stare sumieniem,
A wiecznie młode duchem i natchnieniem,
I woli dobrej i świata miłości,
Jako duch z ducha — jako kościół z kości!

O łatwiej było zdeptać to, co dzielne,
Niż sprostać temu — i łatwiej to zmienić,
Czego człek w grzechu nie zdoła ocenić,
Niżli ogarnąć, co jest nieśmiertelne.

A więc i u nas puszczono na nicę
Łaski kościoła, narodu skarbnicę,
I tylko prawie miłosierdzie Boże
Dało nam ujrzeć już zachodnie zorze
Wielkiej przeszłości, tlejącej w iskierce,
I na obrońcę dało to, co dawa
Upadłej sprawie „kochające serce“,
Aby pocziwa nie ginęła sława,

Aby nie było świata w poniewierce,
Co obok Świętych Pańskich w dziejach stawa.
Wielka przed Bogiem miłości zasługa
Co się trzymała — krzyża — szabli — pługa —
Tak prześwietlona duchem Bożym wiernie,
Że godna przyjąć w siebie nawet ciernie.
W tej to zachodnej już narodu zorzy,
Na fali dziejów obraz się kołysze,
Jeden z tysiąca — a zawsze mąż Boży:
Więc żywot jego na grobowcu piszę...

„W kim duch pogański lub dusza bezbożna,
Kto nie wie, co to rycersko i rolnio,
Temu szlachcica zabić nawet można:
Ale drwić sobie z szlachcica nie wolno!“

Tak to mi mawiał niegdyś pan Ksawery —
I wiernie chowam czasy w upominku,
Gdyśmy po łowach nieraz przy kominku
Noce trawili w pogadance szczerej.
Było to w owym Kalenickim dworze —
Mgły się jesienne wieszały po borze;
Czasem jak całun przerwały się chmury,
I znowu widne po miesiącu góry.

Było to w nocy i już dobrze późno —
Z wieczora czułem, że pod koniem mięknie;
Lecz się z północy wyjaśniło pięknie,
I jasno było, chociaż było mroźno.

Chociaż już zapiał kur i załopotał,
Jeszcze w kominie płonęła buczyna,
I wierny klejnot drzemał u komina,
I ów jaz szumiał i młynek turkotał;
A z tym to szumem i turkotem razem
Biegły godziny nieujętym zdrojem,
I myśli biegły przepuszczane płazem —
A pan Ksawery siedział w krześle swoim,
Wkońcu mi rzecze: „Na żywego Boga!
Co się to stało u nas czasy temi!
Wszakci do szczęścia była znana droga,

Którą szedł naród wiekami całemi.
Wszak po tej ziemi widne były stopy
Mężów rycerskich, a i Świętych Pańskich:
A dzisiaj wiara potraciła tropy,
I świat się upił w praktykach pogańskich!
Czego tu trzeba? po co szukać dalej?
Wszakżem sam z młodu duchem takim pałał,
I żył tem życiem i kochał i działał,
I znałem ludzi kutyh jak ze stali.
A kiedy za mnie bywali takimi,
To jużciż musiał być tam ktoś przed nimi,
Co po Bożemu w ojczyźnie się porał,
I rolę ojców tak pod nich zaorał,
A potem posiał ją takim posiewem,
Że owoc świata szlachetny zrodziła:
Znana w kościele męczenników krzewem,
A w dziejach świata z bohaterów siła.
Czego tu trzeba? po co szukać dalej?
Kiedym poczynął mój zawód wojskowy,
Żył tam na kresach mąż dzielny, surowy,
I z jednej sztuki kuty jak ze stali.
Z Litwy był rodem, choć na kresach służył;
A choć za Szwedów już tej krwi nie skąpił,
Po moje czasy znaku nie odstąpił,
A przecież nigdy w służbie się nie znużył“.

„Ty, co to lubisz przeszłe dzieje badać“,
— Rzekł pan Ksawery po niejakej chwili —
„Twoją to młodość wzmocni i zasili“. —
I o Mohorcie począł opowiadać.

A jak się rozgrzał i szczerze rozgadał,
To od niechcienia sam się rapsod składał;
I gdym się wpatrzył w ową przeszłość ciemną,
Do razu posąg stał niby przedemną.

Ktoby to myślał ktoby się spodziewał,
Że gdzieś za światem w bodziakach Czechryńskich,
Że gdzieś na kresach niegdyś Ukraińskich
Taki świat dzielny i uroczy bywał?

Od owej nocy ubiegło lat wiele,
I ów dwór górski pusto stoi sobie,
I niema łowów, bo i przyjaciela
W czarnym żupanie złożyliśmy w grobie.
Ostatni jeszcze to pan Miłościwy,
Ostatni jeszcze w Sanockiem myśliwy,
I pełen ducha i pełen dzielności,
Jako krew ze krwi i jako kość z kości.
Więc na cześć Jemu, na cześć Mohortowi,
Niechaj ta karta coś i dalszym powie.
Cóż o nich mówić? kto z ludzi nie błdził?
Lecz Pan Bóg będzie ich łaskawie sądził:
Bo w domu ojców jak starszyzna stali,
I to czynili, co z wyroku padło;
Co Bóg powierzył, to na nich nie siadło,
Bo miłość swoją następcom podali.

Stąd w tej zachodniej już Narodu zorzy,
Na fali dziejów obraz się kołysze,
Jeden z tysiąca — a zawsze mąż Boży:
Więc żywot jego na grobowcu piszę.

WIECZORY KALENICKIE.

I.

Nieraz ci pono już mówiłem o tem,
Z jakim ja żalem te strony porzucił;
Jak mnie dopiero step znowu ocucił,
Jak o bogdancie zapomniałem potem,
Kiedy mnie owiał stepu oddech zdrowy,
Gdy mnie ożywił duch służby wojskowej
Na Ukrainie.

O mój wielki Boże!
I kędyż to mnie koń nie nosił światem,
I czem ja myślał że się skończy na tem.
Że w grobie ojców jeszcze głowę złożyć?
Innem ja życie roił sobie z młodu,

Gdy wiatr dniewprowy owiał mnie od wschodu:
Wstępując w służbę jam sobie układał,
Że będę w bitwach i na koniu starzał,
W namiocie sypiał, przy ognisku jadał,
Że orzeł będzie nad nami się zwał;
Że całe życie na stepach mi spłynie,
Że krzywa szabla wśród boju zasłynie.
I jadąc w pole z sokołem na pięści¹⁾,
Ja byłem pewien, że Bóg nam poszczęści,
A kiedym ujrzał mogiłę z daleka,
Tom roił sobie: że jak legnę w boju,
To takie łoże na stepach mnie czeka,
Gdzie niby hetman wypoczną po znoju.

Nie darmo w stepy ukraińskie z dawna
Młódź się garnęła ochocza do boju:
Boć po hetmanach kraina to sławna,
A woda bywa najczystsza u źródła —
Ojczyzna mogił, to ziemia rycerzy,
Kto w Boga wierzy, ten i w szablę wierzy.

Kiedy mnie ojciec z Dubiecka wyprawiał²⁾
W drogę na kresy, nie długo zabawił:

„Idź w dzikie pola, kędy życie chrobre
I eksercitium dla młodego dobre,
Zawdy na koniu i zawdy w obozie,
W służbie, w posłuchu i w hetmańskiej grozie“.

Takie to, takie brała namaszczenie
Rzeczpospolita na domowym progu,
Było rycerstwo, bo było sumienie,
I cześć dla starszych i ufanie w Bogu.

Z ciężkiem ja sercem pojeżdżałem z razu,
I dzisiaj jeszcze zapaść nie mogę
I ojca mego, i matki obrazu,
Boć też uczciwie wyprawili w drogę!

Cztery wierzchowe, trzy konie do bryki,
A bryka długa i łubem wyszyta,
I jak spiżarnia pani matki syta —

Chłopcy gotowe na trud i wybryki,
Dobrze okryte, i jak ja niegłodne —
Zaprząg był nowy, rzędy były sprawne,
Dał też Jegomość i trzy szable sławne,
I prócz szturmaka dwie strzelby dowodne,
Dwie smycze chartów, i sygnet herbowy,
I trzos z tynfami, i kaftan łosiowy,
I rzekł poważnie, gdy to wszystko dawał,
Gdym stopy jego ścisnął najgoręcej:
„W pocziwej sprawie będziesz Wasze stawał —
O tem co daję, masz się Waść sposobić,
I w łasce Bożej fortuny dorobić,
I dobrej sławy, bo nie dam nic więcej...”

A matka znowu dała pokryjomu
Jeszcze dni kilka przed wyjazdem z domu,
Dała, jak mówią, na dziś i na jutro:
Więc drogą spinkę, strojne czaple pióro,
Rysia na kołpak — niedźwiedzia na futro³);
A bryka była i płótnem i skórą
Dobrze ładowna — że zapasu stało
Jeszcze w lat parę dla mnie i czeladzi;
A nadto jeszcze (co nigdy nie wadzi)
I sto czerwonych złotych się dostało;
A oprócz tego na mundur osobno,
Aby nie tykać woreczka ze złotem:
Więc się w świat można było puścić o tem,
Choć w sercu było długo mi żalobno.

Po drodze było jeszcze dość scen rzewnych:
Bo ojciec kazał objechać mi krewnych,
Błogosławieństwo na drogę uprosić,
I zlecić sobie łasce i pamięci;
Więc nie raz przyszło jeszcze oczy zrosić:
Bo cóż to serca i co dobrych chęci
Miał ten świat polski dla młodego człeka,
Każdy obdarzył — bo podróż daleka,
I błogosławił — bo kolej niepewna,
I żegnał chlebem na domowym progu,
I dał przestrogę, i polecił Bogu,
Że dzisiaj o tem pamięć jeszcze rzewna.

Ledwo we Lwowie mogłem się ukoić,
Gdziem sobie sprawił cały mundur nowy,
Abym przystojnie mógł się już wystroić,
I już na kresach stanął jak wojskowy.
Ale od Lwowa stał już świat otwarty,
I pojeżdżałem w kraje co raz nowe...
Na wierzchu bryki trzymał kuchta charty,
Na jeden popas szły przodem wierzchowe.

Dopóki jeszcze szła droga Podolem,
Jechałem sobie przez piękne obłogi
I dniem i nocą, i lasem i polem,
Jak swoją stroną, nie pytając drogi;
Lecz gdym się przebrał przez podolskie jary,
Kiedym się wybił na wielkie równiny,
Minąwszy nieco Konstantynów-Stary,
Owiał mnie oddech już obcej krainy:
Bo tam na wschodzie od wioski Bachłaje
Już ów tatarski „Czarny-Szlak“ nastaje⁴⁾,
I wieją wschodnie wiatry ukraińskie,
I w trawnych stepach buja sobie oko,
I pierś oddycha wolno i szeroko:
Hej! gdzie Rzym? gdzie Krym? gdzie Karczmy Babińskie⁵⁾?

Wolno jechałem, bo była pogoda,
I maj na niebie i w duszy swoboda;
Nie raz mi nocleg przypadł w stepie czystym,
I głos przepiórki do snu mnie ułożył,
A kiedym oczy znów w nocy otworzył,
Tonęła dusza w tem niebie gwiazdzistem:
I wówczas czułem na łonie natury,
Ze naszym sercem taka pieśń kołysze,
Której Pan nieba błogosławi z góry,
Lecz której w słowach człowiek nie wypisze.

Są piękne chwile i czyste natchnienia
W życiu człowieka, co lgną do sumienia
Jak jasne gwiazdy, jak słowa miłości,
Dopóki jeszcze godzien tych piękności.

Takie to było w stepach me zaranie,
Od takiej zorzy brałem powitanie,

I takie głosy nieba czy narodu
Niósł wiatr stepowy do duszy od wschodu...
I tak jechałem co raz dalej, dalej,
A step przepływał nakształt morskiej fali.

Ze stepów Bohu, więcej ku wschodowi
Zwróciłem konie na stepy Dnieprowe,
I pojeżdżałem szlakiem ku Dnieprowi,
Kędy na kresach wojska narodowe
Od ujścia Rosi począwszy już stały — ⁶⁾
A gdzie mi tylko mignął futor mały,
I w każdym siole i nad każdą rzeką
Pytałem ludzi, czy jeszcze daleko
Do brzegów Dniepru. — A czem bliżej było,
Tem niespokojniej serce moje biło:
Jakieś uczucie szczęścia i obawy,
Jakieś pragnienie i czynów i sławy
Paliło duszę — i z każdym noclegiem
Jechałem raźniej — jakby nad tym brzegiem
Raj obiecany gdzieś tam dla mnie leżał,
Jakbym się lękał, żeby nie odbieżał
Dniepr swego brzegu! —

I noc zapadała,
I znowu ranna zorza mi świeciła,
I znów był dzionek i było południe,
Gdym ujrzał futor i dworek i studnię.

Zjechałem z szlaku chcąc się napić wody,
Wtem wyszedł z dworku człowiek już nie młody,
A widząc, żeśmy zjechali już z drogi,
Krótkimi słowy zaprosił w swe progi.
Był to poważny szlachcic i wojskowy,
Co w kawalerji służył narodowej;
Właśnie już było nakryto do stołu,
Więc też i obiad zjedliśmy pospołu.
Świadomy miejsca opisał mi drogę,
I rzekł, że w miejscu stanąć jeszcze mogę
Na pierwszej luce, nim słońce zapadnie ⁷⁾,
Ale że dobrze pojeżdżać wypadnie.
Więc też nie bawiąc uprzejmie zegnałem,
I wzięwszy mundur żwawo pojeżdżałem.

Noc już zapadła od godziny blisko,
Gdym w końcu stanął na luce strudzony,
Gdzie pan porucznik miał swe stanowisko,
Któremu listy byłem polecony.

Po drodze nocny rozjazd mnie powitał,
I przeprowadził do samej granicy,
Żołnierz od czaty naprzód mnie wypytał,
Potem samego puścił do strażnicy.

Zwolna wstąpiłem do izby ponurej,
Którą z nad pułki kaganek oświecał,
A od tej pułki wisiały trzy sznury,
Które jak lonty był ktoś porozniecał⁸⁾.
Dymek błękitny płonącego włókna
Wąskim się pasem po izbie rozścielił,
W wielkim kominie płomień czasem strzelił,
I zbiegł wężykiem po szybach od okna. —
A izba była pusta jak stodoła,
Prócz kołków w ścianie, prócz ławy i stoła
I prócz proporca, nic więcej nie było.

Przetarłem oczy, bom nie wierzył sobie,
I rozumiałem, że mi się przyśniło
Jakieś widziadło, niby w nocnej dobie:
Jak gdyby z grobu powstał hetman który,
Taki mnie widok ugodził potężny,
Taki mąż siedział przedemną orężny,
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury,
Na koźle z drzewa uciesanym siedział
Niby na koniu — a choć sobie drzymał,
Czuwał jak żuraw i o sobie wiedział,
Bo śpiąc pistolet w prawej ręce trzymał. —
Biały włos lekko osrebrzał mu głowę,
A rysy były tak pięknie surowe,
Że więcej prawie podobien z daleka
Był do posągu, niżli do człowieka. —
Był to pan Mohort⁹⁾.

A gdy przed nim stałem,
Gdy mu od ojca listy oddać miałem,
Patrząc na niego, dopiero pojąłem,
Dla czego ojciec mówił: — „Czołem! Czołem!

I nie zapomnij Waść w gębie języka,
Gdy przyjdzie witać pana porucznika!“
Bo był to jeszcze wojownik z pod znaku,
I wielki strażnik hetmańskiego szlaku,
Czujny jak żuraw, całe życie zbrojny,
Jako lew dzielny, jak posąg spokojny.

Długo myślałem, co robić wypada:
Zbudzić? nie budzić? — trudna była rada;
Stoję i czekam — kaganiec się mroczy,
W tem brzęknął pałasz od przeciwnej strony,
A pan porucznik rozwarł zwolna oczy:
„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!“
— Na wieki wieków! — z cicha odpowiada,
I z kozła swego nihy z konia zsiada,
A potem trochę kagańca poprawił,
A potem rzucił na mnie wzrok surowy,
I zmierzył ostro od stóp aż do głowy,
I pytał krótko — a gdym mu się sprawił,
Rzekł, wysłuchawszy z uwagą wszystkiego:
„Jak się dzień zrobi to i list wyczytałem,
A teraz syna pana Antoniego
Jako krew bratnią z pocziwością witam!
Dziś już za późno, i jestem na służbie,
Lecz jutro Waści na kresach podružbie:
Już tu nie jeden pierwsze żołdy czynił¹⁰⁾,
Więc po staremu będę gospodynili...”

Poszedł ku pulce, kędy stał kaganek,
Do owych sznurów za zegar służących,
Policzył węzły na knotkach płonących,
I rzekł: „Nie zaraz będzie jeszcze ranek!
Wracaj do koni, boś zdrożony może,
A jak zatrąbią na poranne zorze,
Czekam tu Waści“ — potem krzyknął — „służba!“
Starszy towarzysz, człowiek już nie młody,
Wstąpił do izby. — „No, przybył nam družba!
Dacie mu nocleg a koniom wygody“,
Rzekł pan porucznik, i zlecił nas Bogu,
I przeprowadził oczyma do progu.

Kiedy oświłem — dopiero ujrzałem,
Żem był w okopie, który zamykała

Brama, na piętro otoczona wałem.
Była to sobie taka twierdza mała
Nad brzegiem Dniepru — okop był sklepiony,
W nim stały konie na bramie strażnicy,
Nad bramą obraz był Boga Rodzicy,
A pod nim napis — „Pod Twoje obrony“.

Ledwom się trochę ogarnął z noclegu,
I ledwom sprzątnął po sobie me łoże,
Przybył towarzysz: że czas do szeregu,
Bo już zatrąbią na poranne zorze.

„Baczność!“ i Mohort stanął przed szeregiem:
W górze nad bramą był ganeczek mały,
Z niego się trąby po rosie ozwały,
I głos ich skonał za Dnieprowym brzegiem.
Hejnał krakowski odgrali trębaczę,
Który od wieków, co zorzy porannej
Z Maryackiej wieży po nad Polską płacze ¹¹⁾
Czystemi łzami Przenajświętszej Panny;
A potem męskie podniosły się głosy,
I pieśń pobożną wysłano w niebiosy.

Jak nie zapomnę nigdy pierwszej bitwy,
Tak nie zapomnę tej pierwszej modlitwy,
Bo cudny urok miał ten śpiew poranny
Polskich rycerzy do Najświętszej Panny,
Który po wiekach i po bojowiskach
Od pokolenia starej Polski płynął,
I tu dopiero w dneiprowych urwiskach,
Na krańcach Polski w Ukrainie ginął!

Po tej modlitwie chórem odśpiewanej
Rozjazdy nocne raporty złożyli,
Potem szła kolej i służby i zmiany,
A chwilą później gdyśmy odstąpili,
Dopiero wówczas znów mnie Mohort witał,
I rzekł, że listy od ojca odczytał,
I życzy sobie opatrzyć me konie.

Z nocy stał jeszcze mój tabor na stronie,
Ludzie przy bryce, konie posiadłane,
I do poręcza rzędem powiązane.

„Coś mi Waść dwornie! a wyglądasz przecie
Jakbyś sam jeden mógł jeździć po świecie!”

Potem obejrzał cały tabor w koło,
Konie i ludzi, i z tyłu i z przodu,
I rzekł mi w końcu, pomusnąwszy czoło:
„No — konie dobre! i nie miały głodu!
A co do ludzi to zobaczym jeszcze.
Waść jedziesz ze mną — lecz na moim koniu,
A rzeczy twoje i ludzi umieszczę
Tu na podzamczu, w bezpiecznem ustroniu,
Lecz swoje konie każ mi rozkuć zaraz,
Bo choć wierzchowe, niebardzo im skoczno;
W znaczek je puścić — niech z drogi wypoczną,
Bo w wojsku konia potrzeba nie na raz.

Pisze mi ojciec, że się rwiesz do świata,
I że krew żwawo po żyłach się sączy,
Więc wypróbujęm tutaj pana brata.
Jest tutaj pole, zobaczym czyś rączy,
Krewkość niedobra — ale krew rzecz święta,
I nie za piecem chowają orlęta!
„Ptaku mój, ptaku pancernego znaku!”¹²⁾
Ot dzisiaj właśnie na kresy wyruszę,
Pojedziesz ze mną od szlaku do szlaku,
Kędy rycerskie rosły animusze,
Tam się rozpatrzeć trzeba Waści rano,
Bo co jest dzielne, to dla nas nieobce,
Boć i ojcowie mieli krew rumianą,
Jak świadczą w stepie mogiły i kopce!

Kiedy to mówił, zwolna sobie kroczył
I wstąpił ze mną na okop wspaniały;
A stąd dorazu kraj się rozkrył cały¹³⁾,
Dniepr u przepaści wstęgę swą roztoczył,
A jak najdalej sięgło tylko oko,
Świat się rozłożył za Dnieprem szeroko,
A na wzdłuż rzeki pomiędzy skałami
Mgła się poranna zwijała kłęбами,
I w tejże chwili pierwszy blask promienny

Ocknięte stopy z ukosa zadrasnął,
I świat się budził — ale Dniepr był senny
I spać się zdawał — jak pod mgłami zasnął...

Ledwom wrażenie w duszy stłumić umiał,
Ah! bo i w duszy było wówczas rano...
A Mohort zda się, że mnie wyrozumiał,
Bo rzekł: „i oni mieli krew rumianą!”

Trąba z nad bramy dała znak pochodu.
„No weź żywności, byś nie doznał głodu,
Bo różnie bywa, a nabij Waśc bronie,
Mnie czas opatrzyć i ludzie i konie!”

Bo trzeba wiedzieć, choć nie było wojny,
Przecież na kresach rzadki dzień spokojny.
Humańskiej rzezi pamięć była świeża ¹⁴⁾,
A bojaźń dżumy trzymała żołnierza
I dniem i nocą na czasie granicznej:
Bo potrzeb wielka, a człek był nie liczny.
A że porucznik sobie nie folgował,
Więc i podwładnych w służbie nie żałował,
To i o plaster nie było tam trudno,
I trzeba było stawać nieobłudno.

Tam na dwór jakiś Tatary napadli
Na podgraniczu, i cerkiew złupili,
To znów Kozacy tabun nam ukradli,
Czeladź uwiedli, lub wioskę spalili,
Czasem i łotry od multańskiej dziczy
Wtargnęli, siłą dostawszy języka,
Czasem też nasi tak na ochotnika
Ruszyli sobie na odwet ku Siczy.

To też, gdy Mohort objeżdżał granicę,
Zawsze wyruszał najmniej we sto koni,
Gotów do boju — i w takiej pogoni,
I tym też razem opuszczał stannicę.

Poczt był prześliczny, gdy ruszył po błonię;
Na przodzie jechał na srokatym koniu
Najstarszy trębacz, sławny nasz Kafarek,

A za nim siedział na kuli Zegarek ¹⁵⁾.
Tak zwał koguta, co go woził z sobą,
Bo był jak sokół na to unoszony,
Aby znać dawał, kiedy nocną dobą
Czas zmieniać straże — jakoż ustrojony
Był czarny kogut w porządnym kapturek:
We dnie na głowie a nocą na sznurek
Wzięty do nogi budził obóz cały,
I podług niego czaty się zmieniały.
Tak był łaskawy, że z rąk tylko jadał,
A przy ognisku na ramię nam siadał.

Kafarków srokacz nie dotykał darnia,
A nocą świecił przodem jak latarnia;
Sam zaś Kafarek był myśliwy sławny,
I do sokołów i do chartów sprawny;
Tuż przy nim biegło zawsze chartów kilka,
Z których brał każdy pojedynkiem wilka.

Kiedyśmy kresów objeżdżali kraniec,
A noc zapadła nas czasem na stepie,
Wówczas rozpalał Kafarek kaganiec ¹⁶⁾,
I nie raz przygrzał Tatarowi w ślepie,
A łulkę przy nim pozwolił zapalić,
I w dobrej zgodzie z granicy oddalić.

Od ujścia Rosi — aż tam gdzie Siniucha
Na pograniczu już do Bohu wpada,
Szła linja kresów i ziemia tak głucha,
Że tylko czasem pod koniem zagada.

Sześć tam chorągwi pogranicza strzegło,
Daleko było od luki do luki,
I kilka rzędów mogił stepem biegło,
A czort stepowy wyprawiał swe sztuki.

Pan Mohort z dawna miał obyczaj taki,
Że gdy poczt sprawił i wywiódł na szlaki,
Opodał środka sam jechał na boku,
Aby miał ciągle cały poczt na oku,
I gdzie potrzeba, stanął w jednym skoku;
Tutaj poczynął o zorzy porannej

Śpiewać godzinki do Najświętszej Panny,
A wszystka wiara powtarzała za nim,
I pieśń płynęła po rosie zaraniem, —
Konie paraskaly, a jakaś otucha
W górę ku niebu podnosiła ducha.

Głos miał potężny: i czy tam bywało
Krzyknie przed siebie „A wolno od czoła!“
Czy na straż tylną w potrzebie zawoła,
To już wyraźnie człeku się zdawało,
Że w ucho mówił, chociaż się nie silił,
A na komendę nawet koń nie zmylił.

Z tego też miejsca było najdogodniej,
Kiedy już w stepach było nieco chłodniej,
W miejscu opatrzyć zająca i strzelić,
Lub się w pochodzie charty rozweselić¹⁷⁾.
Jeśli Kafarek prześlepił na przedzie,
To już pan Mohort pewno go dojedzie;
I zawsze bywał, kresy objeżdżając,
Lub na pieczyste, lub do barszczu zając.
A jak Kozacy dostarczali burek,
Tak lisy w rudkach kresowych lisiurek.
Pan Mohort w stepach rad zawsze polował,
I nie jednemu i wilki darował¹⁸⁾.

Jako nowicjusz ja na lewem skrzydle
Jechałem z razu, i koń mi się zrywał:
Spostrzegł to Mohort. — „Jak tam koń w wędzidle?
Czy Waść na przedzie zawsze tylko bywał?
Poskocz no ku mnie!“ a więc w jednym skoku
Zebrawszy konia, byłem mu u boku.
„Basta!“ zawołał. — „Śmiało jeździsz Wasze,
Jeśli tak samo zetniesz się w pałasze,
To nie źle będzie, boś równo osadził,
Byleś mi konia spokojniej prowadził.
Jakże się Waści w tych polach podoba?
Tu już potrzeba z konikiem od żłoba!
Pierwsze to pierwsze pole na sokole,
Toć poznać trzeba tę rycerską rolę.
Kto w boju legnie, narodowi miły.
Bóg sieje ludzie — człek sypie mogiły...

Kto Boga w sercu, a kord ma przy boku,
Ten znać powinien, że oko puklerzem,
Że cała dusza ma być wiecznie w oku,
Kto nie ma oka, nie będzie rycerzem —
A kto rycerzem, ten już po zakonie
Znać to powinien, czego bronić trzeba:
Więc naprzód stawać ma w wiary obronie,
I Marji Panny, tej Królowej nieba,
Potem w obronie granicy — i basta!
Bo reszta z tego już człeku wyrasta.
A kto się takim puklerzem uzbroi,
Kto przy kościele i granicy stoi,
Ten się prócz Boga niczego nie boi.
Tyle słów wszystkich — i pasuję niemi
W wielkiej ojczyźnie ciebie na rycerza:
Pilnuj zakonu! dotrzymaj przymierza,
A wszystko składaj w Bogu albo w ziemi...
Tyle słów wszystkich“.

I jakoż ni słowa
Nie rzekł już więcej do końca samego,
Ani następnie, ani dnia owego
Tej treści do mnie — lecz mądrość surowa
Przyłgnęła mocno na zawsze do duszy,
I nic jej z serca więcej nie wyruszy!

Boć to zaprawdę nie zła była szkoła,
Gdzie oprócz nieba i stepu dokoła,
Tylko mogiły świadczyły przeszłości,
I poprzedników pobielale kości;
A prawdę poznać na rycerskim szlaku,
I ślad pocziwy własnem sercem zmierzyć;
„Hej ptaku, ptaku pancernego znaku!“
To w taką prawdę wiecznie trzeba wierzyć.

Kiedyśmy wyszli na hetmańskie szlaki,
Kazał pan Mohort narodowe znaki
Odkryć — i z pierwszej stepowej strażnicy
Kazał otrąbić pieśń Boga-Rodzicy,
I rzecze do mnie: „To już grunt klasyczny,
I w ręku dzielnych jak bułat dziedziczny,

I odtąd wszystkie mogiły już liczył,
Tu już tradycją trzeba dziatwie matczyć,
Bo ci śpią głucho, co by mogli świadczyć".
I wszystkie wały i graniczne kopce,
W których okopach gdzie kto stawał kiedy,
I kto dowodził, kto zwyciężył wtedy,
Wszystko to, wszystko nie było mu obce.
Nie raz to zjechał ze szlaku na miłę,
By obóz stawał zawsze przy mogile,
Znał każdy futor, każdy młyn stepowy,
Każdą pasiekę pomiędzy parowy,
Każdą krynicę, każdy krzyż przy drodze —
I kiedy nocą pofolgował wodze,
Sam koń już wleźdzał, kędy mu potrzeba,
A ty patrz tylko gwiazdzistego nieba —
I gdy ta ziemia dla nas wszystkich była
Zakłętą księgą, gdzie tajemnic siła,
O które każdy tylko serca pytał,
To on w tej księdze tylko jeden czytał.

Nie tyle grozą, jak raczej dozorem
Stała chorągiew — bo Mohórt był wzorem
Wojskowej służby — i kto pod nim służył,
Służbę pokochał i nią się nie nużył,
I mimo wiedzy nabierał spokoju,
Powagi, hartu i serca do boju.
Lubił odwagę w towarzystwie naszym,
Lubił i zręczność i dzielność na koniu;
Ale broń Boże brzęknąć tam pałaszem,
Lub dla pustoty harcować po błoniu,
Zawsze ukarał za takie junactwo —
To się też strzegło i wybryków bractwo.

W samych początkach nie wiedziałem o tem,
I nabawiłem się trochę kłopotem:
Nad brzegiem Dniepru leżały tam kłody,
Kędy chorągiew z końmi szła do wody.

Chętka mnie wzięła: ano czy koń skoczy,
I nuż harcować przez kłody i łodzie,
A w towarzystwie rozległ się ochoczy

Okrzyk — a Mohort spuszczał się ku wodzie
Z góry wąwozem — ja go nie dojrzałem;
Ale jak zwykle, w towarzystwie całem
Chciano koniecznie bym wpadł w samotówkę,
I jak nowicjusz opłacił frycówkę.
Więc nikt nie ostrzegł, że porucznik jedzie,
Aż sam już krzyknął: — „Będzie tego! będzie!
A jakież junak! jaki rycerz srogi!
Ot z pozwoleniem... Ot powiem ja Waci,
Nie wielka sprawa, że szkap ma nogi!
Kto chce być dzielnym, niechaj sobą płaci!
A gdy się stawisz do skoków ochoczym,
To dla junaków są tu inne skoki ¹⁰);
Kłody wysokie, a Dniepr nie wysoki,
Więc proszę za mną — na tamten brzeg skoczmy!”

I puścił konia — koń był dzielny, śmiały...
Spłynął a płynie, że widno grzbiet cały.
Z razu pół biedy — lecz gdy w środku rzeki
Przed się pojrzałem, a tu brzeg daleki,
A woda zniosła a strach mnie opłynął,
To byłbym może wówczas tam i zginął.

Ale mój Mohort, jak na szpaku bryźnie,
Jak mnie nie poprze swoim koniem z hoku,
Jak nie pochwyci, to już w jednym skoku
Wyrwany z toni stałem na mieliźnie.

Wir nie szeroki, lecz był bardzo rwący,
Dalej nie było koniom jak do brzucha. —
„A co? — powiada — a gdzieś podział zucha?
Kipy Dniepr bratku, chociaż nie gorący!”
Ale z powrotem to już czajka w biegu
Zniosła nas lekko od drugiego brzegu.

II.

Dzielny był Mohort i silny i zdrowy,
Czysty jak gołąb, do ostatniej nitki,
Nie brakło nigdy ni szabli, ni kitki,
Lecz jak się zdało był bardzo wiekowy.

Miarkując z tego co sam opowiadał,
Już dobrze z górą sto lat sobie liczył —
Jakoż na konia z klocka tylko siadał,
Z wieczora sypiał, raz na dobę jadał,
A już z północks wszystkie kury liczył.

Za szwedzkiej wojny był już namiestnikiem,
I pięciu królów pamiętał na tronie,
Nie było człeka w Litwie i Koronie
Coby po służbie był mu rówieśnikiem;
A jak pamięcią najstarsi sięgali,
Wszyscy Mohorta już siwego znali.

Z dawnych to wieków tak w Polsce bywało,
Że te chorągwie, co na Rusi stały,
Starzejąc w służbie i idąc za chwałą,
Więcej hetmanów niż królów słuchały.

Był to akt wiary każdego szlachcica
Na Ukrainie, że już po kościele
Niema jak hetman na rycerstwa czele;
Że nic świętszego w Polsce, jak granica!
A strzec granicy — to rycerska sprawa!
Więc też na kresach o to dbano mało,
Co się tam z królem i na sejmach działo,
Byle wojskowa nie cierpiała sława.
Lecz o to dbały ukraińskie duchy,
By się pan hetman choć raz na rok stawiał,

I dodał wojsku serca i otuchy,
I sam chorągiew w czystym polu sprawił.

Więc też i Mohort był na to zbyt czuły,
Co dla rycerstwa niósł obyczaj stary;
A od hetmanów dane artykuły
I straż graniczna była aktem wiary²⁰⁾!
Tak zaś wysoko zasługi oceniał,
Że po pacierzu, sercu w upominek,
Imiona wszystkich Hetmanów wymieniał,
A potem mówił — „Wieczny odpoczynek“²¹⁾
Za wszystkich, wszystkich Litewskich, Koronnych
Wielkich i Polnych — a co bitew dawnych,
Co fortec wziętych, i co miejsc obronnych,
Wszystkie wymieniał przy hetmanach sławnych;
A kolej dziejów miał tak ułożoną,
Żeby i we śnie dokończył jej pono.
„Klemens Branicki! — tu się zwykle wstrzymał —²²⁾
To już ostatni!... dodawał powoli,
To już ostatni! Panie i to boli...“
A potem westchnął — westchnął i zadrzymał.

Ha! był to rycerz polskiego przymierza,
Bo pamięć dziejów łączył do pacierza.

Z Litwy był rodem, choć na kresach służył;
Choć stan rycerski nad wszystko mu plużył,
Lubił i rolę, i miał stepu kawał,
Futor, pasiekę i wszystko prócz domu;
Ogrodu swego też orać nie dawał
I obsiać ziarnem na wiosnę nikomu,
Lecz go sam orał — „Odwykać nie trzeba
Człeku od roli, a wyknać do domu!“
Tak to zazwyczaj do nas młodych mawiał —
Co wiosnę zorał choć zagonów parę
Koło futoru — lecz domu nie stawiał:
Bóg i animusz grzeje starą wiarę!
A więc w namiocie od śniegu do śniegu
Mieszkał zazwyczaj — czasem w wielkie szargi
Przysiadł w pasiece — „O zacznijcie wargi“
I znów powracał po krótkim noclegu,

Ale nie ściągnął na leże zimowe
Jak równo z zimą, po pierwszej ponowie,
Bo zwykł był mawiać: — „Złe szlaki tropowe!“
Szalone było też u niego zdrowie,
Zawsze pochmurne, choć się nie frasował,
Nigdy w swem życiu i dnia nie chorował;
Podpił raz na rok w dzień swego patrona,
„Vivat Rycerstwo! Litwa i Korona!
I Ruś co żywi nas tym chlebem Bożym,
I kędy głowę i te kości złożym!“
Tak zwykle kończył, gdy go miód rozbierze,
I ciągnął w myśli na „zimowe leże!“
W maju krew puścił, i pił jakieś zioła,
I tyle szwanku miał na ciele zgoła,
Co odniósł w boju — ale był pocięty!
Stąd gdy przed burzą rany go targaly,
Ledwo mógł skończyć pacierz rozpoczęty,
Choć i w modlitwie był wszystek i cały,
Choć Litwin z rodu, choć uniata hardy,
Choć jak dyament, był katolik twardy.

Cztery mil prawie od granicznej luki
Był tam monaster Ojców Bazylianów,
W nim księża wielkiej cnoty i nauki,
Wspierani łaską okolicznych panów,
I nie daremnie, bo miała przytułek
Tam młódź uboga z parafjalnych szkólek:
I już nie jeden, co u furty jadał,
Kiedy się pięknie w tych szkołkach wyćwiczył,
Na starość w ławce przy ołtarzu siadał,
A syn już po nim i wioski dziedziczył.

Sławne to miejsce było odpustami,
A stary Mohort był tam niby w domu,
Bo żył w poważnej przyjaźni z księżami,
I całe dzieje klasztoru nikomu
Nie było równie znane, jako jemu...
I tu od wszystkich starszy, po staremu,
Jak i na kresach poważnie rej wodził
I z cicha kącik na starość łagodził.
I zawsze mawiał: — „kiedy już nie będzie

Mógł się na konia, a Bóg mu pozwoli
Zebrać co grosza, a klasztor zezwoli,
To na dewocji u Ojców osiedzie“.

Jakoż w klasztorze miał już własną celę,
A w niej szlacheckie swoje depozyty:
Turecki namiot, drogie karabele,
Kilka par sukien, nie jeden pas lity,
Sadzone rzędy, co droższe rynsztunki,
Słowem rycerskie sprawne inoderunki.
Więc i książ kilka i kilka puharów,
Kilka pamiątek jeszcze od hetmana,
Parę kobierców i klasztornych darów,
I sławną szablę od samego Ilana, —
I familijne w kantorku papiery,
I relikwiarzyk od matki nieboszczki,
I z Matką Boską ryngraf złoto-szczery,
Święcone wianki i palmowe różdżki, —
I Święci Pańscy ozdabiali ścianę,
A łoże nisko u ziemi wysłane
Było okryte końską skórą białą,
Jako na zakon rycerski przystało.

Miał i piwnicę własną dla wygody,
Co swoim sumptem przed laty zmurował,
W niej stare wina i wytrawne miody,
A jak mówiono i stary grosz chował,
Co go przekazał po najdłuższem życiu
Na klasztor (jako starszy brat cerkiewny);
Tylko ksiądz jeden i jeden dziad pewny
Wiedział o skarbie, gdzie leżał w ukryciu.

Chodziła bowiem gadka między ludem,
Że Mohort doszedł bogactw prawie cudem,
Bo mu się nocą jakiś duch pokazał
Wichrami gnany w czyścowej katuszy,
I pod mogiłą skarby mu przekazał,
Prosząc, ażeby pamiętał o duszy
Dziwne to dziwne są te sądy Boże!

Lup hajdamaków znalazł się w klasztorze.
Czyli tak było? — nie wiem — lecz gadano,
Że tem sierotom dał nie jedno wiano,

Co po humańskiej rzezi pozostały,
I z miłosierdzia w chatach się chowały.
A ile razy tylko nów nastawał²³⁾,
Za dusze zmarłych na Msze święte dawał.

Dwa razy na rok dłużej się zabawiał
W murach klasztornych: raz gdy gości gościł
Na imieninach — to znowu gdy pościł,
I rekolekcje w Wielki Post odprawiał.

Na Symeona bywał praznik w maju
I w monasterze, w święto Symeona
Obchodził Mohort dzień swego patrona.

Monaster leżał prześlicznie śród gaju
Cienistych dębów, śród lip i jaworów,
I cała szlachta z okolicznych dworów
W tym dniu zjeżdżała na solenizację;
A Mohort suto podejmował bracią.

Namiot turecki stał zwykle wzniesiony
Przed monasterem dla uroczystości,
A solenizant pięknie ustrojony
Stał przed namiotem i przyjmował gości,
I pośród gaju bywał dzień wesóły,
Bo pod lipami zastawiano stoły,
A gdy wiwatów nadeszła już pora,
Trąby ich odgłos roznosiły z wieży
Na okolicę — a na znak rektora
Bito na wiwat z klasztornych moździerzy.

A potem znowu cicho przez rok cały
Bywało w gaju — tylko słowik śpiewał,
Tylko głos dzwonu wzdłuż jaru przepływał,
I po nad źródłem światełka migwały,
Gdzie z pod kapliczki sączył się źródło mały.
I w ciągu roku zdarzało się częściej,
Że ze Mszą świętą księża przybywali,
I dobrodzieja na luce zwiedzali,
Chcąc się dowiedzieć, jak mu Pan Bóg szczęści?

Na nabożeństwie czterdziesto-godzinnem,
I na Popielcu z nami jeszcze bywał,

I „Gorzkie żale“ po sumie zaśpiewał;
Lecz po nich zdawszy już komendę innym,
Wracał na futor i brał kubrak na się —
A co uzbierał przez rok cały w czasie
Z sadu, z pasieki, z bydła i ze młyna,
Z tego szła więcej niżli dziesięcina
Do monasteru Ojców Bazyljanów.

Dwie a czasami trzy wołowe maże
Suto ładowne szły dla Ojców w darze —
A na najpierwszej sam siedział na wierzchu,
I zwykle stawał na miejscu o zmierzchu;
A gdy zadzwonił u furty klasztornej,
To już nie rycerz, lecz kubrak pokorny
Odsyłał ludzi do dom w Imię Boże,
A sam się wpraszał pokory słowami
Na rekolecye — a wozy z wołami
I cały zapas zostawał w klasztorze.

To już przez cały Wielki-Post się bawił,
I włosiennicę pokutną przywdziewał,
Długie godziny na modlitwie trawił,
I z księżą razem w chórze pieśni śpiewał;
Bo jako rycerz wziął pokorę z daru,
Więc na usługach cichych i pokornych
Czuwał przy chorych, a chłopców klasztornych
W kolej pacierza słuchał i alwaru.

Tu na rok cały leki przysposabiał:
Jeruzalemski balsam zwykle rabiał,
Maść Matki Boskiej cudną od zranienia,
Rycerski kordyał z ziół i okowity,
Na wszelke wewnętrzne bóle wyśmienity.
I jakieś proszki od gadu kąszenia.

Tu zapas kartek zwykle wygotował,
Któreми ludziom febrę odpisował;
A dla klasztornej i własnej wygody
Przepędzał wódki i rad sycił miody...

A gdy pomyślał o duszy i ciele,
O refektarzu, o świetle w kościele,

I o kalectwie klasztornej furty,
Gdy chłopców postrzygł i w łaźni wyparzył,
I przybrał w nowe koszule i kurty,
A okoliczne ubóstwo obdarzył:
Wówczas dopiero dla sławy Narodu,
Przy postnych grzankach i przy szklance miodu
Z całego roku z pomocą rektora
I „*Silva m rerum*“ spisywał z wieczora;
Aby w klasztornych księgach pozostało,
Co się w Ojczyźnie i w Kościele działo ..

Gdy Wielki Tydzień w końcu już nadchodził,
Mohort zazwyczaj wszystko załagodził;
A kiedy Mękę Pańską zakonniczy
Rozpamiętywać w końcu poczynali,
Kłęczał i Mohort tam, gdzie się kapnicy,
Zakrywwszy głowy, w skrusze biczowali ...

Aż w Wielki Czwartek znów był mundur wzięty,
Gdy przystępował do spowiedzi świętej ...
A choć post cały gdzieś w kąciku jadał,
To w Wielki Czwartek, gdy mundur ubierze,
Po prawej ręce rektora zasiadał
I w refektarzu jadł Pańską Wieczerzę.

A po wieczerzy, starym obyczajem,
Na koń i do dom — komendę odebrał
Przed rezurekcyą — i do ust nic nie brał,
Póki się z nami nie podzielił jajem ...²⁴⁾

Przeszedł czas długi saskiego pokoju,
Rozpił się naród i odwykł od boju,
Po nim nastąpił wiek innego kroju:
Stanisław August i uczył i stroił,
Lecz nie douczył, ani też dozbroił.
A mój Pan Mohort przez te wszystkie czasy,
Gdy inni tylko popuszczali pasy,
Jak słup graniczny na granicy siedział,
Starzejąc w służbie, a zawsze o swoim;
I choć na kresach o wszystkim nie wiedział,

Trapił się w kraju tak długim pokojem;
I dochodziły o nim króla słuchy,
Poznał go nawet kiedy był w Kaniowie.
Lecz że królowi przydworni panowie
Ganili zawsze te stepowe duchy,
Stąd też i łaski u tronu nie mieli.
Chociaż w usługach ojczyzny starzeli.

Był tam Rudnicki, był tam Madaliński,
I Mokronowski późniejszemi laty,
Czasem przebywał i hetman Ogiński...
A towarzystwo? to Konfederaty
Co drugi prawie — i komu zaduszo
Było w Koronie, w partyi ukraińskiej
Znalazł i miejsce i okazyę słuszną,
Dawnych przyjaciół lub przymierze nowe,
I miał przynajmniej już złożyć gdzie głowę.
Stąd tutaj tylko, i u takiej wiary
I duch rycerski i obyczaj stary
Mógł się przechować jeszcze po staremu;
I kto tu widział wszystko jeszcze cało,
Nie mógłby nigdy nawet wierzyć temu,
Co się podówczas już w Warszawie działo.
Lecz i na kresy przyszła w końcu kreska,
Bo się poczęto przypatrywać z bliska
Sprawom i ludziom, w obozie i w radzie,
Bo się ważyły rzeczy w nowym składzie

W koronnem wojsku miał żołnierz traktament,
I cudzoziemski był już autorament,
A kawaleryi narodowej strojem
Každy towarzysz służywał o swoim,
I sam się żywił, i zbroił i odział;
Komenda polska, na chorągwie podział.
I małe poczty prowadził namiestnik...
A już z chorągwią pan porucznik chodził,
Kiedy rotmistrzem był miecznik i cześnik,
Co nigdy w służbie ludźmi nie dowodził,
Bo w Wielkopolsce lub w Krakowskiem siedział
I o chorągwi swojej ledwo wiedział.

Takim to sprawy szły podówczas szykiem,
I był pan Mohort takim porucznikiem.
A że najstarszy był służbą i wiekiem,
Że rzecz nie stała rangą, lecz człowiekiem,
Że wiecznie siedział na miejscu i łęku,
Stąd wszystkie końce jeden trzymał w rękę; —
Przeszli hetmani i regimentarze,
A to się działo co pan Mohort każe,
Bo stał przy Bogu i brał rzeczy nago,
Stąd stało wszystko tam jego powaga.
I gdy król pytał: — „A cóż się tam dzieje?
Jakiż od Dniepru duch tam teraz wieje?“
To zawsze wyszedł z partyi ukraińskiej
Na wierzch pan Mohort i pan Madaliński;
Lecz wypadło to w końcu odmienić:
Czego zgnieść trudno, to trzeba pocenić.
— Weźmy Mohorta tutaj do Warszawy,
A jakoś pójdą ukraińskie sprawy —
Lecz pan Branicki im na to powiada:
„Weźmy Mohorta bardzo piękna rada,
Ale ja wątpię, czy się to powiedzie,
On służbę rzuci, a tu nie przyjedzie,
I cała partya tylko się oburzy,
Bo Mohort służy, jako nikt nie służy.
Takich jak Mohort nie wielu naliczym;
Jeśli nie służbą, nie ujmiem go niczem!“

A pod te czasy przybył do Warszawy
Był ksiązę Józef, co się z Kińskiej rodził,
I zagranicą długo do szkół chodził,
I nabył nawet już wojskowej wprawy,
Bo regimentem cesarskim dowodził;
Ale że z rodu był w pół cudzoziemiec,
Że nie znał kraju, i nie miał zacięcia,
Stąd nie miał w wojsku ni w narodzie wzięcia,
I pospolicie był zwan: Ksiązę Niemiec.

Król się tem strapił, bo go umiał cenić,
Więc wypadło coś jakoś odmienić,
I dać mu jakąś sankcyą osobliwą.
Tu pan Ogiński wpadł na myśl szczęśliwą

Wezwać Mohorta i oddać mu księcia:
Polską komendę niech pozna co żywo.
To i nabierze polskiego zacięcia,
I jeszcze w wojsku i w narodzie wzięcia.

Więc jako hetman i najstarszy drużba
Pana Mohorta taki list wyprawił:

„W Bogu, i z Bogiem!

Towarzyszu służba:

Konno i zbrojno będziesz tu się stawiał“.
— „Niema co mówić, ordynans hetmana“
Rzekł pan porucznik kiedy list przeczytał;
Więc zdał komendę, a nazajutrz z rana
Już go na drodze promień słońca witał.

W Warszawie hetman zapoznał go z księciem;
Od pierwszej chwili gdy mu spojrzał w oczy
I pojął, jaki to się świat w nich mroczy,
Był dla Mohorta z tak wielkiem zajęciem,
Iż rzekł w pokorze do hetmana: Wierzę,
Że mi się uczyć gdzie tacy rycerze!
I odtąd tylko z Mohortem na koniu,
I odtąd tylko przy mustrze na błoniu
Widziano księcia, i poczęto chwalić,
A piękne panie poczęły się żalić:
„Co to za trudy na takie paniątko!
Z takim rębaczem zdziczeje książątko“.
A gdy pan hetman coś w tygodni parę
Spytał Mohorta — Czyś tam kontent z księcia?
Czy najdzie przecie na naszą tam wiarę?
„Dobry — rzekł Mohort — nabiera zacięcia,
Jest krew pocziwa, i serce i oko;
A jak się w boju spotka z Panem Bogiem,
To może z czasem urośnie wysoko.
I będzie kogo postawić przed wrogiem“.

U kapucynów stanąwszy kwatery,
Ciągłe na koniu, cały dzień na dworze,
Związał się z księciem przyjaźnią tak szczerą,
Że ksiązę zwiedzał go nawet w klasztorze,
Gdzie także bywał i hetman Ogiński,
Przyjaciół całej partyi ukraińskiej.

Tam to o mustrze nie było już mowy,
Dyskurs duchowny, lub tylko sejmowy,
Bo gwardyan — święty, pan hetman — surowy,
Mohort — rycerski — ot i była szkoła:
To chociaż nie raz pokojowiec woła,
I listki nosi i na ustęp prosi,
To ksiązę tylko ciągle go odgania...
I tak do gustu szły mu owe zdania,
Tak je brał chciwie, że nie było mocy
Z klasztoru wyrwać księcia o północy.

Jedyną tedy pociechą w Warszawie
Był Mohortowi Ogiński i ksiązę..
Lecz choć i klasztor, choć i przyjaźń wiąże,
Tęsknił do kresów i zmizerniał prawie:
„Już mi tu zginąć widzę w tej Warszawie“.

Wisła mu Dniepru nie mogła zastąpić,
I każdą chwilą życia począł skąpić;
Więc kiedy księcia już nauczył służby,
Nie chciał pozostać w Warszawie i chwili:
„Tęsknią tam po mnie i konie i drużby,
Muszę na szlaki!“
Więc król go przywołał.
I ledwo słowy wypowiedzieć zdołał,
Ile mu wdzięczny i ile go ceni,
Że mu synowca tak pięknie wyćwiczył
W rycerskich sprawach, że się szczęsnym mieni
Mieć go w swym wojsku, w końcu. żeby życzył,
Aby mąż taki co tak dzielnie stawał
W obronie kraju przez lat szereg długi,
Przyjął nagrodę — a więc krzyż mu dawał,
I rotmistrzowską buławę zasługi
I ukraińską słobodę na wieczność,
A przy tem była i łaska i grzeczność
Króla tak wielka, że aż dwór się zdziwił,
Za co łask tyle i tyle partesów
Dla szerepetki z ukraińskich kresów.
Sam tylko Mohort coś trochę się skrzywił,
I rzekł do króla: — „Miłościwy Panie!
Umiem ja cenić choć w pomiernym stanie
I łaski Waszej Królewskiej Miłości,

I nie powszednie Jego dla mnie względy;
Ale nie dla mnie takie dostojności,
I po staremu rzecz nie idzie tedy!

„Chrzest, to Sakrament niczem niezmazany,
Ja na Chrzcie świętym wyparłem się czorta,
I krzyż przyjąłem krwią Boga oblany,
I ufam w Panu, że Pan Bóg Mohorta
Karać nie będzie choć przynajmniej za to,
(Jeżlim nic więcej sobie nie wyprosił),
Bom dla ojczyzny ten krzyż wiernie nosił,
Stojąc na czatach przez nie jedno lato;
Więc po raz wtóry krzyża wziąć nie mogę!
„Co do buławy — zaszczyt to rycerski,
Ale w chorągwi rotmistrzem pan Kierski,
A ja chorągwi mojej nie porzucę,
Bom w niej zestarzał Miłościwy Panie!

„A co do ziemi — to jej mam nie mało;
A jeśli zresztą w życiu jej nie stało,
To jej dodadzą po śmierci — i stanie“.

Więc król mu na to: — „A to mi Spartanin,
To Polak twardy! — To Republikanin...
Teraz dopiero ciężą mi me długi,
Gdy mnie za serce taka cnota chwyta,
Gdy za ubogą jest Rzeczpospolita,
By mogła spłacić swych synów zasługi;
Więc jedną prośbę mam tylko pod niebem:
Nim się rozstaniem, przełamię się chlebem“.

I wielki obiad był nazajutrz dany
Na cześć Mohorta na zamku królewskim...
I do obiadu przyszedł król ubrany
W złotym pancerzu i w płaszczu niebieskim,
Jak na obrazach bywa ustrojony;
Lecz do obiadu był tylko proszony.
Sam jeden Mohort z królewską rodziną,
A był i hetman.

Król bardzo łaskawy,
Ciągłe się bawił tylko Ukrainą,
I wypytywał o ludzi i sprawy;

Pod koniec stołu zawołał: — „Panowie!
Ojciec ojczyzny wnoszę teraz zdrowie
Tu najstarszego w ojczyźnie rycerza!
Niechaj nam żyje, z nami się sprzymierza!”

I wypił kielich, i wszyscy powstali,
A po toaście wyszedł już król z sali,
I zdjął ów pancerz; a pani Krakowska ²⁵⁾
Wniosła go za nim wraz z pięknym szyszakiem,
I wraz z pancernym przez nią szytym znakiem
Złożyła razem przed Mohortem zręcznie,
I słów nie wiele, lecz rzekła tak wdzięcznie,
Że wszystkich w głębi przejęły te słowa.
Na piersi zwiśła Mohortowi głowa,
I rzekł wpatrując się w ów znak pancerny:
„Hej! p t a k u, p t a k u p a n c e r n e g o z n a k u!
Jak zawsze byłem tej chorągwi wierny,
Tak Królu, Panie! stoję Bożą wolą,
Rany nie bolą — lecz lży takie bolą“.
I ksiązę Józef na starca się rzucił,
Sam król lżę otarł — hetman się odwrócił...
I słyhać było tylko czyjeś łkanie,
I takie było z Dworem pożegnanie

Kiedy nazajutrz słońce w pełnym blasku
W Wiśle zagrało. poił Mohort konia
W Wiśle na drogę — wtem tętent przez błonia
I jakieś wierzchy wymykają z lasku.

Mohort się spojrzał — a tu jedzie ksiązę
Na czele całej dobranej młodzieży,
I woła: — „Teraz pan Mohort uwierzy,
Że kiedy służba, to i na czas zdążę!”

Z rozkazu króla mam oddać tę zbroję
I konia z rzędem, i niech Bóg prowadzi!
A jeśli wolno, składam służby moje,
Bobyśmy gościa przeprowadzić radzi“.

„I owszem, proszę! — Rzekł Mohort wesoło;
To mi to życie, kiedy takie koło;

Jabym odprawiać miał taką drużynę?
Ja proszę z sobą choć na Ukrainę!“

A wtem nadjechał królewski koniuszy,
Prowadząc konia — koń był wielkiej duszy,
Oczy jak gwiazdy, jako piekło chrapy,
Szyja jak łabędź, a piersi jak wrota,
Rzęd staro-polski aż kapał od złota,
Choć przysłoniony tureckimi kapy.

Koniuszy odkrył tyftyk, a u boku
Upięty pancerz i szabla w wytku,
Szyszak na łąku, a tuż przy szyszaku
Splywa proporzec pancernego znaku.

Spojrzał się Mohort i podumał głową,
Koń parsknął rażno — a on krzyknął — „zdrowo!
Zdrowo mój kosiu! — takiego bachmata
Daj hetmanowi, a przejdzie kraj świata!“
Pogłaskał konia i nareszcie powie:
„Ha, komu w drogę, temu czas panowie!“

I z koniem ruszył pan koniuszy przodem,
Księżę po lewej, Mohort po prawicy,
Reszta za nimi, i wolnym pochodem
Jadąc ku Górze, w równej okolicy,
Spojrzeli czasem ku murom stolicy...

Ranek jesienny był bardzo pogodny,
Ale od wschodu pociągał wiatr chłodny;
Ktoś ich dopędził — patrzą — ktoś w wilczurze
Pędził i stanął — A to ja. Ogiński,
Stary przyjaciel partyi ukraińskiej,
Z rannym obiadkiem czekam panów w Górze.

I jakoż w Górze z południa dopiero
Pana Mohorta pożegnano szczeró...
I tu dopiero, kiedy na podziękę
Do strzemiennego wyciągnął już rękę,
Siedząc na koniu, pieśń starą zaśpiewał,
Którą dziękował, gdy podjętym bywał:

„Czas do domu czas!
Zabawili nas!“²⁶⁾

III.

Długo toczyła Wisła swoje fale,
I Dniepr niósł długo porohom swe żale,
O i nie mało upłynęło wody
Od owej chwili, kiędy ksiązę młody
Żegnał Mohorta aż do czasów owych,
Gdy już komendę hufców narodowych ,
Objął nareszcie w Polskiej Ukrainie...

Gdy odebrawszy listy Madaliński,
Przybycie księcia Józefa zwiastował,
Była stąd radość w partyi ukraińskiej,
Bo Mohort księcia wielce umiłował;
A choć się trapił Najjaśniejszym Panem,
I sejmem takim nad wszystko się smucił,
Co starą władzę hetmanów ukrocił²⁷⁾,
Rad byłby księcia powitał hetmanem,
Bo jego szczere znał dla kraju chęci,
I mile chował te czasy w pamięci,
Kiedy mu hetman młodzieńca poruczył,
Aby pocziwie służby go nauczył.

Z przybyciem księcia wojska narodowe
Na kresach życie rozpoczęły nowe:
Bo wiele pięknej przybyło młodzieży²⁸⁾,
Przybyło ducha, serca i dzielności,
Wszystkie chorągwie wzmocnił zaciąg świeży,
I co dzień nowych miewaliśmy gości;
Bo młody ksiązę, jeździec zawołany,
Lubił i harce i rycerskie sprawy;
A więc z wojskową służbą na przemiany
Szły karuzele i wiejskie zabawy..
Często i panie obóz odwiedzały,
A nawet bale i tańce bywały.

Wszystko zaś było takie przyzwoite,
I wesołością taką ożywione,
Takie dostojne, takie wyśmienite,
Że nawet Mohort czoło namarszczone
Na chwilę czasem jeszcze rozweselił,
I z młodą wiarą zabawę podzielił.

Kogoż nie zbiedzi, i kogoż nie znudzi
Na Ukrainie ta rozkal wiosenna?
Lecz co za rozkosz, gdy się ziemia senna
Po długiej nocy znowu ze snu budzi!
Wówczas się wiosna do razu już robi,
Bo to zaledwo że się śnieg roztopił,
A tu wiatr ciepły, i deszczyk przekropił,
I już zielono — i ziemia się zdobi
W trawy i kwiaty — zwierz opuszcza nory,
A w pole wabi nadzieja i praca,
Step się uśmiecha, i kwitną futory,
I co dzień nowe ptastwo do gniazd wraca.

W taki to ranek zawezwał o świcie
Książę do siebie cały kwiat młodzieży,
Chcąc się wykapać w stepowym błękiecie,
I znów przehulać konie co najszczerzej.
Co to tam było serca i ochoty,
I co konceptów! co dzielnej pustoty!
Przez parę godzin, niepilnując drogi,
Niosły nas konie w nieznane rozłogi;
A choć do koła był tylko step goły,
Przecież tak piękny był świat i wesoły,
Jakby go Pan Bóg dopiero był stworzył,
I młodą duszę ku niemu otworzył.

Słońce już było podbiegło wysoko,
Gdyśmy stanęli nad debrą szeroką.
„Nie źle się składa! — rzekł Starszy Kresowy, —
Bo to jak widzę futor Mohortowy!”

„A to wybornie! — rzekł wesoło książę,
To i odwiedzim dziś starego ćwika!
Puśćcie mnie naprzód, niechaj pierwszy zdążę
Po służbie witać mego porucznika!”

I sam się puścił najpierwszy do jaru;
Jar był szeroki i pięknie obrosły,
Jak uroczysko, niby pełen czaru —
Drzewina kwitła, dąb strzelał wyniosły,
A na dnie jaru jeszcze z nocnej rosy
Trawy nietknięte, — w dali jakieś skały,
Nad nami w krzewach leśnych ptasząt głosy,
A żywe wody pod nami zagrały...

Święty Onufry z brodą za kolana
Kłęczał w pustyńce śród małej pieczary²⁹⁾,
A wnijscie do niej brzost ocieniał stary,
A u stóp jego krynica rozlana
Żywym do jaru upływała zdrojem —
I jar oddychał uroczym pokojem,
I wonne jego owiały nas chłody —
A niżej nieco zbierały się wody,
W stawku niewielkim. i turkotał młynek;
Dalej pasieka pośrodku kalinek,
A jeszcze dalej lasek czeremchowy,
A w nim rozpięty namiot Mohortowy.

Ognisko z nocy jeszcze nie wygasło,
A przed namiotem wiała chorągiewka,
Kilka się koni niżej młyna pasło,
I jakaś smutna ukraińska śpiewka
Płynęła jarem...

Wstrzymaliśmy konie,
Patrząc do koła urokiem zakłęci:
Takie to cudne było to ustronie!

„W takich to jarach żyli Pańscy Święci!“
Rzekł stary kozak — skoczył do krynicy,
Z czcią się pożegnał w pustyńce uroczej,
Czerpnął ze zdroju, i przemywszy oczy
Wyniósł dla księcia wody w ładownicy.

„Na zdrowie, szczęście. na wiek i urodę,
Niechaj wam będzie! a pijcie tę wodę,
Bo takiej wody ani w naszym kraju,
Ani nie dostać nawet i z Dunaju!

A kto na Jura tak do gwiazdy wstanie,
 Że raniej oczy od ptaszka obmyje,
 I pierwej zdroju od niego dostanie,
 I niezmaconej wody się napije,
 Temu na życie stanie prawdy w głosie,
 I będzie patrzył czysto jak po rosie!"

W istocie była to wyborna woda!
 Raczej dla duszy niż ciała ochłoda,
 I każdy rad też był wytchnąć po znoju,
 I przemyć oczy i przejrzyć się w zdroju,
 I ładownicą zaczerpnąć z krynicy,
 Którą za świętą czczono w okolicy.

Ale już z łąki i konie zarżały,
 I psy się głośno od młyna ozwały.
 „Na koń! rzekł książę — tam widzę ktoś orze?
 Ba to sam Mohort!" i puścił się przodem —
 — Daj Boże szczęście! — A Mohort: „Szczęść Boże!
 Co widzę, książę? i z takim narodem?
 Hej ptaku, ptaku pancernego znaku!
 A czy od szlaku droga czy z Budziaku,
 Z czego człek powstał, o tem myśleć trzeba,
 Ani hetmanom bez Boga i chleba!
 Gdy Bóg dał gości, to puść w łąkę woły,
 Niech i im będzie dzisiaj dzień wesoly .."

Chłopak posłuchał — pług został na roli,
 A Mohort przeszedł po niej się powoli,
 Z kraju basztanu, na pierwszym zagonie,
 Stała po starym zwyczaju zatknięta
 Szabla, bo orzeł w rycerskiej koronie³⁰⁾,
 A ziemia szablą broniona jest święta,
 A pług miał miejsce i przy Piastów tronie.

Mohort wziął szablę i wąsów poprawił,
 I jak po służbie przed księciem się stawił:
 „Porucznik Mohort, na kresach stojący,
 A Waszą Miłość wielce miłujący!"
 Książę go ścisnął — a on do komendy:
 „Do woli z konia! Towarzyszom wszędy

Wolno się bawić — a konie w ordynek!
Pachołki z końmi staną tam pod płotem,
Siedmiu na wartę, po dwóch przed namiotem,
Na krótkie straże — reszta na spoczynek³¹!”

— Otóż to lubię! — rzekł wesoło książę —
Gdy jest komenda, to i dobrze będzie!
A Mohort na to: „Jakoś to się zwiąże,
Niech tylko książę z konia już zesiedzie.“

I nie ubiegła może i godzina,
A już podano śniadanie ze młyńa —
Na prędcie zbito z kilku tarcic stoły,
A z drugich kilku ławy przyrządzono,
Wiarus kucharzył z młynarką na poły,
I obozową ucztę zastawiono:
Barszcz był wyborny, a baran był z różną,
I jajecznicą a arcy-wielmożną,
Ło przystrojona wieńcami kielbasy,
A był do tego i podplomyk świeży,
Kubek gorzałki i kufelek miodu...
Sztuciec i łyżkę jeszcze w owe czasy
Miał każdy z sobą zwyczajem żołnierzy;
A więc nie było kłopotu ni głodu.

Po tem śniadaniu Mohort pchnął cichaczem
Kilku posłańców i pachołków konnych
Do monasteru, by nie brakło na czem,
I w zaprosiny do dworów postronnych.
I rzekł do księcia: „Ha wprawdzie pospołu
Nie zjadłem z księciem jeszcze beczki soli,
Lecz jeśli łaska, zjemy razem wołu,
I beczkę miodu wypijem powoli!“

W koło namiotu tok był wystrugany,
I jaworowym liściem usypany,
I sam książdz rektor jeszcze przed wieczorem
Przybył z zapasem i klasztorным dworem,
Z miodem, i ze mszą, i przywiózł specjały,
I ów turecki namiot okazały.

Nazajutrz zrana już marszałek księcia
Nadciągnął z kuchnią i całym taborem,

I było więcej co chwila zajęcia,
Bo nawet panie przybyły wieczorem...
I do stu osób siadało do stoła,
I trzy dni trwała gościna wesola.

Sam dziś już z tego nie umiem zdać sprawy,
Jak można było w stepowym futorze
Wyprawiać takie uczyty i zabawy,
I podejmować jak na pańskim dworze
Z taką łatwością pierwszych ludzi kraju:
Że nikt się z gości ni skrzywił, ni pieścił,
Że się gdzieś każdy niezgorzej pomieścił
Jak się to działo? — nie wiem — lecz się zdaje,
Że cały sekret leży w obyczaju.

Szlachetne były proste obyczaje,
A szlachetnemu nic nie bywa krzywe,
A prostej duszy wszystko jest pocziwe;
Więc też umiano wszystkiego tam użyć,
A jak rozumiem, umiano i służyć.

Człowiek był wszystkim, reszta wszystko niczem,
Stąd gdy w świat patrzył pocziwem obliczem,
Podnosił wszystko w górę do tej miary
Szlachetnej duszy i do dobrej wiary,
Jaką się w życiu i w sumieniu rządził,
I nią też ludzi i wypadki sądził...

Gdy się bawiono, każdy chciał zabawy,
Więc się nią zajął, i nikt się nie nudził,
A że obyczaj dawał wiele wprawy,
Stąd też zabawą nikt się nie utrudził,
Ale umiano zająć każdą chwilę,
I każdą rzeczą zatrudzić się mile;
Jedno ukochać a drugie wysławić,
Ot krótko mówiąc: umiano się bawić.
A więc gdzie padło. w pałacu czy w borze,
Wszystko szło gładko — więc i na futorze
Z obecnych gości nikt nie myślał o tem,
Żeby być mogło lepiej lub inaczej,
Gdy każdy kontent, a gospodarz raczy.

Książę i Mohort stali pod namiotem,
I tu straż stała, bo to swoją drogą

Szła służba służbą — marszałek załogą
Stanął we młynie z całym księcia dworem;
Wszyscy panowie pod szopą taborem;
Rektor z piwnicą mieścił się w stebniku,
Licząc gąsiory i butle w kąciku;
A wszystkie panie sypiały pokotem
Pod owym sławnym tureckim namiotem,
Co był pod Wiedniem niegdyś jeszcze wzięty,
A w kalinowym lasku dziś rozpięty.

Więc ksiązę Józef, jak gospodarz drugi,
Sam się marszałkiem dworu pań mianował,
Cały oddany damom na usługi,
Wszystkiem tak zręcznie w chwili pokierował,
Że były rade i pełne wdzięczności:
„Bo gotownia cała do Jejmości“.

Sam zaś gospodarz choć miał oko wszędzie,
Tylko panami znowu się zajmował,
Bo wiedział z resztą, że głodu nie będzie,
Wiedział że woły i skopy podchowiał,
Że tu jest woda, tam ogień we młynie,
Że sam ksiądz rektor pomyślał o winie...
A więc już resztę zdał na drugich wolę,
I tylko bawił ciągle w męskim kole.
Jakoż i słusznie, bo gdzie ksiązę bawi,
Tam i marszałek i kucharz się sprawi;
A gdzie są panie, tam i panny dworskie,
Więc i wykwintne koncepta zamorskie,
Bo dworska panna jak konceptem ruszy,
I do skarbnicy swych sekretów sięgnie,
To wiarusowi tak dogrzeje w duszy,
Że nawet diabła do roboty wprzęgnie.

Więc też przy każdej zwijał się pałasik,
I każda miała piorunem szalasik,
Pod ręką ogień i wodę i służbę,
I wystruganą ścieżkę do namiotu,
I w pogotowiu posłańca do lotu,
I powolnego w każdej chwili drużbę;
Więc były rade i pełne grzeczności:
„Bo gotownia cała do Jejmości“.

Z rana Msza święta codziennie bywała
W owej pustyńce u świętego źródła,
A że to wiara do świtu wstawiała,
Więc tu się każdy pomodlił w pokoju,
A do Mszy świętej sam pan Mohort służył;
I kiedy po Mszy pogodę powrózył,
Już przed namiotem zbierały się panie;
A pan marszałek zarządzał śniadanie;
A potem na koń i dalejże w pole.
Były i panie, co jeździły konno;
A gdy Kafarek wypuścił sokole,
To nawet łabędź nie wyszedł obronno,
Jeśli dosiedziały w stepowym jeziorze,
A drobnej ptaszki co niemiara w worku.
Po takich łowach bywał obiad w lasku,
A już wieczorem przy kagańców blasku,
Sukno przed namiot, a na wóz trębacze,
I taka radość, że aż serce skacze;
Więc pełnem sercem, co się komu godzi,
Za kielich starsi a do tańca młodzi

Rej tam wodziła pani Pupardowa ³²⁾,
Prześliczna, młoda, pełna wdzięku cała,
Kamińska z domu, żona generała,
Który nie umiał po polsku i słowa,
I w owe czasy brygadą dowodził.
Gdy cudzoziemski autorament wchodził.

Jeździła konno gdyby amazonka,
A w tańcu gracja, że tylko malować,
I kuć piękności każdego jej członka;
Grzeczność ukazać. wdzięk umiała chować,
A przy tem skromna i sercem wyniosła,
Jak gdyby wcale na królową wzrosła,
Chociaż pan Pupard był brzydki i stary;
Więc książę co miał do pań słabość wielką,
Ale zarazem dla cnoty cześć wszelką,
Palił tu dziękomy i cnoty ofiary.

Po takim balu, gdzie jasno pod niebem
Świeciły gwiazdy, a dołem kagańce,

Pan Mohort innym obdzielił nas chlebem,
Gdy nas nazajutrz wywiódł w step na tańce:
Bo tu i popis i szkoła nie lada,
Gdy nam podpędzić kazał swoje stada ³³⁾;
Dwa były stada: jedno zwał hetmańskiem,
W niem rosły konie polskiego zawodu,
Drugie nazywał zazwyczaj sułtańskiem,
To już drobniejsze choć wielkiego rodu.

Kiedyśmy stada objeżdżali w koło,
Zawołał ku nam pan Mohort wesóło:
„No to jest arkan, więc panowie młodzi,
Kto chce mieć konia, niechaj arkan rzuci,
I weźmie konia, co w tabunie chodzi,
I niech na obiad do nas na nim wróci!“

Więc jaki taki w rzemiośle nieznanem
Próbował szczęścia i rzucał arkanem,
Ale daremnie —

„Hej! hej! szczęście nasze,
Że dziś z Tatarem nie wojuje Lasze“.
Zawołał w końcu, gdy spłoszone konie
Już się poczęły rozbiegać po stronie;
Lecz gdy po chwili rozsypane z rzadka
Stanęły znowu — rzek: — „Oto jest matka!
Ta klacz wilczata, co tutaj na przedzie,
I ona wiecznie całe stado wiezie;
Dziśby zginęła wzięta z tego stada,
I żadna matka tak już nie przepada
Za swoim dzieckiem, jak za końmi ona,
I jako lwica, tak nie ustraszona.
To postrach wilków, i chociaż już starka,
Utlucze wilków więcej od Kafarka...
A tu ta druga z małą strzałką, gniada,
To już ostatki Wiśniowieckich stada,
Krew arcy-pańska! tego rodu koni
Łapać na arkan, ni ujeżdżać trzeba.
Bo same z młodu przychodzą do dłoni;
Gdy je chcesz użyć, podaj z solą chleba,
Ogłaszcz, oklepaj. i załóż wędzidło,
Siądź i jedź światem, byleby nie zrywać.
U każdej nogi u nich orle skrzydło,

Lecz się tych skrzydeł nie godzi używać,
Chyba już tylko w potrzebie ostatniej,
Kiedy ma wyrwać ze śmiertelnej matni;
U mnie jak dzieci na rękę się rodzą,
I za człowiekiem niewiązane chodzą.

„Oto jej córka, zwie się Korybutka,
Jak na rzut oka niby trochę krótka,
Ale jak niema krótkiego pałasza.
Bo jeśli krótki, to pomknij się bliżej,
Tak kiedy trzeba, ni dłużej, ni chyżej
Sumak nie skoczy. jak ta perła nasza.
Przed kilku laty zginęła ze stada,
A po trzech latach sama wraca rada,
Lecz sądzisz ksiązę, że do koni może?
Nie! mnie starego szuka na futorze,
I rzy i lata, że aż ziemia dudni;
Poznałem rzenie, wychodzę z namiotu,
A ona do mnie, i aż drży od lotu;
Więc ogłaskałem i wziąłem do studni;
Ktoś jej dopiero jedną okuł nogę,
Więc rozkuć zaraz kazałem niebogę;
A potem sobie przed namiotem legła,
Jakby się sama obcej ręki strzegła.

„A to Giżycka, co chodzi po stronie,
Jacy Giżyccy, takie i ich konie,
Czem starsze, tęższe — a pewne po ćmaku,
Stąd niema równych do stepu i szlaku.

„A to już sławny jest ród Sahajdaczny,
Biały jak mleko, ale skóra czarna,
Hardy i twardy, i z razu opaczny;
Ale jak ręka uchodzi go karna,
Całemu wojsku za przednią straż stoi;
Ktoby uciekał na nim, nie ujedzie;
Lecz się nie lęka ni ognia, ni zbroi,
I kto naciera, ten będzie na przedzie;
Daleko widzi i słyszy na milę.
A dalej jeszcze wietrzy i przeczuwa;
Nigdy nie legnie, chyba przy mogile,
I inni kłusem, gdy on stępem suwa;

Kędy raz przejdzie, nie zmyli już drogi.
Sam na sam hardy, lecz przyjaciel duszny,
I jako ręka człeku jest posłuszny,
Kiedy już przyjdzie do okazji srogiej.
Wtem spytał ksiązę — „A to co za hetki?“
Gdy troje koni myszatyh pomknęło.
Na to rzekł Mohort — „To inwentarz letki,
Ot i sam nie wiem, skąd się w stadzie wzięło.

„Odkąd ma dusza końskiej maści rada,
Zawsze się myszka przybije do stada,
I jakaś niby napaść oczywista!
Nie lubię myszki, bo maść narowista
Ale ksiądz rektor myszki tylko chowa,
Bo grubo-płaskie — więc i trudna rada.
Dawniejm odganiał tę hańbę od stada.
Lecz teraz trudno powiedzieć i słowa:
Gdy klasztorowi myszka tak na czasie,
To niechaj sobie i ta sierść się pasie.
A jeśli gorszy księcia to myszate,
Jakże się wyda izabelowate,
Co tam spokojnie po stronie się wlecze?
Cóż mości ksiązę o tej klaczy rzecze?
To moja Iskra — „Kahorlicka córa“,
Z stada Tarnowskich, z bachmatów hetmańskich,
Nie sierść, lecz jedwab — pergamin, nie skóra,
Zdatna do harców tylko arcy-pańskich.
Ktoby chciał widzieć jaka cnota w rodzie,
Niech ją użyje w rycerskiej przygodzie;
Dopóki młode, ma to krowie nogi,
Podobne osłu — coś później do muła;
Rok siódmy, ósmy dodaje ostrogi,
I więź i oko i zagra krew czuła;
A gdy chrzest broni i trąbkę usłyszysz,
Rozdziera nozdrza i aż drży, aż dyszy,
I czuć wyraźnie aż w sercu przez siodło.
Kto tej krwi panem i co w bój go wiodło.

„Po Izabelce, niema już w tem stadzie
Jak ta tu z grubą hreczką, co na zadzie,
To ród sułtański dalekiego wschodu,
Gdzie struś w pustyni gniazdo swoje kładzie;

Więc orle piórko nie wychodzi z rodu.
Wielkie na koniu Bóg położył znaki,
Jednak i wicher bywa nie jednaki;
Poniżej oczu podły wicher wszelki,
Powyżej oka wielkiego przymiotu,
Bo rozum znaczy — na szyi znak lotu,
A już na piersi znak odwagi wielkiej;
I koń o jednym wichrze to już dobry,
O dwóch, ma narów — ale znowu taki,
Coby miał razem trzy niebieskie znaki,
To już i mądry, i lotny, i chrobry;
I wielką łaskę ma u Pana Boga,
Komu do boju padnie na nim droga,
Bo nie da dotknąć jeźdźca; gdy na przedzie,
Wszystkich wybiega; gdy wyciągnie szyję,
Niemaco rąbać, bo piersią rozbije;
A jak wniść umiał, tak samo wywiedzie.
Nie darmo w świecie ta pustynia słynie:
Póki w ojczyźnie jeszcze nie zaginie
Koń do pęciny od łba żyłkowany,
Póty i rycerz będzie jeszcze znany.

„Ten brudny kasztan. co tam jeden chodzi,
To syn sultański, a koń pod hetmana,
Trzy orle piórka i tam gdzie się godzi,
I biała nóżka do tego sudana,
Więc nic lepszego!“

I krzyknął: „Arkana!!...
To koń dla księcia. bo to wichrów czoło!“
Skoczyli ludzie — cychają w około,
Wzrok się zapalił panu Mohortowi,
Zebrawszy arkan podjechał z nienacka,
I jak pierścionek tak go rzucił z gracka!
A gdy padł prosto na szyję koniowi,
Kiedy koń ruszył, Mohort arkan ima.
Wziął go o kulę, pod nogę i trzyma!
I jęła ziemia, i przypadli ludzie,
A w mgnieniu oka i koń się powalił,
Że się z nas każdy nad nim aż użalił;
Ale tabuńczyk po niedługim trudzie

Już go ochelznał, i tak się uwiął,
Że siadł na niego i z oczu nam zgiął.

Długo pan Mohort patrzył za nim w pola;
I rzekł nareszcie: — „I to Boża wola,
I pójdzie ręką, gdy się tak prowadzi,
Bo poszedł równo, a jak strzała sadzi“.

A gdy wysoko ksiązę ten dar ważył,
Taki był kontent, że już dnia owego
Nie tylko starszych, lecz i nas każdego
Koniem ze stada swojego obdarzył.

Nazajutrz tylko ksiązę damy bawił,
I niewidziany karuzel wyprawił.
Śliczna to była gonitwa i wprawa,
A co się zowie rycerska zabawa.
W pierścień toczono, a tureckie głowy
Padaly w koło od strzału i cięcia.
„Śliczna zabawa niema ani mowy“,
Rzekł nawet Mohort pod koniec do księcia
I tak się bardzo dnia tego rozbawił.
Że podwieczorek w pasiece wyprawił.
Choć tam nikogo nigdy nie prowadził,
I z cicha tylko z pasiecznikiem radził.
Tu już świat inny:

Tu bujna w stepach pszczoła³⁴),

Pni przeszło tysiąc stało dookoła ...
Kilka grusz starych chyliło się w środku.
A oddech kwiatów i smółki czy miodku
Napełniał wonią całą okolicę;
Z pola wracały ciche pracownice,
I całe grono ucichło na chwilę
Oczarowane tą wonią tak mile.
A Mohort rzecze: „Dziwić się nie trzeba
Tutaj niczemu, bo to dary nieba,
Którymi Pan Bóg ziemię z niebem brata —
Jest to jak mówią: Gratia gratis data.

„Sławna to, sławna Mości ksiązę pszczoła,
I jest tradycja, co krąży dokoła
Po stepach Bohu, i po stepach Rosi,
Z którą się naród po pasiekach nosi.

„Był mości ksiązę hetman od różańca,
Wielkiego herbu, potężnej buławy,
I jasnej cnoty i szerokiej sławy,
Co od chłopięcia chodził z wrogiem tańca,
Co z hełmu jadał, a sławy przysporzył,
Z turzego rogu w czasie uczty pijał,
Co naród kochał, co królowi sprzyjał,
A za ojczyznę siwą głowę złożył;
„Stróżem Podola“ nazwał go lud cały,
Gdy legł — to śmiercią uszył on Koronie
Czarną sukienkę i po jego zgonie
Dziewki na Rusi tańców zaniechały.

„Otóż to o nim powieść stara chodzi:
Że raz gdy wojsko na stepach postawił,
Chcąc dotrzeć twardo, czy liczny wróg godzi,
Sam na podsłuchy pod noc się wyprawił,
I z jednym tylko giermkim ważył życie,
A całą ordę do koła objechał,
I do obozu powracał o świcie,
Kończąc pacierze — i rad się uśmiechał.

„Starsi czekali powrotu pańskiego;
Lecz choć im nie dał rozkazu żadnego,
Nikt się z czeladzi nawet nie zatrwożył,
Widząc, że hetman przespać się położył.

„Usnął — a giermek wnijsie od namiotu
Zasną oponą — a choć nikt nie cichał,
Tak cicho było, jakby człek nie dychał,
Że jak ptak leciał, toś dosłyszał lotu.

„Było to w lipcu, właśnie pod czas roju,
Słońce podbiegło i stało wysoko,
Kiedy pan hetman przetaił ze snu oko,
Tak twardo usnął po rycerskim znoju,
I byłby jeszcze spał, bo się utrudził,
Ale brzęk roju, co minął w polocie
Cały nasz obóz, ze snu go obudził,
Bo opadł prawie na pańskim namiocie.

„Gdzie to już słońce! a co powie włodarz?
— Rzecz pan hetman — zły ze mnie gospodarz,

Gdy mnie rój budzi. Czas poprawić cnoty —
Zagiął rękawy, i pełen ochoty,
Niby pasiecznik wziął się do roboty;
I zgarnął muchę, i z lekka podkadził,
I w braku ula w pancerzu osadził,
I dziewięć było szyszaków tej muchy?
I wszystkim naród nabrał stąd otuchy,
Że Bóg rój spuścił na namiot hetmana,
Że żadne żądło nie dotknęło pana.
Jakoż Bóg szczęścił, i była wygrana.

„Choć bez pancerza hetman wroga pobili!
A gdy w też miejsca znowu wojsko sprawił,
Stał ul żelazny tak, jak go postawił,
A rój był pięknie już głowę zarobił.

„Więc dobra wróżba! — pan hetman powiada, —
Niechże dar Boży w stepie nie przepada“.
I kazał naprzód cały jar poświęcić,
A potem czeladź do pracy zachęcić.
Usypał groblę i stawek wyprawił,
I ściągnął ludzi i młynek postawił,
Ogrodził futor i okopał wałem,
Opatrzył bydłem; ot i owo zgola
Odsypał kopce na stepie dokoła.
Spisał przywilej, i z dobytkiem całym
Oddał na własność rycerskiemu człeku,
Co się był dobrze ojczyźnie zasłużył,
By w tym futorze dokonał już wieku,
I zdał go wówczas dopiero potomnie,
Gdy już nie będzie więcej granic stróżył —
Tak to się dostał w końcu futor do mnie.

„W tem samem miejscu, gdzie onego czasu
Stał ul żelazny, dziś się pszczoła roi,
W tem samem miejscu, gdzie mój namiot stoi,
Stał i hetmański namiot pośród lasu:
I w tej pustyńce od owej pamięci
Święty Onufry błogosławi wodzie,
I co rok woda w tem zdroju się święci,
I słynie odtąd łaskami w narodzie.

„Żelaznym ulem“ jest ten futor zwany,
A ów ul sławny — jak to każdy powie —
U karmelitów był jeszcze chowany
Za czasów króla Jana w Berdyczowie;
Król Jan dopiero zabrał ten ul z sobą,
I w pańskiej Żółkwi był skarbcą ozdobą.
A wszystkie sławne pasieki dokoła
Z tego to roju poszły po futorach,
I po slobodach, i po pańskich dworach;
A wielką sławę ma — „hetmańska pszczoła“.

„Nigdy nie spadnie jak inne pasieki,
Lecz w łasce Bożej przetrwa na wiek wieki,
Byleby tylko człek nie był zachłanny
Co je choduje — a początek wzięty
Był z trzech pni tylko — na cześć Trójcy świętej,
A światło dane do Najświętszej Panny;
To się i wiedzie i jest i pożytek,
Więcej niż potrzeb i prawie nad zbytek,
I na przednowek i sobie i komu,
I dla kościoła i ludzi i domu...“

W ciszy słuchało starca całe grono,
I żadne słowo w kole nie przepadło...
A wtem i słońce za dąbrową siadło,
I przed namiotem zorzę otrąbiono,
I niebo zwolna już ku gwiazdom bladło.

Zdała się ozwał głos przeciągły, cichy,
I biegł po rosie cudownym urokiem,
Dalej chór cały — czasem jakieś śmiechy:
To ludzie z pola powracali mrokiem.

Książę co nie znał jeszcze Ukrainy,
Spytał Mohorta: „Czemuż nuca smutno?“ —
A Mohort na to: „Smutne zwykle syny,
Kędy ojcowie wiek przeżyli butno!
Bo jako zmory żyją w ludzie całym;
A stara piosnka albo jest koryałem,
Lub stanie sercu na wieki za karę.

Znam ja te pieśni, co po mroku płyną!"
I tu głos jego złączył się z drużyną:

„K t o n a K r y m u n e b u w a u,
P e r e k o p u n e w y d a u! —“³⁵).

IV.

Tyle to zdrowia, ach i szczęścia tyle,
Co dadzą człeku ranne życia chwile!
I takie były te ostatnie czasy
Na Ukrainie mej wojskowej służby,
Zanim na niebie znaki lichej wróżby
Zapowiedziały ostatnie zapasy...

Rzecz niepojęta — lecz wielkie wypadki
Poprzedza zawsze narodu przecucie.
Jak wśród tysiąca rozeznasz głos matki,
Jako treść pieśni poznasz po jej nucie,
Tak po przecuciu poznasz, co cię czeka,
I że stanowcza chwila niedaleka.

Głuche powieści obiegały w tłumie,
Które pojmować rozum ledwo umie,
A gdy je zwolna nie jeden duch badał,
Dziwny niepokój umysły owładał:
Bo straszne jakieś dochodziły słuchy,
Że się w mogiłach niepokoją duchy,
Że w węglach domów coś strzela i brzęczy,
Że nawet ziemia w czystym stepie jęczy,
Że krew w krynicznej wodzie nawet bywa,
Że się w kościołach zapadają groby,
Że chodzą z dawna umarłe osoby,
A pies się w nocy jak szalony zrywa

Jakiś koń dziki, co żywą krwią pryskał
We dnie, a w nocy żarem z nozdrzy ciskał,
Obiegał stada jak zwiastun złowrogi...
A nieraz nawet i w chorągwi naszej
Tak razem we śnie coś wszystkich przestraszy,
Że koń i człowiek zrywa się na nogi.

A więc do straży! a straż stoi blada,
I od przestachu ledwo mową włada,
I klnie się Bogiem, że jasność niezmierna
Obląła ziemię, jak ziemia obszerna —
A na niebiosach zeszła niebios Pani,
Że ziemia pękła, a z wielkiej otchłani
Wyszły nasamprzód ogniste języki,
A w ślad ich zbrojnych wojowników szyki.

Ot krótko mówiąc: coś strasznie się plotło,
I nocą groził kometa swą miotłą,
A kiedy zmory rozpędziło słońce,
Lecieli drogą do obozu gońce,
I to rozkazy nowe ze stolicy,
To nowe wieści biegły z okolicy...

Każdy to widział, że przyjdzie do wojny,
Z której nie łatwo będzie nam wyjść cało;
Lecz czem na większą burzę się zbierało,
Tem więcej bywał pan Mohort spokojny.

Pozór wojenny przybrał obóz cały,
I młody żołnierz nabierał postawy,
Bo co dzień nowe wieści obiegały,
Że całe wojsko ruszy do Warszawy.
Kresy ściągnięto — piechotne komendy
I artylerja stała pod Braclawiem³⁶⁾
A więc się znaczył i nam marsz tamtędy,
I każdy wiedział, że krótko zabawiem,
I że z Braclawia ruszym prosto w pole.

Książę Mohorta mianował obożnym,
I niby hetman we dnie okiem groźnem
Po okolicy i po wojsku wodził,
A jak duch nocą po obozie chodził.

Ja byłem wówczas dany mu do boku,
I wierny świadek każdego już kroku,
Bo i sypiałem i jadałem razem,
I nic z tych czasów nie puściłem płazem.

Dni już ostatnich przed naszym pochodem
Wstał był pan Mohort swym zwyczajem rano,

Ale miał wielce twarz zafrasowaną;
A gdym o powód spytał mimochodem,
Rzekł mi: — „Pan hetman śnił mi się nad ranem.
Hetman — śmierć pewna rycerskiemu człeku;
Ha, czas ze świata, bo też już i z wieku.
A jak na jawie mówiłem z hetmanem,
I oczywiście że mnie sam nawiedził —
Więc już nie długo będę się tu biedził;
I nie stąd pełen jest mój duch frasunku,
„Ale że może potrzebny ratunku...”“

Uczulem zimno gdy mnie tknął buławą,
Gdy mi pokłonił i dał rękę prawą ..
„Hetman, śmierć pewna — i nie ujdzie płazem;
Więc czas się przybrać i pojednać z Bogiem,
Bo sen poranny, to śmierć już za progiem,
Do monasteru pojedziem dziś razem“.

I gdy do stajni wstąpiliśmy oba,
Tylko Mohorta leżał koń u żłoba.
A więc podumał — „I on się gotuje;
Patrz Wasze, zgadłem, i koń drogę czuje...”³⁷⁾

I gdy pacholek konie pokulbaczył,
Na przelaj stepem ruszyliśmy oba,
Ale pan Mohort przemówić nie raczył,
Tak czarna serce zjęła mu żaloba:
I tylko milcząc w świat poglądał czasem,
Lub wstrzymał trochę konia przy mogile,
Albo zsiadł z konia i wytchnął na chwilę.
Gdyśmy stanęli pod strażniczym lasem.³⁸⁾

Kiedy nareszcie błysnął nam z daleka
Krzyż monasteru, wśród świętego gaju,
Rzekł: — „Czy wiesz Wasze, co to Waści czeka?
Będiesz za świadka — po starym zwyczaju;
Trzeba zakończyć pocziwie i ładnie,
Jak Bóg przykazał, to ziemskie kalectwo;
Więc bacność, pamięć Waści mieć wypadnie,
Bo może przyjdzie kiedyś dać świadectwo“.

I jako ledwo że stanął w klasztorze,
Kazał przywołać z monasteru dziada,
I Łukowskiego bliskiego sąsiada,
Co od pół wieka siedział na futorze,
I razem poszli do lochów cerkiewnych.
I szmer się rozszedł, że Mohort te kraje
Pewno już rzuci, kiedy skarby zdaje.
Gdy wziął do lochów takich ludzi pewnych.

Mnie kazał spisać wszystko co miał w celi,
A własną ręką dodał już, co komu...
Potem z Łukowskim obaśmy musieli
Stwierdzić kodycył — a potem do domu
Wyprawił obu — a więc naprzód dziada,
By go nikt z ludzi klasztornych nie badał,
Potem do furty sprowadził sąsiada,
A ciepłą ręką obom coś powkładał.

Gdyśmy od furty razem powrócili,
Rzekł mi wesoło po niejakej chwili:
„I Waść nie wyjdiesz z rękoma gołemi;
Więc wybierz szablę, która się podoba,
Bo się to nada bardzo czasy temi,
I trzeba będzie z konikiem od złoba!“
Wybrałem.

Dobra! wiernie w rękę siedzi —
Rzekł mi pan Mohort: — „a teraz już pono
Czas do jutrzejszej mieć się nam spowiedzi,
Bo na pacierze właśnie zadzwoniono“.
Cicho upłynął wieczór w naszej celi,
Lampa mrugała przed świętym obrazem,
Psalmy pokutne mówiliśmy razem,
I dzisiaj jeszcze duszę mą weseli
Piękna pamiątka takiej chwili świętej,
Gdzie jego duchem byłem w niebo wzięty.

Cicho noc zeszła — a nazajutrz rano
Mszę miał żałobną za duszę hetmana
Naprzód ksiądz rektor — a po mszy żałobnej
Wyszła wotywa w kaplicy osobnej;
Pan Mohort ukląkł, odpiął karabelę,
Złożył wraz z czapką na stopniach ołtarza,

A sam padł krzyżem, że aż w grobach jęło
Choć dzień powszedni, ludzi było wiele,
A wszystkim serce tak od płaczu miękło,
Że nawet kapłan — co się rzadko zdarza —
Gdy się do ludzi zwrócił od ołtarza,
Łzami się zalał.

W końcu po wotywie
I księża poszli, i lud się rozbieżał,
A Mohort ciągle krzyżem jeszcze leżał.
Widząc to rektor, skinął niecierpliwie
Na mnie i bliższych dwóch cerkiewnych braci,
I gdyśmy starca dźwignęli z podłogi,
Widoczne było, że przytomność traci,
Bo mu już ledwo statkowały nogi

Rektor wziął szablę ze stopni ołtarza.
Nasadził czapkę panu Mohortowi,
I kazał z sobą iść do refektarza:
Tam podał winną polewkę starcowi,
I otarł pulsa i skronie i czoło...
A gdy pan Mohort spojrzał znów wesoło
Po refektarzu — kiedy nam dziękował —
Rektor w refleksye:

„A panie Szymonie!
Za cóż tak bardzo duch się upracował?
Wszak Waśc najstarszy w Litwie i w Koronie,
I cały żywot za pokutę stanie;
A wszakże mówim i to dnia każdego
Modląc się Panu: — Od nieporządnego
W nieszczęściach smutku zachowaj nas
[Panie!

A i Psalm mówi: — Nie usprawiedliwi
Nikt się przed Panem z tych co jedno żywi!
Co to tam myśleć, panie poruczniku!
Po co tu, po co kusić Panem Bogiem,
Czasby odpocząć już w swoim kąciku,
I z przyjaciołmi zostać za tym progiem.
Skąd myśl tej wojny — niech wojują młodzi,
A coś przyjaźni i Bogu się godzi“.

Więc Mohort na to: — „A to być nie może,
Jam niepotrzebny człowiek jest w klasztorze,
Bo ja ojczyźnie łaski nie uproszę,
Ja Boga chwale, kiedy szablę noszę“.

Rektor do ręki — „Ja upraszam Pana“,
A Mohort upadł przed nim na kolana;
„Mój Ihumenie! o Boże mój, Boże!
Jegomość płaczesz. Czyż mi łez potrzeba?
Ta, coby po mnie zapłakała może,
Z niej ni kosteczki — toć na miłość nieba
Zaklinam Waszmość, nie płacz, bo to boli,
O i nie próbuj Waszmość mojej woli
Łzami kapłana, bom człowiek ułomny,
Ale gdy legnę, bądź na duszę pomny!
Rektor go podniósł:

„Nie, Mości rektorze!
Mnie nie na łożu kończyć i w klasztorze;
Kto czem wojował, niech od tego ginie!
Od krzyża swego nikt się nie wyprosi;
Dla mnie czas wielki — na złe się zanosi...“

„Przez całe życie prosiłem jedynie
O śmierć szczęśliwą — i wysłuchać raczył
Pan mojej prośby — hetman mnie nawiedził,
Wiem jaki koniec Bóg dla mnie przeznaczył,
I już nie długo będę się tu biedził...“

Widząc ksiądz rektor, że próżne namowy,
Poczcil nareszcie wolę siwej głowy,
I do drzwi samych tylko odprowadził;
A w celi Mohort już się w drogę ładził.
Kiedy był gotów, przykląkł przed obrazem,
I jeszcze stoczek u lampy zapalił,
Święconą wodę podał mi u proga,
I rzekł spokojnie: — „Będzie tutaj Boga
Jeszcze i po nas wszelaki duch chwalił —
A teraz bracie wychodźmy już razem,
Dla ciebie pierwsza, mnie ostatnia droga“.

I zamknął celę, klucz za listwę schował,
Zdjął sygnet z palca, drzwi opieczętował,
I poszedł ze mną razem do ogrodu.

Tu stał dąb stary u samego wchodu,
A obok niego kapliczka nad źródłem. . .
Mohort podumał i pokiwał głową,
I rzekł do dębu: — „Stój mój druhu zdrowo.
A i ty wodo upływaj pokojem;
Ja już ostatni raz tu z wami bawię,
Lecz jak mnie Pan Bóg, ja wam błogosławię.

„Gdym tu raz pierwszy stanął — byłem młody,
Lecz po ucisku i ciężkiej chorobie,
I nie wiedziałem, co sam z sobą zrobię;
Lecz gdym się napił z tego źródła wody,
I tu pomodlił w tego drzewa cieniu,
Natchnął Bóg łaską, i w owem natchnieniu
Na żywot cały znalazłem już radę;
Więc poję konia, i siadam, i jadę“.

„Wtem mi Ihumen zabiegł z nagłą drogę,
I rzekł z ludzkością: — „Ja puścić nie mogę,
Dom nasz, to stara gospoda rycerzy,
A już i słońce do spoczynku bieży,
To się też godzi przyjąć tu gospodę,
A już na kresy sam jutro wywiode“. —
Więc zsiadłem z konia, i w tej samej celi
Jam się noc pierwszą wówczas przenocował,
W której mnie później tyle lat Bóg chował...
I odtąd tutaj zwykłem się spowiadał,
I tum szlachecki mój depozyt składał.

„Dawno przed Bogiem starzy przyjaciele,
Którzy zaznali tych związków początek,
I przeminęło w świecie rzeczy wiele,
Lecz dla mnie wiecznie pamiętny ten kątek,
Bo tu znalazłem bezpieczną ostoję,
Za którą odtąd dziękowałem co dnia
Bogu, co bierze na Opatrzność swoje
Biedną sierotę, wdowę i przychodnia.

„I Pan posadził mnie na równej ziemi
I dał przyjaciół pomiędzy obcemi.

Nigdy do związków w kraju się nie łączył,
Bo światem wicherzyć nie rozumiem cnotą!
I zawszem Boga prosił tylko o to,
Bym tak jak zaczął, przy chorągwi kończył;
Bo wojskowemu służba rzecz najzdrowsza.
Jeszcze te związki przeciwko obcemu!...
Lecz jak nastąpiła już praktyka nowsza,
Ze związek stawał wbrew królowi swemu,
To już tę sprawę niech sam Pan Bóg sędzi,
I pono tylko w służbie człek nie zbłądzi!

„Raz tylkom w życiu z granicy ustąpił,
Ale nie przeto, abym krwi mej skąpił,
Tylko bom nie chciał przelewać krwi bratniej;
Kiedy już przyszło do hańby ostatniej,
Przetrwałem wojnę, związki i napaści,
I głód i dżumę, trzymając się właści;
Ale za krzywdy i za grzechy stare
Nową Pan zesłał na tę ziemię karę.

„W chorągwi ludzi na rożenek prawie,
A tu step kipi czernią zbuntowaną...
I z siwą głową popaść tej niesławie
By z nożem walczyć szablą poświęcaną,
To dopust ciężki! i na pokuszenie
Nie wódź nas Panie! Krew to rzecz kosztowna,
A już krew bratnią w wielkiej Bóg ma cenie.

„Stannica była porządnie warowna...
Więc rzekłem krótko towarzystwu memu:
I stać, i czekać — służba po staremu.

„Bunt się po kraju rozszerzał tymczasem...
A w tem ksiądz rektor znagła znać mi daje,
Że na monaster jakaś czerń nastaje,
I obozuje pod pobliskim lasem!
Za to, że przyjaźń dobrą z Lachy chowa,
Ma oddać srebra! — A więc dzięki Bogu,

Że nie w obronie własnej padnie głowa,
Lecz że ją złożym na święconym progu,
Rzekłem do wiary; i nocy tej samej
Sta nałem jeszcze u klasztornej bramy.
Struchlał ksiądz rektor — bo już ciż sądzono,
Że na monaster idą hajdamaki;
Lecz gdy poznano i ludzi i znaki,
To w mgnieniu oka bramy otworzono.
Nim się dzień zrobił tak się poczt mój sprawił.
Że klasztor w stanie obrony postawił;
Były armatki, moździerze, i prochy,
I dość żywności i niepróżne lochy.

O samym brzasku przybył pan Łukowski,
Co zebrał szlachtę, i wpędce uzbroił;
A więc tym strojem przy pomocy Boskiej
Poczt nasz do razu prawie się podwoił.

Otóż zatknąłem sztandar w dobrej wierze,
O wschodzie słońca, na owej wieżycy,
I otrąbiłem pieśń Boga-Rodzicy.
Jako s o d a l i s rycerskie pacierze
Zmówilem razem z klasztorną załogą,
I sam na bramie wziąłem stanowisko.

Patrzę — aż jadą jacyś ludzie drogą..
Gdy podjechali już pod mury blisko,
Kazałem spytać czego im potrzeba;
A oni rzekli — „i soli i chleba!“
Więc jakieś posły — kazałem otworzyć,
Zawiązać oczy, i wziąć w furtkę ciemną;
Z razu się jęli niby trochę trwożyć;
Lecz gdy sam na sam ujrzeli się ze mną,
Nabrali serca, i mówią mi w oczy:
Że się krew lacka po ich nożu toczy,
Że się ksiądz rektor ma w obozie sprawić,
I wszystko srebro i miody dostawić;
A gdyby w murach znalazł się Lach jaki,
To naprzód oddać ma wojenne znaki,
I z niemi pieszo iść do atamana;
Inaczej lichu z monasterem będzie,

I nie dostoi już do jutra rana,
Bo hajdamaki wzięli górę wszędzie.

Rzekłem więc krótko księdzu rektorowi:
„Kto gospodarzem, niech ten tu stanowi.
Gdyby to miało monaster ocalić,
To ja się mogę z komendą oddalić,
I sam się spotkam z tą czernią na szlaku.
A tu wpaść nie dam i nie wydam znaku!”

„Lecz się ksiądz rektor nie wahał i chwili.
„Ja miałbym zdradzić a święty Bazyli!
Ja głowę oddam, a duszy nie zdradzę,
Siebie i klasztor oddaję pod władzę,
I przy tym znaku, i przed tym obrazem
Brońmy się razem albo gińmy razem“.

— „Więc dosyć! rzekłem — kiedy taka wola,
To w imię pana mojego i króla.
I najjaśniejszej Rzeczypospolitej,
Której znak stoi na tej twierdzy wbity,
Sądem hetmańskim już odtąd stanowią
O bezpieczeństwie załogi, i głowie“.

„Więc się już same osadziło bractwo:
Rabunek świątyń, jawne świętokradztwo.
Więc trzech na gardle skarać rozkazałem,
A już czwartego w powrót odesłałem,
Aby poselstwo do czerni odprawił. —
Skoro w obozie napowrót się stawił,
Tysiącem wilków zawył obóz cały;
A potem w niebo tumany się wzbily,
I przypuszczono do nas atak śmiały,
Do bram klasztornych zbiwszy wszystkie siły.

„Ha, jużciż łatwiej było ich bić w kupie,
Stojąc za murem, gdy oślep lecieli;
Ale nie wiele brakło, że nie wzięli
Obronnej bramy po swym własnym trupie.

„Po trzech atakach porządnie odparci,
Zawyli wściekle, i znikli jak czarci.

Więc trupy naprzód kazałem pochować,
I do obrony nowej się gotować;
Bo dochodziły nas pono nie bajki,
Że hajdamackie zbierają się szajki,
I zamysłają na klasztor uderzyć;
Więc wypadało się w czujności dzierżyć.

„Jakoż zbliżały się znowu rozruchy,
I podchodziły dziady na podsłuchy,
I z każdą nocą zwiększała się trwoga;
Jednak gdy Pan Bóg chce człeka ocalić.
Nawet poganin umie się użalić
Nad obcą wiarą, i poczeci sąd Boga.

„Jakieś się wojsko pomknęło po drodze,
Więc do obrony dałem znak załodze;
Wojsko porządne — więc pono nie kruki?
A w tem poznałem tatarskie buńczuki.

„Poznałem murzę, sąsiada po koniu ..
Zatrzymał ludzi opodal na błoniu,
I wysłał posła — więc pono nie zdrada?
Puściłem posła, a on mi powiada:
Że murza słysząc o opresyi mojej,
Jak sprzymierzeniec porzucił swą raje,
I w pogotowiu ku odsieczy stoi,
I wojsko w zaciąg królowi oddaje.

„Prawda że m chował z murzą przyjaźń starą,
Bo choć poganin, kochał sprawiedliwie;
Lecz nie poskromić buntów własną wiarą?
I pogan ściągnąć na swą własną niwę?
To mi się przecie jakoś nie zdawało...
Jeśli Bóg zechce, i tak wyjdziem cało!

„Podziękowałem tedy za przymierze,
A miałem spory turecki puharek,
Więc pełen złota dałem na podarek.
I konia z rzędem, i szablę sadzoną.
Przyjął to wszystko murza w dobrej wierze.
A gdy na oścież bramę otworzono,
Samotrzeci tylko podjechał do bramy,
I w odwet złożył sztukę drogiej lamy,

I sztukę złota za ostrze mi placi,
Jako jest zwyczaj, nikt szabli nie bierze,
Kiedy się sercem na prawdę już braci.
Więc i jam w takie uwierzył przymierze,
A ksiądz Ihumen rad z tej całej sprawy,
Dał sto baranów Tatarom odprawy.

„Cóż na to mówić? Chłopstwo na swawolę
Szatan rozparał — a bisurmanowi
Pod czas przygodny dał Bóg taką wolę,
Że nie zwykł dawać lepszej rycerzowi.

„W koło czychały hajdamackie szpiegi...
Kiedy więc murza przywiódł swe szeregi,
Sądziło bractwo, że zawarł przymierze,
I pogranicze pod swój puklerz bierze.
Jakoż — choć murzę nikt o to nie prosił,
Sojusz z Koroną przez posły ogłosił,
I zajął kresy, i poty stał wiernie,
Aż Bóg poskromił i ukarał czernię.

„Nim pan Stępkowski upacyfikował
Bunt niepotrzebny — jam był już w stannicy;
I po staremu stałem na granicy,
I mą chorągiew tylko Bóg salwował.

„Świadkiem tych czasów jeno dąb i źródło:
Lecz dotąd wielbię miłosierdzie Boże
Wdzięcznością w sercu nigdy niewychłódłą,
Że nas nie dało na hańbę i noże!“ ...

Tu oko starca na krynicę padło,
I długo w źródło patrzył, jak w zwierciadło,
I z biegiem wody poglądał na strugę;
Zdjął sygnet z ręki, i rzekł zadumany:
„Oto mój klejnot od rodzica dany,
I już ostatnią oddał mi posługę,
I wszystko przeszło — jak to źródło bieży,
I cały żywot już za mną dziś leży!“ ..

„Ostatni z rodu, komuż go zostawię?
I komuż z duszy tak pobłogosławię,
Jako mnie ojciec niegdyś błogosławił?..

„Więc tobie ziemio! ty arko miłości,
Co wiernie trzymasz miłosierdzia klucze!
I tobie dębie! coś w prostej wielkości
Szmerem swych liści wielkość Pana sławił...
A już ten sygnet niech wiecznie zdrój płucze!“ ...

I rzucił sygnet w sam środek krynicy,
I łza ostatnia błysła na źrenicy ...

Na Anioł Pański zadzwoniono z wieży;
Więc kędy w grobach legło koło bratnie,
Udał się jeszcze na modły ostatnie,
I do ostatniej zasiadł już wieczerzy ...
Modlitwą zaczął, i modlitwą skończył,
Ostatek miodu w puławy wysączył,
I powstał nagle — „To już do strzemięcia!“
I podniósł oczy — „Tam do zobaczenia!“

A potem burkę zarzucił na kurtę,
I krzyknął nagle: — „Hej konia przed furtę!“
I jednym rzutem wsunął się na siodło,
Jakby go bardzo coś w sercu ubodło.

„Bądźcie tu zdrowi, i ostajcie z Bogiem!
Już ja nie stanę więcej za tym progiem!“

I ścisnął konia, i kopnął się cwałem,
Że się dopiero za bramą zrównał.

V.

Śliczny był wieczór, cichy i pogodny,
I miesiąc zeszedł, i stepy oświecał,
Konie szły rażno pośród nocy chłodnej,
Czasem się w polach ogień gdzieś rozniecał;
Czasem w przelocie ozwały się ptaki ..
A Mohort drogę prostował na szlaki,
I milcząc jechał, patrząc w twarz miesiąca,
Aż w końcu słowa wycisła tęsknota:

„Ostatni świadek mojego żywota,
A jeszcze wiernie świeci mi do końca! —
Gdzież to te czasy? gdzie w nieznane progi
Tak samom jechał do mojej niebogi?

„Prawie w ostatniej potrzebie z Szwedami
Polegl wśród boju pan miecznik Różański,
A że miał wielki mir pomiędzy nami,
Otóż stanęło na radzie hetmańskiej,
Ażeby ciało odwieźć w jego progi,
I z asystencyą oddać jego wdowie.

„Waćć będziesz czynił“, pan hetman mi powie
I wydasz ciało sam w ręce niebogi,
I w mem imieniu będziesz na pogrzebie,
I od rycerstwa wyrządzisz pocziwość;
„Ja z kondolencją dam listy od siebie,
Boć wzgląd mieć trzeba na niewieścią tkliwość,
I na zasługi poległego w boju;
Niechaj nam z Bogiem spoczywa w pokoju“.

„I tak się stało — że z pocztem osobnym
Ruszyłem prosto, z konduktem żałobnym
Z pobojowiska — wszystko to zabrawszy
Co po mieczniku było pozostało.

„W pierwszym miasteczku trumnę zrobić dawszy,
Złożyć kazałem rydwanie ciało,
I księży wzięwszy z pierwszego klasztoru,
Jechałem wolno do wdowiego dworu...

„Miesiąc w tej drodze świecił mi tak samo,
Aż w końcum stanął przed klasztorną bramą,
Gdziem przeorowi całą rzecz otworzył,
I nieboszczyka tymczasowo złożył.

„W sąsiedztwie mieszkał pan Wojski Proszczycki,
Pobliski krewny starościny Lidzkiej.
Więc wypadało go naprzód nawiedzić,
I o nieszczęściu rodziny uprzedzić.

„Z boleścią przyjął on moje poselstwo,
Bo go łączyło wielkie przyjacielstwo

Oprócz krewieństwa: od chłopiąt z miecznikiem
Długo służyli razem z nieboszczykiem
W jednej chorągwi, — oba w jednym roku
Pojęli żony, — w sąsiedztwie osiedli,
I wspólny żywot niby bracia wiedli,
I wspólnych mieli przyjaciół u boku.

„Kiedym zajechał — Wojski w ganku siedział,
I rzecz zrozumiał nawet bez słów wiele,
I ciężko spłakał, kiedy się dowiedział
O owej śmierci swego przyjaciela;
Ale boleści nie folgował marnej,
Ukląkł i zmówił: wieczny odpoczynek;
Potem wstał, włożył na się żupan czarny,
I rzekł mi krótko: — „Jedźmy do Malinek:
Smutne poselstwo trzeba odnieść wdowie“.

„Dwór miecznikowej stał w pięknej dąbrowie,
Od wsi Wojskiego ledwo o pół mili...
Ksiądz przeor znacznie wyprzedził nas rankiem,
I był już naszą bytność zapowiedział;
A więc dwór cały czekał nas pod gankiem,
I o nieszczęściu dom już cały wiedział.

„Gdyśmy nareszcie stanęli przed panią,
Nikt z nas przemówić nie śmiał ani słowa,
Ale i oczy złego posła rania;
Nieboga swoje nieszczęście odgadła,
I rzekła mężnie: — „Czuję to, żem wdowa!“
A śliczna córka jak kalina zbładła,
I u stóp matki bez duszy upadła

„Zbiegł się fraucymer. — „Na ustęp panowie!“
Rzekł nam pan Wojski — i tylko z przeorem
Zostali oba przy córce i wdowie;
I obiem ujrzał dopiero wieczorem...

„Nazajutrz bliżsi zjechali sąsiedzi;
Przeor miał lektę w żałobnym ornacie.
Kirem odziana pani po swej stracie
Według zwyczaju z całym swoim dworem

O świecie jeszcze była u spowiedzi.
A po mszy świętej z Wojskim i przeorem
Złożyłem radę, jakby uroczysty
Kondukt odprawić, i akt ten ogłosić,
I województwo całe ściągnąć listy,
I na żałobny chleb wszystkich zaprosić.
Więc naprzód przeor wysłał zaprosiny,
I do kolegiat i dalszych klasztorów;
Pan Wojski znowu w imieniu rodziny
Obesłał listy do zamków i dworów;
A ja nareszcie, ordynans hetmana,
Jak mi był dany od mojego pana,
Po województwie obwiozłem do koła,
Rzecz poczynając porządnie od czoła;
Więc od samego pana wojewody
Aż do ostatniej szlacheckiej zagrody.

„Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany:
Każdy towarzysz miał po dwóch pocztowych,
Każdy wypoczął, był dobrze ubrany,
A wszystka szlachta na koniach harcowych,
Więc co się zowie było okazale;
Gdym poczt mój sprawił i stanął na czele,
Pan wojewoda wyruszył wspaniale
Także na koniu, bo w rycerskiem kole;
I towarzystwa grzecznego nie mało
Nawet z ziem dalszych na zaciąg zjechało.

„Wspaniały rydwan ruszył od klasztoru,
I śpiew się ozwał wdluż wielkiego chóru,
Znać że do grobu wieziono rycerza;
Bo za rydwanem stapał koń miecznika,
Chorałwie szwedzkie na krzyż u puklerza,
A obok trumny zbroja nieboszczyka...

„Stu księży mszalnych, dwanaście klasztorów,
I ksiądz sufragan eksportował ciało;
A za konduktem, z okolicznych dworów
Tak wiele kolas i bryczek jechało,
Że czoło blisko już wdowiego dworu,
A koniec ledwo wyruszył z klasztoru.

„Przed wioską tedy zatrzymałem czoło,
I cały kondukt ściągnął się na błoniu;
Do koła trumny zatoczono koło,
I tylko poczt mój pozostał na koniu.

„Przed dworem na krzyż schodziły się drogi,
I kondukt stanął przed bramą niebogi,
Co z dworu wyszła na smutne spotkanie
Powitać zwłoki męża na rydwanie.

„Obok niej córa ponad matką zgięta,
Niby to lilija albo jaka święta —
Obie w zakonnym stroju otulone,
I smutnym dworem w koło otoczone.

„Koń mi się ciskał jak odynieć ranny,
A tu przemówić z konia wypadało;
A więc westchnąłem do Najświętszej Panny:
„Ratuj mnie Pani!“ i tak też się stało,
Bo mi włożyła w usta wdzięczne słowo,
A koń stał wryty, gdym stanął przed wdową.

„Jam nie orator! — Iżą mi zaszło oko —
Ale w prostocie człowiek Boga chwali!
A kiedy sięgnie do duszy głęboko,
I nad niedolą ludzką się użali,
To z serca płyną słowa nieuczone,
A z oczu bliźnich lzy nieutulone.

„O jam nie rektor! lecz przy łasce Bożej
Jam sakramentów w sobie nie zatracił!
A jak człek rękę do serca przyłoży
I w krwi poczuje: z czym i z kim się bracił?
To na hetmana dusza mu urasta,
I godzien nawet przemówić w kościele,
A w boju stanąć, na rycerstwa czele
A w grobie legnąć, nawet obok Piasta.

„Com wówczas mówił, powtórzyć nie umiem,
Bo wówczas nawet nie znałem, com prawił
W afekcie duszy — ale tak rozumiem,
Żem rozkaz pana mego dobrze sprawił!

„Wiem tylko tyle, żem począł od Boga,
I od ojczyzny, i od krwi pocziwej,
Co jak orlica uderza na wroga,
Kiedy jej gniazda dotknie gad zelżywy;
A gdym nareszcie złożył w ręce wdowy
I pierścień ślubny i sygnet herbowy —
I relikwiarzyk, co na piersi nosił,
Oddałem córce, jak sam o to prosił —
Gdym spojrzał na nią, a ona mnie w oczy,
A tu się perła po jagodach toczy,
I jakaś światłość od jej obliczności
Padła mi w duszę — to już od żalości
Nie mogłem więcej wymówić i słowa,
I tak się na tem skończyła ta mowa.
Przez trzy dni całe trwał akt pogrzebowy,
Msze się prawily, egsorty i mowy, —
A dnia pierwszego eksportacja była,
A dnia drugiego wzniosła się mogiła,
A dnia trzeciego egzekwie prawiono,
I przed północą stypę zakończono;
I jaki taki kiedy łzę osuszył
Pożegnał wdowę, i odjechał w ciszy.
A gdy do domu wojewoda ruszył,
I jam opuścił moich towarzyszy,
Bo też już było po szwedzkiej potrzebie,
Więc rad też każdy powracał do siebie.
Sam zaś zostałem i z wielką ochotą,
Bo matka z córą prosiły mnie o to.
A gdy już miesiąc był prawie upłynął,
I żał co większy już nieco przeminał,
Poczęto pytać o wszystkie wypadki
Szwedzkiej potrzeby — i chwile ostatnie
Pana miecznika — a choć człek był gładki,
Nieraz się splątał jakby popadł w matnie.
Gdy przyszło mówić o takiej boleści,
I wytrwać mężnie wobec łzy niewieściej,
Bo choć się obie łez jak grzechu strzegły,
Choć panna Anna znów do krosien siadła,
A sprawy domu zwykłym trybem biegły,
To często jeszcze łza na wzory padła.

I dosłyszałem nie raz stojąc z boku,
Jak do poufnej rzekła ze łzą w oku:
„Czy to już późno? czy się dziś tak mroczy,
Że mi już nie chcą statkować i oczy,
Że i jedwabiów rozeznąć nie mogę?”

„A ta to niby wyręcza niebogę;
I kiedy do jej pracy się przysiada,
To łzę ustyma z oczu jej wykrada“.

O biada sercu! i tej głowie biada!
Bo panna Anna była mi tak droga,
Że się tak kochać godzi tylko Boga!
I mozem w życiu za to pokutować,
Żem taką miłość dla niewiasty chował,
Jaką człek wierny tylko niebu mierzy,
Jaka po Bogu ojczyźnie należy...

„Sześć niedziel zbiegło mi na wdowim chlebie,
Jak gdyby jedna godzina gdzieś w niebie,
I kiedy przyszło w końcu do rozstania,
Anna nieśmiało przy matce się skłania,
I tak mi rzecze już na samym progu:
„Kiedy się, kiedy podobają Bogu,
Że kądzień tylko zostawił w tym domu,
To szabli ojca niema nosić komu,
A że jej smutno będzie w tym spoczynku.
Więc przyjm ją waszmość proszę w upominku³⁹⁾“.
To też przyjąłem szablę ze łzą w oku,
I odtąd wiernie noszę ją przy boku...

„Tak samo świecił miesiąc, gdym wyjechał,
I znowum nigdzie nie spoczął w tej drodze...
Pogoda była, i świat się uśmiechał,
Lecz myśli moje tylko przy niebodze.

„Gdym znowu stanął na dworze hetmana,
Rzecz mi hetman raz pewnego rana:
„Coś Waś posmutniał mi na wdowim dworze,
Czy miecznikówna tak do serca wpadła?
To Szwed cię nie zjadł, a podwika zjadła?

No — ja pomogę, jeśli Bóg pomoże?“
I rok sześć niedziel milczeliśmy oba;
Aż się w Malinkach skończyła żałoba.
Wówczas dopiero hetman mi powiada:

„Mój poruczniku! jeżeliś nie zmienił
Dotąd twej myśli, to jechać wypada
Nam do Malinek, i będę cię żenił!
Ojca zastąpię, co już leży w grobie,
Pannie i Waści — i pobłogosławię!
(A Koszowacki klucz wypuszczam tobie,
I przenosiny sam Waszmości sprawię)“.

„Wiernym ty drużbą byłeś mi wśród boju,
To ja starostą chcę ci być w pokoju;
A ufam w sercu, że się nie rozłączy
Ta przyjaźń nasza, chyba ją Pan skończy“.

„Do nóg mu padłem nie rzekłszy ni słowa,
A on mnie podjął i ścisnął mi głowę,
I rzekł łaskawie: „Wesela połowę
Mamy już tedy! — pisz Wasze do domu,
Bo gdzie się córa we dworze uchowa,
Tam jej nie dadzą bez prośby nikomu.
Znam, że się prośba miecznikowej nada,
Lecz list od matki Waści mieć wypada
Do miecznikowej. — Pan Wojski Proszczycki
Wszak bliski sąsiad starościny Lidzkiej;
Więc niech tam z listem czeka nas posłaniec,
A na ostatki — da Bóg — pójdziem w taniec!“

„Prawda, żem wierny był Panu w potrzebie,
I służyć miałem do śmierci ochotę...
Lecz cóż za dusza, co za serce złote,
Że mi los taki obmyślił u siebie!

„Od rezydencji zwyczajnej hetmana
Cztery dni drogi było do Malinek“,
We wsi Wojskiego stanęliśmy z rana —
Ale nim jeszcze poszedł na spoczynek,
Oświadczył hetman rzecz krótkimi słowy,
A Wojski przyjął zamysły łaskawie,
I jako bliski pani miecznikowej,
Przyrzekł nam pomoc życzliwą w tej sprawie.

„Nazajutrz przebiegł do Malinek rankiem,
I przed śniadaniem jeszcze do nas wrócił,
Lecz znać słów parę o zamiarach rzucił,
Bo tylko pani witała pod gankiem,
Gdyśmy poszóstno w dziedziniec wjechali.
Najprzód słów parę o mieczniku padło,
I westchnień parę z piersi się wykradło,
A kiedy pani chciała prosić dalej,
Rzecz pan hetman:

„Kawaler stateczny,
Ozdoba naszej chorągwi walecznej,
Porucznik Mohort — prawa ręka w boju,
A domu mego przyjaciel w pokoju,
Prosi by wolno było wejść w te progi“
A pani na to: — „Od dawna nam drogi!
Witam i proszę!“ i skłoniła grzecznie,
A panu rękę podała statecznie...

„Przez trzy dni trwała gościna wesola,
Lecz hetman koni nie kazał wykladać,
Chcąc się z zamiarów jawnie wypowiadać;
Stąd pannęm tylko widywał u stoła.
Aż dnia czwartego rzekł mi hetman z rana:
„Trzy dni tu gościm bez szarej polewki,
A więc się skłonić wypada w kolana,
A jak rozumiem nie odmówią dziewczki;
Sygnet przezemnie daje hetmanowa,
Bo lepszą pamięć miała białogłowa
O tem. co tutaj będzie nam potrzebne.
Jeśli Bóg zdarzy zabiegi swadziebne,
A mnie się uda sprawę z matką ubić,
To córę zaraz najlepiej poślubić.

„Najdzielniej bije serce pod pancerzem:
Więc wezwij naprzód w pomoc Pana Boga,
I opnij pancerz, jakbyś szedł na wroga,
Niech i ja czuję, że swatam rycerza.

„Jeśli Wojskiego przyślę do Waszeci,
Dobry znak będzie — jeśli krzyknę z sali:
W konia! to siadaj i pojeżdżaj dalej,
Bo znać nie dla nas szczęście tutaj świeci“.

„Nigdy mi serce nie biło tak w boju,
Jak w owej sali na serdecznej straży;
A koń przed gankiem rwał się w niepokoju,
Jakby przeczuwał, że mój los się waży.

„Wtem wpadł pan Wojski i krzyknął „wygrana!“
Pani siedziała w krześle upłakana,
Obok stał hetman ku niej nachylony,
Kiedy pan Wojski uchylił opony,
I kiedym zwolna wstąpił na próg sali.

„Do nóg, jak matce!“ rzekł mi hetman głośno...
I padłem do nóg przejęty do żywa,
A w sercu było mi coś tak żałośnie,
Jak pod pancerzem nigdy tam nie bywa.

„I hetman podał list mej rodzicielki,
I list przejrzała z płaczem miecznikowa,
I rzekła panu: „Widzę, że Bóg wielki,
Co w pieczy swojej i sieroty chowa,
Czuwać nad domem wdowy nie przestaje,
Gdy opiekunów takich Annie daje;
To niech się dzieje wola Jego święta,
Niech Anna przyjdzie“.

„Weszła Anna w bieli,
Jako na ziemię zstępują Anieli,
Jakoby z nieba prosto była wzięta...
A matka rzekła:

„Anno! ojciec w grobie,
Pan hetman, Anno! chce być ojcem tobie,
I o twym losie wraz ze mną stanowi,
I oddasz rękę panu Mohortowi“.

„Zadrżała Anna, i jak lilija zbladła,
I do nóg matki na kobiercu padła.
„Potem pan Wojski pannie błogosławił,
A potem hetman, — i stała rumiana —
A hetman rzecze: „Gdy tak Pan Bóg sprawił,
To nim po wieniec schylimy kolana,
I łaskę domu zdołamy zawdzięczyć,
Niech wolno będzie nam pannę zaręczyć“.

„Anno! daj pierścień na wieczyste śluby“,
Rzekła jej matka, — a twarz mojej łubej
Jakieś niebieskie okraśliły wdzięki,
I po raz pierwszy dotknąłem jej ręki,
A kiedym pierścień na rękę jej wkładał,
To biło serce, że aż pancierz gadał.

„Wieczorem wiele zjechało się gości...
Pan hetman dodał ucztę wspaniałości,
I akt ogłosił w okazalej mowie,
I w kolej puścił mej bogdanki zdrowie;
A potem pęty nie odstąpił matki,
Aż wyznaczyła dzień ślubu w ostatki.

„Z Malinek jadę objąć Koszowatę,
I zrozumiałem, co za kawał chleba
Dał mi pan hetman — wszystko tam bogate,
Więcej wszystkiego było niż potrzeba:
Zasobno, chlebno, i miodno i młeczno,
Mączki i łączka i ryby i grzyby,
We dworze czysto, w dziedzińcu słoneczno,
W koło pocziwych sąsiadów siedziby,
I niedaleko od kościoła było...
A przecież wszystko razem nie cieszyło;
Czy to, że byłem sam jeden w tym dworze,
Czy, że tak nagle spadły dary Boże,
Że człeku trudno było w to uwierzyć,
By się udało taki los zadzierżyć?
Dość, że tak było.

„Jadę więc do matki,
Bo się już zbliżał wreszcie czas wesela,
Po drodze wzięwszy z sobą przyjaciela,
By mieć już družbę z sobą na ostatki;
W domu nie byłem od dawnego czasu,
Bo raz ostatni przed szwedzką potrzebą,
Więc gdy dwór matki zaświecił od lasu,
To mi się zdało, żem zobaczył niebo!

„Nieba też rada była mi przychylić,
Wszystkiem obdarzyć i wszystkiem zasilić;
Lecz gdyś niejaki czas w domu przesiedział,
Wszystko jak było, matce opowiedział,
Rzekła mi matka:

„Serce mi się lęka,
I niech tem wszystkiem Pańska rządzi ręka,
By się weselem skończyło wesele...
Tyś dał relikwiarz — ona karabelę“.

„I jedna wiara“ mówi Paweł święty!
Rzekłem w ufności, chcąc ją uspokoić;
Ale zlej wróżby przeczuciem dotknięty,
Własnego serca nie mogłem ukoić...
Błogosławieństwo wzięwszy więc od matki,
I dla synowej przyszłej upominek,
Wraz z przyjaciółmi ruszyłem w ostatki
Do mej niebogi i owych Malinek.
Mróz pofolgował, jak w ostatki bywa,
Puszczając poczęło i kruszały lody,
Wiatr powiał ciepły i spadła ulewa,
I krę na Niemnie ruszyły już wody.

„W miejscu przeprawy wielkie kry się sparły,
I łód stał jeszcze — lecz ani po lodzie
Nam się przeprawić, ani też po wodzie,
Bo strach, by kryhy łodzi nie zatarły;
Pół dnia czekałem, czy nie zniesie lodu...
Wreszcie przeszedłem po nim raz i drugi,
A że to człowiek gorący za młodu
Choć i na lodzie — krzyknąłem na sługi:
„Nie ma zlej drogi do mojej niebogi!
Puszczaj, przejedziem!“

„Lecz gdyśmy zjechali,
I już drugiego brzegu dobijali,
Łód tak ogromnie jak z armaty strzelił,
I krą od brzegu z nami się oddzielił;
I kry naparły a my z wodą płyniemy,
I bez ratunku oczywiście giniemy.

„Dobyłem szabli i odciąłem konie,
I napędziłem, i skoczyły z lodu
Po krach do brzegu. Wołam! stojąc z przodu,
A kra się łamie i człowiek mi tonie.
W spód poszły sanie — pod łód poszła służba,
I wszystkie rzeczy, i koni siedmioro...

Po krach skaczemy, ja wprzód, za mną družba,
Aż nas nareszcie kry już z sobą biorą,
I światem niosą całym pędem rzeki,
I woda zda się co raz bardziej rosła,
A wieczór siadła na kępie dalekiej.
Straszna noc była! — pośród kry i fali
Całąsmy dobę na kępie przestali;
Aż się nareszcie jakiś rybak zjawił,
I do pobliskiej wioski nas przeprowił.

„Umiejąc pływać — to mogłem przepłynąć!
Ale mój družba tak się napił wody,
I skostniał wszystek, że przysłoby zginąć,
Gdybym go rzucił wśród takiej przygody;
Nadto trzos ciężki, ba i szablę miałem,
I już obojga uronić nie chciałem.

„O losie naszym była już wieść w biegu,
Bo już i nasze konie pochwymano,
I po zaściankach sobie powiadano,
Że mnie wraz z družbą zniosła kra od brzegu;
Więc nas też ludzie nad wodą szukali,
I jak z tamtego świata nas witali.
Pocziwa szlachta siedziała w zaścianku.
Kiedy nas rybak wynalazł o ranku,
Przybyli na brzeg z posiłkiem skwapliwie,
I jako braci podjęli życzliwie.

„Družba już nie mógł słowa wypowiedzieć,
Choć był człek mężny, i miał serce z rodu;
A gdy się napił z korzeniami miodu,
Dreszcz go rzuciła, ale począł bredzić;
Nie dobrze, myślę, coś się nam nie wiedzie!
A on w gorączce: „Co to z tego będzie?
A gdzie mój ręcznik? to nie dobra wróżba,
A gdzież jest wieniec? o biedny ja družba!“
A w nocy wołał: „Panie bracie, konie!
Pędźmy co wyskok — panna młoda tonie!“

„O świcie przybył braciszek z klasztora,
I krew mu puścił, lecz było zapóźno,

I na mym ręku skonał do wieczora.
Jak obłąkany patrzył w koło groźnie,

„I wszyscy ze wsi za pogrzebem wyszli,
I słowa matki stanęły mi w myśli,
I jakiś zawrót głowy opanował:
On mnie miał drużbić — a jam go pochował!

„Kiedy się wiedzie, bywa tego troje...
Szlachcic do wózka zaprzął konie moje,
I do Malinek pojeżdżamy oba;
Tutaj dopiero czas rozważyć miałem,
Że od wypadku piąta przeszła doba,
Że ludzie z końmi i taborem całym,
O dzień podróżny za nami ciągnęli,
I ostrzeżeni przecież ocaleli.
Lecz co się z nimi stać już mogło dalej:
Czy powrócili słysząc o przygodzie?
Czy na przewozie czekają przy wodzie?
Czy do Malinek może dojechali?
Nie mogłem zgadnąć — i tem większa trwoga
Zbierała serce, czem bliżej już było,
I zaklinałem: Jedź! przez rany Boga —
Bo mi coś serce nie dobrze wróżyło.

„Wtem odgłos dzwonów odezwał się głucho,
I śpiew żałobny uderzył me ucho;
Wpadam na groble — a tu tłum narodu,
Chorągwi, światła i czarny krzyż z przodu —
Straszliwa chmura kruków i gawronów
Zaćmiła niebo, zgłuszyła śpiew chóru,
I nawet odgłos tych żałobnych dzwonów...
A tutaj trumnę wynoszą ze dworu:
W oczach i w duszy zrobiło się ciemno!
Co to? kto umarł? Co to? Wielki Boże!
A z grobli wszystko pierzchnęło przedemną:
„Upiór! topielec! ratuj się kto może!“
I pierzchli w strony, a przedemną przodem
Leciało ptastwo czarnym korowodem.
„Upiór! topielec!“ jeden głos do koła,
A czarne ptastwo straszną chmurą kraczy;
Więc pędzę groblą, co koń wyrwać zdoła,

I zrozumiałem, co to wszystko znaczy,
I bies mnie w kleszcze pochwycił rozpaczy.

„Śpiewy ucichły koło bramy starej,
I wszystko pierzchło, i stanęły mary —
Skoczyłem z wozu, i oko nie wierzy —
Trumna otwarta — w trumnie Anna leży...⁴⁰⁾

I takie były me weselne gody,
Bo mnie witała w stroju panny młodej,
I jako lilija taka była strojna,
A jako anioł uśpiony spokojna.

„Jakże się udał sen mojej panience!
Porwałem trumnę jak dziecko na ręce,
Porwałem trumnę i lecę i niosę,
A wiatr mi do ust przygarniał jej kosę,
I białe wstęgi u wieńca furkocą...
I mnie coś niosło jakąś dziwną mocą.

„Nie wiem, gdzie biegłem, i dokąd ją niosłem,
Ale nad dachy i dęby urosłem,
I jakaś siła od ziemi mnie niosła,
I trumna w rękach ku niebu mi rośła,
I nagle wpadłem w jakąś bezdeń ciemną,
I dalej nie wiem, co się działo ze mną...

„Po wielkiej burzy noc nastała głucha:
Lecz czym w letargu długą noc przeleżał?
Czy to w rozpaczy rozum mnie odbieżał?
Czyli się dostał pod moc złego ducha?
Tego sam dzisiaj powiedzieć nie umiem.

„Czasem świtało na chwilę w rozumie,
I nibym wiedział, że mi głowa chora,
I poznawałem Wojskiego, przeora,
Słyszałem modły — brałem jakieś leki —
Lecz skoro tylko skleją się powieki, ,
Już znowu szatan płatał swoje sztuki,
I w koło głowy krążyły gawrony,
I w uszach biły ciągle tylko dzwony,
I przed oczyma snuły mi się kruki.

„Jak długom leżał bez myśli, bez woli
Nie mogę wiedzieć — ale bez ustanku
Czułem w tym stanie, że coś bardzo boli.
Kiedym się ocknął nareszcie o ranku,
Patrzę — a w celi nie było nikogo —
Robię znak krzyża — a ręka mnie słucha,
Próbuję powstać — stoję jedną nogą,
Ba dalej drugą, i nabrałem ducha —
I wdziałem szaty, a gdym karabełę
Zdjąwszy z nad łoża przypasał do boku,
Zdrów się uczułem na duszy i ciele.
Wschodzące słońce gorzało w obłoku,
I coś mnie dziwnie nęciło w świat Boży;
Wychodzę — mijam krużganek niezgorzej,
Schodzę ze schodów i ledwo sam wierzę,
Skąd taka siła i oddech się bierze.
W dziedzińcu jakaś owiała mnie wonia,
Jak z łąk skoszonych — patrzę, a to lato,
I posłyszałem w stajni rzenie konia;
Wchodzę do stajni — a tutaj jak na to,
Koń kulbaczony rwie się koło żłobu.
Patrzę — mój własny — o czas dla nas obu
W skrytości serca pomyślałem sobie,
I siadłem na koń powoli po żłobie;
Parsknął z radości — nie było nikogo,
A więc z dziedzińca puściłem się drogą,
I ciąglem jechał w świat ku jednej stronie,
Aż zajechałem tu na dzikie pola;
I taka była znać już Boża wola:
Bo odtąd żyję już tylko w zakonie...

„W trzy lat dopiero po mojem przybyciu
Tutaj na kresy — kiedy nawet gadka
O mnie ucichła, znalazła ślad matka,
Której już więcej nie widziałem w życiu;
I wyprawiła, chociaż z tak daleka,
W te kraje za mną wiernego człowieka
Z trochę substancyi, z końmi, papierami,
I z listem, w którym żegnała mnie łzami!
I na tej drodze, na domiar boleści,
Także z Malinek odebrałem wieści.

„Kiedym się wówczas załamał na lodzie,
Przybył mój tabor w dzień po nas do Niemna,
A jeden z ludzi choć noc była ciemna,
Nie wiele myśląc, nie długo zabawił,
I jak z czem dobrem na gwałt się przeprawił,
I do Malinek doniósł o przystanku.

„Gdy wpadł w dziedziniec, był to właśnie ranek,
A pierwsza Anna wybiegła na ganek:
„A gdzież pan został?“ ze trwogą go bada,
A ów nieszczęsny pacholek powiada:
„Pan nasz utonął!“

„I więcej nie trzeba
Było dla Anny — bo po takiej wieści
Wpadła w malignę — i wziął Bóg do nieba
Anioła swego po krótkiej boleści;
A mnie się twardy żywot tu zaznaczył,
Lecz krzyż poniosłem, bo nim Pan uraczył“.

Tu umilkł starzec, i dobył różaniec...
Jutrzienka zeszła — i sam ziemi kraniec
Już się nawodził pierwszym brzaskiem zorzy...
Spojrzałem w koło — ha, piękny świat Boży!
Więc i jam westchnął w tej chwili porannej,
Patrząc w Jutrzenkę do Najświętszej Panny!

VI.

Ileż to razy uderzał o uszy
Odgłos komendy, i szedł mimo duszy.

Lecz jak inaczej, jak wcale inaczej
Głos ten przenika aż do serca głębi,
I dreszczem przejmie i aż w krwi zakłębi,
Gdy się marsz wojsku już do bojuaczy.

Wówczas w komendzie leży cała waga,
I moc tajemna i prawda tak naga,

Że się jej oprzeć już nic nie odważy,
Że już nie rozum, ale ręka słucha,
Że już nie wola, lecz ciało się waży,
A koń ma z jeźdźcem po połowie ducha.

Na koń! — odezwał się naprzód oboźny,
Na koń!! — obiega dokoła głos groźny,
Na koń!!! — zawrzało i zamęt wśród wrzawy,
Na koń! — i jezdnych połowa już w biegu,
Na koń! — i wszystkie skończone już sprawy;
Baczność! — i wszyscy stali już w szeregu...

I słońce błysło złociste u wschodu,
I księżę dosiadł bachmata wesóło,
Przejrzał szeregi, i pomknął na czoło,
A jedna trąbka dała znak pochodu.

„Marsz!“

I blask słońca zaigrał po stali.

Marsz!!!

I jak rzeka całe wojsko wali!

Poważna cisza — i tylko po rosie
Słysząc głos trąbki, lecz w tym jednym głosie,
Co się rozlegał w tej chwili rozstania,
Leżała cała waga pożegnania.

I każdy patrząc na tę ziemię żyzną,
Mówił sam sobie z żalosnem uczuciem:
„Żegnaj rycerzy i mogił ojczyzno!
I kiedyż znowu do ciebie powrócimy?
Pod jaką wróżbą? i z jakim obliczem?
I czy w szeregach jeszcze się policzę?“

Wesoło płyną narodowe znaki!
Szeroka droga na rozstajne szlaki,
I koń i serce ochocze do lotu...
Lecz gdzie się oprzem? gdzie położym kości?
I czy nam stanie drogi do powrotu?
I czy nie zmarni się tyle miłości?...

Każdy to uczuł, że został pod niebem,
I jechał wolno jakby za pogrzebem;
Więc księżę krzyknął: „Hej naprzód śpiewaki,
Pieśnią pożegnać ukraińskie szlaki!
A tam na niebie widzę klucz żorawi,
Więc dobra wróżba! Niech się wrogi smućą —
Bojem się tylko kraj dźwiga i sławi.
Wszak i żorawie lecą a powrócą?
Toć i my jeszcze tu powrócim może;
Naprzód śpiewaki! naprzód w imię Boże!”

To chociaż w duszy nie było wesoło,
Słowem się wodza pokrzepiła wiara,
I wymykali śpiewaki na czoło ⁴¹⁾,
I miła wszystkim wojskowa pieśń stara
Zabrzmiała w stepie:

„Hej tam na górze
Jadą rycerze,
Puku, puku w okieneczko,
Wstań i otwórz panieneczko,
Koniom wody daj!”

Jest nić tajemna, która wiąże duchy,
I serce wodza z sercem całej wiary,
Że wspólnie biją i do jednej miary,
Jak w elektronu chwyczone łańcuchy.

Kiedy się pieśnią księżę rozweselił,
Promień nadziei także w wojsko strzelił,
I duch powrócił, i znowu ochoczo
Pryskają konie. i zastępy kroczą.
Tuż obok księcia pan obożny jechał,
I głaszcząc konia z cicha się uśmiechał,
I rzecze księciu: — „No, co tak, to ale!
Tak po hetmańsku, i to sobie chwałę!
Gdy klucz żorawi tak dobrze posłużył,
Że z lotu ptaków księżę nam powróżył,
To powiem panom, co w podobnej sprawie
Stary Przeździecki z młodu mi powiadał,
Który był z królem Janem na wyprawie ⁴²⁾,

Jak tam się orzeł dziwnie wojsku nadał —
Są bowiem rzeczy, mimo ludzkie zdanie,
Do których rozum nie dorobi kluczy,
Których człek prosty na wojnie się uczy;
A całe wojsko patrzyło tam na nie —
Król szedł na Kraków i Tarnowskie Góry ⁴³),
I chyba tylko z Pańskich Świętych który
Tak się gotuje przed swoim męczeństwem,
Jak się gotował król przed tem zwycięstwem.

„Procesją obszedł krakowskie kościoły,
I czynił śluby i wota w szczodrości,
I stare progi Jagiellońskiej szkoły
Jak wierny uczeń odwiedzał w miłości,
I adoracją serdeczną oddawszy
Relikwiom Świętych patronów Korony,
Szedł na wyprawę jak król najłaskawszy,
I w łasce Bożej mocarz namaszczoney,
A w pochód biły mu krakowskie dzwony.

„Choć był jak rycerz dzielnością przejęty,
Choć taką wiarę miał i nabożeństwo
Do matki Boskiej i do Trójcy świętej,
Nie ufał sobie, czy mu da zwycięstwo ...
Otóż zwyciężył — bo go daje temu
Pan — co nie sobie, ale ufa Jemu ...

„Już na Morawach zabiegł drogę panu
Prymas węgierski, arcybiskup Granu,
I za przymierze dziękował życzliwie,
I podjął w drodze króla miłościwie.

„Aż tu o świcie przygoda nielada:
Podług pogłoski niedalekie wrogi,
A wojsko naszło na krzyżowe drogi,
I nie wiadomo kędy iść wypada.

„Król skinął ręką — stanęły zastępy,
I patrzą przed się ponuro jak sępy,
Lecz król na niebie dawno orła tropił,
Co się z pobliskich gór rażno wychopił,

I w koło wojska wielkiem kołem płynął,
A potem nagle nad królem się zwinął,
I zawisł nisko, i okiem go zmierzył,
I przodem w drogę środkową uderzył.

„Król, choć był królem, to miał zwyczaj taki,
Że równo z berłem czczył hetmańskie znaki —
Pamięć Chocima była mu tak drogą,
Że nawet królem idąc na wyprawę,
Zawsze na siodle Chocimską buławę
Hetmańskim strojem miał pod lewą nogą.
Więc gdy się z orłem oko w oko zmierzył,
A orzeł w drogę środkową uderzył,
Wysoko w górę buławę wyrzucił,
W lewo buławę, w prawo koniem zwrócił,
A jak przysłało tylko na junaka,
Dał na tym zwrocie gładkiego szczupaka,
I chwycił zręcznie lecącą z wysoka
Druchnę Chocimską, jak gdyby do tańca.
I jakby koniem tratował pohańca!
Tak po królewsku strzeliło mu z oka,
I krzyknął głośno nim posunął przodem:
„Za orłem wiara! jeszcze Bóg z narodem!”

„To mi krew pańska! To mi duch proroczy,
Co orła pojmie, gdy mu spojrzy w oczy!
I wam tak samo niech da Bóg mój książę!
I niech z narodem na wieki was zwiąże“.

A książę ścisnął Mohorta serdecznie,
I rzekł wzruszony: „Bóg i naród wiecznie!
Za mną panowie!”

I z szlaku się rzucił,
I ku wysokiej mogile się zwrócił,
I cały orszak stanął na mogile,
I na szyk wojska spoglądał przez chwilę.

Jako po stepie szeroki szlak płynął,
Tak krętą rzeką korpus się rozwinał,
I wstęgą suną pułki coraz nowe,
W powietrzu wieją znaki narodowe,
Na przedzie widne i jeźdźce i konie,

Dalej się czernią tylko górą kaski,
Dalej kolumna płynie jak most płaski,
A jeszcze dalej błyszczą tylko bronie,
I ponad wojskiem tylko tuman płynie,
A już nareszcie step w obłoku ginie...

Z nadzieją ksiązę spoglądał w świat Boży,
A tu na niebie znowu klucz żorawi
Po nad mogiłą i wojskiem się pławi.
A bachmat jego, co miał orle skrzydło,
U każdej nogi przeżuwał wędzidło,
Rwał grunt kopytem, i drżał od rącości,
I póty grzebał — aż się dobił — kości!...

Długoby trzeba myślami się wodzić,
I brnąć w nadludzkich boleściach okropnie,
Gdyby to przyszło z kolei przechodzić
Wszystkie od chwały do upadku stopnie...

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa ⁴⁴⁾,
Grobla szeroka, i niby bezpieczna,
Poniżej grobli płynie w bagnach struga,
A na niej stoi mogiła odwieczna.

Tam do pierwszego przyszło więc spotkania,
Bo nieprzyjaciel szedł krok w krok za nami,
A parł na korpus trzema kolumnami...
Z rzadka już strzały padały od rania,
I pan Kościuszko przednią straż prowadził,
I był się znacznie przodem już odsadził —
Głównym korpusem sam ksiązę dowodził,
A w tylnej straży komendę generał
Wielhorski miał — i z lekka odpierał
Nieprzyjaciela, który na nią godził.

Marsz trwał dzień cały — pod wieczór się miało,
I Boryszkowską groblę wypadało
Przebyć przed nocą — most za sobą spalić,
I przez marsz nocny znacznie się oddalić
Od nieprzyjaciół — jakoż po dwa razy
Przysyłał ksiązę z takimi rozkazy.

Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami, i z tą groblą długą
Oddzielał korpus nieprzebytą smugą...
A nim most stanie aż nazajutrz z rana,
I nieprzyjaciół przez most się przeprawi,
Nim się po takiej przeprawie znów zładzi,
To i nie mały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi:
Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.

Gdyśmy na groblę weszli Boryszkowską,
Już się zdawało, że z pomocą Boską
Ujdzim szczęśliwie — poczęło się mroczyć...
Spieszno nam było, więc trochę w nieładzie
Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć;
Generał przeszedł po moście na czele,
A Mohort jechał ostatni na zadzie,
I wołał: „Stępo!!!!” tak silnie i karno,
Że każdy słyszał, chociaż było gwarno.

W tem straszny łomot i tysięczne głosy
Wojennej trwogi wzbity się w niebiosy.
— Co tam?!

Na przedzie most się nagle zwałił,
A nieprzyjaciół tejże samej chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtłoczyli,
Z tyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił:
I na trzech liniach czysto jak po miotle —
A koło mostu zawrzało jak w kotle,
Z ludzi i z koni niby kra się sparła;
Gdy się most zwałił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarła,
I woda buchła nagle rzeką całą,
I wszystko w stronę od strzałów pierchało,
I wpław do stawu, i z grobli na błota,
A i ranionych było już bez liku.

Po trupie Mohort przedarł się na siłę,
I do rotmistrza — który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał — rzekł: „A to sromota!
Hej! Ostaszewski za mną na mogiłę!”
I jak duch bitwy stanął na mogile,

I powiódł w koło oczyma przez chwilę
I krzyknął: „Bacność! równaj się szóstkami!”
W połowie grobli ta mogiła stała...
I gdy komenda z jej wierzchu zagrzniała,
Każdy rozumiał, że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.

„Ja pójdę naprzód, i pierwszy się rzucę,
Ty stój w odwodzie! jeżeli nie wrócę,
Zaraz w też pędy idź z drugim oddziałem“,
Rzekł do rotmistrza, i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknawszy jeszcze dla zachęty:
„I jedna wiara — mówi Paweł święty“. 45)

Z dział uderzono: i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czekamy chwilę — koń Mohorta wraca...
A Ostaszewski: — „Teraz na nas praca!
Marsz!“ i już cały drugi zastęp w locie
Wpadamy — patrzym, a działa w odwrocie,
I kanonierzy leżą już pod koniem:
Więc za działami jeszcze chwilę gonim,
A potem stajem, kędy stały działa,
I noc zapadła — i skończona sprawa.
Równo z działami cichła z wolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.

Koło północy stanął już most nowy,
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi.

W tem rozruch na przedzie,
I głos podają — „książę! księżę jedzie!“
Księżę z raportu już o wszystkim wiedział,
Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże,
Gdzie działa stały — rzekł: „Szkoda mej Litwy!
I jakże zginął?“

„Jak giną rycerze!“
Rzekł Ostaszewski — „jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!“

A ksiązę na to: „Ha, nie czas żałować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować”.
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. — Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami,
I na mogile ogień nałożono;
Ksiązę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie,
I kazał na nim złożyć towarzysza,
I była długa i poważna cisza...
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie;
Aż gdy grób cały w końcu był zasuty,
Rzekł ksiązę tylko do obecnych tyle:
„Żył z szablą w ręku, niech leży w mogile!”
A towarzysze przyklękli na grobie,
I pieśń żalospną zanucili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiewał,
Dziękując z serca gdy podjętym bywał:

„Czas do domu, czas,
Zabawili nas!”

A potem na koń! i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła w końcu nawet straż ostatnia,
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycerz w mogile — w sercu żalność bratnia —
I ten samotny ogień na mogile.
I długo jeszcze w żalności tajemnej,
Kiedy już cały korpus się oddalił,
Patrzyłem w marszu, jak z mogiły ciemnej
Stos pogrzebowy wśród nocy się palił.

W kilka dni prawie po owej przygodzie,
Staął był korpus wieczorem przy wodzie.

Patrzę za drogą — aż drogą ktoś jedzie,
I na łańcuchu został zatrzymany;
Konie i zaprząg coś niby mi znany,
Konie myszate. bryka jakaś spora;
Ktoś wysiadł zwolna, i żołnierz go wiedzie:
Aż tu w podróznym poznaję rektora.

„A cóż pan Mohort?“ pyta mnie.

— Nie żyje! —

„A więc nie darmo jadę z tą obawą?
Poległ?“

— Legł w boju jak rycerz ze sławą,
I w Boryszkowcach mogiła go kryje. —

„Ha, pokój wieczny!“ — rzekł rektor z żalobą —
„Długie to lata przeżyliśmy z sobą!
I znak niezwykły jak widzę nie myli,
Sam przepowiedział swój zgon w łasce Pańskiej,
A o ostatniej jego życia chwili
Ostrzegł nas w celi dzwonek loretański.

„Po wyjściu wojska był smutek w klasztorze;
Prowadź ich Panie! ratuj wielki Boże!
Mówilem braciom, bo słyhać o bitwie,
I dzień nam cały schodził na modlitwie.

„Aż dnia jednego, przed samą wieczerzą,
Strwożeni bracia korytarzem bieżą,
Więc ich wstrzymuję i pytam, a oni
Mówią że dzwonek loretański dzwoni
W pana Mohorta celi, choć zamknięta.
Patrzę na pieczęć, w istocie nietknięta,
Więc rzekłem braciom: — oto palec Pański. .
Od wszego złego w modlitwie obrona...
A gdy nas wzywa dzwonek loretański,
Módlmy się bracia — to pan Mohort kona.

„Wziąłem gromnicę, wziąłem braci drżących,
I pocznem mówić akty konających...
I lżę serdeczną nie jeden uronił,
A dzwonek ciszej, coraz ciszej dzwonił,
I głos się w końcu perełką już sączył,
Ucichł — i rzekłem: — „Pan Mohort zakończył!“
I w tejże chwili korytarze jękły,
I przez sam środek drzwi od celi pękły.

„A więc począłem: — „Wieczny odpoczynek!“

Kiedym się lepiej rozmówił z rektorem,
Było to prawie nad samym wieczorem
A i dnia tego i tej samej chwili,
Gdyśmy na grobli krwawy bój stoczyli.
Na to rzekł rektor: „Wielka to otucha,
Że Bóg nas ostrzegł o tej krwawej bitwie,
I żeśmy o nim myśleli w modlitwie,
Kiedy pan Mohort oddawał już ducha“.

Cóż na to mówić? — ledwo do pojęcia,
Jak się to dziwnie nie raz w życiu wiąże:
Jeden był koniec Mohorta i księcia,
I sen podobny miał przed śmiercią książę!

Trzy dni przed lipską bitwą mu się śniło,
Że sobie łoże pod dębem wyścielił,
I spał spokojnie, choć słońce świeciło;
A wtem — z jasnego nieba piorun strzelił
I dąb roztrzaskał — po chwili już dębu
Nie było więcej, ni słońca ni błonia,
Ale się ujrzał jeden pośród zrębu
Pustego w koło, bez szabli i konia,
I pot śmiertelny wybił mu na czoło;
A kiedy wołał — „A na miłość Boga!
Konia i szabli!“ i rzucił się w koło...
Nadjeżdża Mohort na swoim rumaku,
Spokojny, zbrojny, jak niegdyś od szlaku,
I zesiadł z konia i dał księciu strzemię.

Duch wstąpił w księcia, gdy Mohorta zoczył,
Lekko mu było, gdy na siodło skoczył,
Lecz koń już więcej nie dotykał ziemi.
Ale się wyniósł lekko w jednym skoku.
I niby orzeł popłynął w obłoku ..

Kiedy nazajutrz w oficerów kole,
Książę wesoly przy śniadaniu siedział,
I niby na żart swój sen opowiedział.
To zgasła nagle weselość przy stole;
Choć jeden tylko był jeszcze w orszaku,
Co znał Mohorta, i służbę na szlaku.

Spostrzegł to książę, i sam zgasł na chwilę,
A potem mówił o Mohorcie tyle,
Że serca wszystkich zajął i rozrzewnił,
I w złem przeczuciu tem więcej upewnił.

„Był to ostatni rycerz z pod szyszaku“,
Tak kończył książę — „ostatni od szlaku,
Dusza hartowna, wielka i pobożna;
Po nim — żołnierzem być już tylko można“.

„Przed śmiercią hetman śnił się Mohortowi,
A mnie dziś Mohort po latach tak wielu;
I któż to zgadnie? kto zgadnie, i kto wie
Czy mi nie podasz strzemień przyjacielu?
Hej ptaku, ptaku pancernego znaku!
A czy od szlaku droga, czy z Budziaku!

„Ty strzegłeś Polski i hetmańskich szlaków:
Bóg mi powierzył dziś honor Polaków,
Bogu go oddam!“

I westchnął głęboko,
I tak daleko puścił myśl i oko,
Jakby zatęsknił za swym młodym wiekiem,
Jak gdyby śledził coś w stepie dalekim,
Jak gdyby dziejów przeszłych o coś pytał,
Albo na przyszłość w losach Polski czytał;
A potem rzucił i ręką i głową,
I z cicha nucił piosnkę Mohortową:

Czas do domu czas,
Zabawili nas!...

OBJAŚNIENIA AUTORA.

Tradycje w tym rapsodzie podane są tak odległe, tak nie mające żadnej analogji z dzisiejszem naszym życiem i stosunkami, w jakie wzięci jesteśmy, iż interes czytelnika może być tu czysto-historycznej tylko lub artystycznej natury.

Autorowi chodziło w tym rapsodzie o wskrzeszenie jednej tylko postaci, o skreślenie jednego tylko charakteru — i to jest stanowisko, w któremby rad ujrzał czytelnika swego.

„Oryginały nie są rzeczą powszednią: nie rosną ani jak trawa po wygonach, ani na bruku miejskim“ powiedział ktoś bardzo prawdziwie. Do ukształcenia oryginalnych charakterów potrzeba wielkich instytucji i potrzeba nadewszystko tego, aby się całe życie składało na wyrobienie ich oryginalności i niepowszedniej fizyognomji.

Odkąd pióro historyczne przeszło u nas w ręce ludzi, nie mających politycznego stanowiska, nie kreśli się historia żywymi wielkimi rysami, bo zginęła nić wielkich historycznych tradycji, a księga dziejów ojczystych stała się lamusem analitycznych rozbiórów i uczonych drobiazgów, zwróconych obliczem ku szkole albo ku widokom stronnictwa, z którego wychodzą pisarze.

Z upadkiem narodowych tradycji zabrakło dla historyka wątku, dla narodu właściwego stróża historycznej puścizny, i księga dziejów staje się księgą bez znaczenia dla serc, dla rozumów, dla dążeń nie objętych szkołą lub stronnictwem.

Czy to dobrze? nie wiem; ale to wiem, że artysta, że poeta i wszelki człowiek szukający w dziejach zasilku dla siebie, szukać go musi albo w historykach odleglejszego czasu, albo w żywych tradycjach aż dotąd krążących w narodzie (co podobno na jedno wychodzi), jeżeli się chce utwierdzić w zacnych przekonaniach swoich, jeżeli chce zaczerpnąć ze źródła życia i żywym dać żywe, albo w sobie ożywić, co życie dać może. Za naszych tedy czasów tyle ma każdy historycznych wiadomości, ile sam przez siebie i zapomocą środków mu służących zdobyć zdoła.

Dla anatomów i patologów historycznych wartoby w naszych czasach filantropji osobny urządzić szpital i naukowo-polityczną i polemiczną klinikę: w tym kierunku niema ani prawdy, ani

życia. Na szczęście żyje i czerpie nasza poetyczna literatura jeszcze z innego źródła, ze sfery tradycji, które starsze od książek przetrwają książki przy pomocy Bożej i przy miłości kochającego serca.

Z tej to sfery wzięta jest postać Mohorta. Winien ją jestem p. Ksaweremu Krasickiemu z Bachorca, byłemu majorowi kawalerji narodowej, przyjacielowi i dobrodziejowi memu, z którym razem kilka lat najszczęśliwszych życia przeżyłem; winien ją jestem p. Kazimierzowi Ostaszewskiemu z Zarszyna, b. rotmistrzowi kawalerji narodowej, który pod Mohortem na kresach ukraińskich długo służył i już r. 1794 dwadzieścia i pięć lat wojskowej służby sobie liczył; winien jestem w końcu niektóre tradycje o Mohorcie p. Antoniemu Dembińskiemu z Nienadowej, który w czasie bitwy na Boryszkowskiej grobli 1792 r. bataljonem strzelców pieszych dowodził, i księciu Eustachemu Sanguszcze, który w czasie ostatniej już swojej bytności w Gumniskach o Mohorcie mi mówił.

Tradycje te zebrałem i podaję je w tej formie, w jakiej na mnie przeszły, bo to wydało mi się najwłaściwszą rzeczą, jakkolwiek ten rodzaj odstępuje od wszelkich aż po te czasy sformułowanych rodzajów poezji.

Mohort jest jedną z takich istot, który przeżywszy kilka pokoleń, był niejako nicią narodowych tradycji i żywym pomnikiem przeszłości; tak przynajmniej pojąłem go z podania starszych i w tym duchu usiłowałem skreślić postać jego.

Zaledwo uwierzyć można było temu, co o nim starsi mówili: Za szwedzkiej ostatniej wojny r. 1709 był już namiestnikiem, a w bitwie na Boryszkowskiej grobli roku 1792, poległ licząc wtedy 80 lat służby wojskowej: bywszy za panowania Stanisława Augusta najstarszym w całym korpusie oficerów i chorągwi stojących na ukraińskich kresach.

Życie w chorągwi miało oddzielną cechę; na tem pograniczu stepowej Ukrainy wyrabiały się odrębne charaktery, i wiernie starałem się z tradycji pochwycić te odrębne rysy i tony, które w historycznym żywocie starożytnej Polski jeden strojny składają akord, dopełniając obyczajowo-publiczne i prywatne życie narodu.

Kalenickimi wieczorami nazwałem tu zebrane tradycje, bo nie od p. Ksawerego Krasickiego w Kalenicy słyszał. Wieś Kalenica jest główną w kluczu dóbr górskich rodziny Krasickich — mieszkałem w niej lat parę; leży niedaleko pod Beskidem przy granicy węgierskiej na zejściu się dwóch rzek Tarnawki i Kaleniczki. Szumy tej Kaleniczki, pod oknami dworu na jaz wziętej, umilały mi pobyt w tym samotnym dworze wśród bardzo pięknej okolicy położonym, ale bardzo odludnie i daleko od świata. Do-

bra Liskie należą do tych niewielu dóbr ziemskich, które nigdy jeszcze nie były sprzedane, ale zawsze szły puścizną po kądzieli i od Kmitów, Stadnickich, Ossolińskich i Mniszchów do Krasickich przeszły.

¹⁾ Przed laty 80 znane było jeszcze polowanie z sokołem na Ukrainie — najcenniejsze jednak sokoły sprowadzano już w owym czasie z Ukrainy zadnieprskiej a właściwie z Krymu, i pan Ksawery Krasicki mówił mi, iż cena ich była tak wysoka, że za dzielnego unoszonego sokoła trzeba było dać trzy dobre wierzchowe konie stadne. Młody sokół nazywał się Maiż, dzielny i już wypróbowany Ćwik, także Nurek. Sokół, co uderzał na stepowego łabędzia był za dzielnego i silnego mianu; ten co zbił drugiego sokoła, za dzielniejszego, a za najdzielniejszego ten, który z wysoka uderzał na czapłę i mimo jej obrony zbił ją, (Czapla przewraca się bowiem na wznak w powietrzu zagrożona od sokoła i nastawia piersiom jego dziób). Do sokołów byli osobni ludzie, sokolnikami zwani. Sokół siedział zwykle w przedsionku zamku lub dworu w sieniach, na berle, z kapturkiem na głowie, który go ślepił, bo to go łagodniejszym czyni, przywiązany do berła za dłużec, to jest rzemyk. Lubiono go dla tego mieć w sieni, bo kwili przededniem jak jutrzeńka wschodzi i daje znak o świetle: — stąd przysłowie:

Chart się zrywa, sokół kwili,
Będzie dzień po chwili.

Kiedy wyjeżdżano na łowy z sokołem, noszono go na pięści, zakrytego kapturkiem, trzymając za dłużec, a rękawica z grubej łosiowej skóry chroniła rękę. Gdy pies stanął albo myśliwy upatrzył ptaszkę, zrywano sokołowi kapturek z głowy, wówczas wynosił się w górę i upatrując ptaszkę, ważył się nad nią, uderzał z góry pędem błyskawicy, a położywszy ją wracał do myśliwego na świstanie i wołanie „Kubuś! Kubuś!“ do którego nawykł przy żerze. Przed polowaniem głodzono sokoły, po zdobyczy dawano im odprawę. Sokoła głaskając wypada go gładzić po piersi, od głaskania po grzbiecie dziczeje i staje się płochym.

²⁾ W Dubiecku mieszkał p. Antoni Krasicki, ojciec p. Ksawerego, i miło nam odnowić ślady tych, co tu przed nami byli. Franciszek Karpiński, który patrzył jeszcze na dwór p. Antoniego Krasickiego, tak się wyraża o nim w swoim wierszu:

Z Dubiecka, gdzie pan miejsca w dawnej swej dziedzinie,
Staropolską szczerością i cnotami słynie,
Gdzie z nim żona przykładna pouczyła dziatki,
Że jedne pełnią cnoty przed oczyma matki,
Drugie patrząc z pilnością na starszych przykłady,
Myślą: „I my też kiedyś pójdziemy w ich ślady“.

Pan Antoni był rodzonym bratem księdza biskupa warmińskiego Ignacego Krasickiego, i synowie też jego pobierali edukację na dworze księcia biskupa w Heilsbergu. Syn najstarszy, p. Ignacy bawił tam najdłużej, króciej daleko p. Ksawery, który miał od pierwszej młodości wielką ochotę do wojska i kształcił się pod okiem świątłych kanoników tamtejszej kapituły: ks. Kremera i Chatyńskiego. Kilka lat przed śmiercią odebrał był p. Ksawery list od ks. Chatyńskiego (któremu dano przydomek v. Hatten), gdy tenże na stolicę Warmińską wstąpił; kilkadziesiąt lat leżało pomiędzy ostatniem widzeniem się a tym listem ks. biskupa Chatyńskiego pisanym do p. Ksawerego, pełnym rzetelności pobożnego starca i wdzięczności dla poprzednika i dobrodzieja niegdyś swego ks. biskupa warmińskiego, stryja p. Ksawerego. Żałuję, że tego listu przytoczyć w całości niewypada, bo dałby wierny obraz położenia tej diecezji w dawnych i dzisiejszych czasach.

P. Ksawery czując powołanie wojskowe w sobie, zrywał się niecierpliwie na dworze księcia biskupa, a gdy biskup życzył tego koniecznie, aby przed rozpoczęciem wojskowego zawodu ukończył pod okiem jego edukację, opuścił dwór jego tajemnie i już siadał na okręt w Gdańsku, chcąc odpłynąć do Francji, gdzie pod ów czas wielu Polaków służyło wojskowo w gwardji królewskiej, gdy go dościgła pogoń ks. biskupa, wysłana za nim; do Heilsberga zwróconego, powitał stryj tylko tak lekkim wyrzutem: Nie wiedziałem mój Ksawerku, żeś tak gorąco kąpiący, a kiedy ci tak pilno w świat i do wojska, to idź tam, gdzie nasi służywali, i odesłał go bratu do Dubiecka wnosząc za nim instancję, aby mu wolno było zaciągnąć się do wojska na ukraińskich kresach: przybywszy tedy w Sanockie, zabawił niejako czas w Dubiecku i ruszył na kresy.

Staralem się nie tylko w całym opowiadaniu ale nawet w pojedynczych zwrotach mowy i w sposobie wyrażenia się zachować pamięć p. Ksawerego dla tych, co go razem ze mną kochali i czcili. Nie znałem nigdy człowieka tylu poetycznych a zarazem rodzinnych usposobień i myśli. Wszystko było tu jeszcze całe i w zgodzie z sobą: rozum, serce, słowo, siła, obyczaj; równa cześć dla prawdziwego postępu i przeszłości, dla doświadczeń i badań, głębokie religijne przekonanie, gorącą miłość bliźnich.

P. Antoni Krasicki należał do Konfederacji Barskiej, i z owych to czasów musiał mieć wprost lub pośrednio styczność z p. Mohortem, i kiedy syna wyprawiał na szlaki, dał mu do p. porucznika listy.

Tu trzymałem się ściśle nici opowiadania; niema wprawdzie zwyczaju wyprowadzać na scenę bohatera poematu śpiącego, ale ten śpiący Mohort na kozle w straźnicy wydał mi się dziwnie

poetyczną istotą, i ta scena w opowiadaniach p. Ksawerego złożyła mi się do razu w kształcie rapsodu. Mohort na koźle drzemiący w stannicy dał mi prawdziwe wyobrażenie starego rycerza na kresach ukraińskich czuwającego wiecznie, jak żóraw na straży. Kiedy mnie ten obraz pochwycił, rzekłem p. Ksaweremu: „ja to opiszę”. Zachnął się i przestał opowiadać: „jak to?” zapytał: „to panowie zaraz wszystko na piórko bierzecie? tradycja ma być żywą a nie pisaną”. I wiele ubiegło czasu, zanim się udało naprowadzić p. Ksawerego znowu na wspomnienie młodości jego. Jakoż póki żył, nie śmiałem się jać tego przedmiotu; ale kiedyśmy go stracili, z każdym rokiem rosła większa tęsknota za każdym jego słowem, a wśród ucisku czasu i duszy uciekałem się jako po pociechę do tych wspomnień, i dawno zaczęty rapsod nie kończyłem dlatego tylko, aby żyć wśród tych obrazów i wspomnień jak najdłużej. Dziś wysyłając Mohorta w świat, pragnę, aby ściślejszym jeszcze węzłem połączył mnie z tymi, którzy razem ze mną pamięć p. Ksawerego czcić nie przestali. Pragnę, aby ta praca miłą była jego jedynemu synowi p. Edmundowi Krasickiemu i wnukom jego: Michasiowi, któremu jeszcze dziad błogosławił i szablę swoją darował, Ignasiowi i Stasiowi, aby byli dziedzicami cnót, jak są dziedzicami imienia i krwi.

^{a)} Jak ojciec w rodzinie szlacheckiej wyposażył zwykle syna sygnetem jako klejnotem rodu, tak był zwyczaj, że matka chowała swe perły dla córek, a klejnociki na spinki dla synów; w możniejszych zaś rodzinach dodawały jeszcze matki do spinek i czaple pióro.

Wiadomo jest, że czapla ma tylko w czubku lśniące pióro, i bardzo wiele czapli na to potrzeba, aby złożyć z tych piórek kitkę ozdobną. Myśliwi wstawali do świtu, i był to staropolski figiel brać szczęście u pań i panien przed wyjściem na łowy. Gospodyni domu opędzała się zwykle surowo tym żartem, i sam jeszcze pamiętam, jak szanowna mawiała matrona: „A co mi tam z was, co wy zabijecie, to ja na palcu upiec każę, a zresztą pozwolę wiaść szczęście, ale proszę dla siebie o czapkę”. Kto się też chciał pani przysłużyć, ten i dostał czapli koniecznie, gdyby ją nawet miał kupić. Długoletnią tedy starannością niewieścią rosły czaple kitki i szły puścizną po babkach i matkach w bardzo nawet ozdobnych a szczelnych szabatkach przechowane. Kołpak rysi z czapłem piórem stanowił już największy strój; jak czaple bowiem pióra, tak były rysie od dawna już cenne, a stąd pospolicie tylko na kołpaki używane. Za mojej pamięci zabito w Liskich lasach dwa rysie. Polowanie na rysia jest niebezpieczne, bo psuje bardzo psiarnię, a przyparty ostro ryś rzuca się nawet na ludzi. Psy się zwodzą: bo skoro na drzewo

skoczy, ginie trop i psy ucinają, jeżeli go jeszcze nie wzięły na oko. Pamiętam, polowaliśmy z p. Ksawerym nad Liskiem, na górze Czulnia zwanej — założono na sarny — psy zagrały, lecz po chwili, lubo strzał nie padł, ucięły nagle. Ile towarzyski, łatwy w pożyciu, łagodny i pobłażający, nabierał p. Ksawery dziwnej surowości w kniei, i nie raz i mnie i swego syna p. Edmunda sfukał straszliwie, gdyśmy mu się niezręcznie powinęli, albo za ostro używali koni na polowaniu z chartami. Raz, pamiętam, spieraliśmy się z p. Edmundem o jakieś miejsce w Długoszu, kiedy całe polowanie szło już gorąco na dzika. — „A czy mnie djabli tych kronikarzy nadali! będziesz ty miał Długosza, jak cię dzik splata. Czuj duch! konia w kupe! strzelbę z wylotu! nawszyjek lasu!“

Otóż kiedy psy ucięły, wstrzymał się p. Ksawery i rzekł do mnie po chwili: „To nie przelewki, to ryś. Stać! ja go dojdę“. I jakoż naprzód strzelił Grzegorz myśliwy, a potem p. Ksawery i po raz pierwszy w życiu widziałem rysia. Uwiązano go do drzewa za nogi, a do łba wiazano tak ciężkie kamienie, że się cały wyciągnął jak struna, i wówczas to dopiero wystąpiły na skórze ozdobne ciemne centki jeszcze widoczniej. Przy rysiu została straż w lesie, aby zastygł należycie „na strunę wzięty“, a my powróciliśmy z wielkim triumfem na Posadę Liską. Cicho, ale rad jechał p. Ksawery, i powtarzał sobie: „Ależ wasy, wasy, jakież miał wasy!“

Sześć, ośm, do dziesięciu godzin jeździł p. Ksawery dziennie konno; wszystkie podróże odbywał konno, a jesienią wziawszy kilku przyjaciół i charty spuszczał się z gór Sanockich na równiny i dwa, trzy a nawet cztery tygodnie szczuł na równinach pomiędzy Podgórzem i ujściem Sanu; nie raz nawet zapędzaliśmy się aż do Baranowa nad Wisłą, i polowanie takie miało wiele podobieństwa z kampanją, bo o świcie byliśmy już na koniu, a przy świocach siadaliśmy do stołu codziennie w innej stronie i w innym dworze. Z każdym dniem powiększało się grono myśliwych i szczerwaczy. W taki to sposób odwiedzał p. Ksawery starych przyjaciół, zapowiadając dniem wprzód przybycie swoje przesłaniem kilku zajęcy przez jednego z myśliwych gospodyni domu. P. Stanisław Prek z Łopuszki, stary przyjaciel domu i wojskowy towarzyszył mu zawsze w całej tej podróży, i zwykle już śnieg polatywać poczynął, gdyśmy burkami otuleni z takiej wyprawy w góry nasze wracali i przy kominku w Bahorcu rozpamiętywali następnie całe dzieje polowania. Wszystko to było dla nas historyczne: i ten sławny Kieresz, podżary chart, i ta Szpilka, pochodzenia angielskiego charciczka, jakby z porcelany wyrobiona, która bez obrotu brała, i ów Bobik na srokatym ko-

niu zawołany szczwacz, który dopiero wówczas ognia nabierać poczynął, gdy się słońce do zachodu chylić zaczynało i gdy już wszyscy myśliwi i wszystkie konie ustawały.

Do śmierci zachował p. Ksawery ten sam sposób życia, a cały skład jego dworu świadczył o starych tradycjach domu i młodości, na ukraińskich kresach spędzonej. Lubo co do wyobrażeń postępował nie tylko z wiekiem, ale nawet z dniem każdym, nie znalazłem człowieka równie starożytnego co do obyczaju, równie nowoczesnego co do znajomości wypadków historii bieżącej. Umysł zawsze jednostajnie spokojny i pogodny, nigdy w niczem niezachwiana wola, wielka prostota, w pojmaniu wypadków sąd zawsze krótki, doraźny a trafny.

Raz wracał z polowania z pod Beskida: wtem biegnie na przeciw z folwarku posłaniec, i donosi, że cały folwark zgorzał.

„A obiad?“ zapytał p. Ksawery. Na to rzekł posłaniec: „Franciszek z rądelkami uratował się z ognia“.

„No, to pospieszże, niech nam dadzą obiad we młynie a folwark się postawi“ rzekł obojętnie, i nie było już więcej mowy o tej rzeczy, chociaż był bardzo rzadny i wszelkiej zapobiegał stracie.

Przed śmiercią miał wypadek na polowaniu. Odynieć wypadł tak nagle strzałami sfukany, iż zaledwie strzelić mógł do niego. Odynieć podciął konia, p. Ksawery powalił się na ziemię, a psiarnia sfór czterdziestu przysiadła odyńca, który już kilkoma kulami raniony z całą wściekłością uderzył na p. Ksawerego. Dzik ranił go parę razy kłami, a psiarnia osaczyła dzika na p. Ksawerym; sławny drążkowy kundys Rozbój przyległ mu sobą kark i szyję. Gdy myśliwi przypadli i z trwogą ujrzeli pana pod dzikiem i psami, rzekł p. Ksawery do Michałka: „P owoli, uważnie, a pał w ucho dzikowi“. Jakoż tak się stało: dzik po wystrzale rzucił się straszliwie i odwalił się na stronę, a p. Ksawery powstawszy rzekł obojętnie: „Ależ piękna bestja, łeb jego trzeba będzie przybić w Posadzie Liskiej nad stajnią“. I jakoż świecą kły tego dzika po dziś dzień nad stajennemi drzwiami na Posadzie Liskiej. P. Ksawery nie polował przez lat parę na dzika; aż gdy znowu dzika zabił, rzekł do mnie: „Będę żył, póki zechcę, kiedy znowu dzika zabił“.

Mój Boże! czuję to, iż objaśnienia pisać miałem, a w pamiętniki wpadam, dla których w innym czasie miejsce może dogodniejsze będzie.

⁴⁾ Minąwszy Konstantynów-Stary pada wzrok na wielkie, zaledwo okiem objęte równiny; od wsi Bachłaje poczyną się tak zwany Czarny-Tatarski-Szlak, na którym w odleglejszych wiekach przypada wędrówka narodów, na którym w późniejszych przy-

padają zagony Połowców, Tatarów i Kozaczyzny. Szlak ten poczynający się od wsi Bachłaje na zachodzie, przechodził na wschód aż do Czarnego Lasu na Ukrainie, w którym się zbierała czerń najeżdżająca przez kilka wieków Ruś i Polskę. Czarny Szlak ciągnie się pomiędzy wierzchowinami wód, i kilka ramion odrywa się od niego wiodących do Kremeńczuka, Kijowa, na Litwę, na Wierzchowinę, Podole, a nawet aż w Bełzkie. Na południu łączy się Czarny Szlak z Szlakiem Kuczmańskim, Multanami, który ostatecznie w Siedmiogrodzkie, Wołoskie i Ormijańskie przechodzi szlaki. W tradycjach starej Polonji na Ukrainie osiadłej lub wojującej znany był Czarny Szlak *per excellentiam* pod nazwiskiem „Hetmańskiego szlaku“, bo już ciż po tym samym zagonie odpierali hetmani najeźdźców, po którym oni wpadali.

⁶) Znane przysłowie na Rusi, oznaczające rzeczy bardzo rozstrzelone w świecie. Karczmy Babińskie leżą samotnie na Czarnym Szlaku i są znane na całej Ukrainie każdemu, co przebył drogę poprowadzoną jak mówiłem wierzchowiną stepów.

⁷) Ostatni garnizon wojskowy, mówił mi p. Ksawery, zastał jeszcze w Kamieńcu Podolskim, kiedy jechał na ukraińskie kresy. Następnie zaś nie było już wojska jak aż znowu na ukraińskich kresach, gdzie od ujścia Rosi do Dniepru aż po ujście Siniuchy sześć chorągwi lekkich konnych strzegło pogranicza. Kresy oznaczały tedy w istocie linię wojskowego pogranicza od Kozaczyzny i Ordy tatarskiej, siedzących pod ów czas jeszcze na ujściu Dniepru i na dolnym Dniestrze.

⁷) Miejsca na linii kresów, w których załogą stały wojskowe komendy, nazywano lukami, i na lukach tylko można się było przeprawić przez granicę.

⁸) Wielka prostota cechowała wszelkie urządzenia na ukraińskich kresach. Dla regularnej zmiany straży potrzebnym był zegar; ale że zegara nie było, robiono tak zwane kotki, to jest sznurki jednostajnej grubości, które były w tyle węzłów zawiązane, ile godzin noc miewała.

Knotki te były prochem przetarte w sposobie lontów; wszak, gdy się zdarzyło, że jeden lont w ten sposób w węzły zawiązany mógł zgasnąć, stąd, by liczby godzin nie tracono, zapalono dla bezpieczeństwa na raz trzy lonty, podług których po węzłach wypalonych godziny nocne liczono; trzy haczyki były tedy umieszczone u półki, na której stał kaganek w straźnicy.

⁹) Rodzina Mohortów pochodzi z szlachty litewskiej. Mohort z kresów ukraińskich był ostatnim z swojej dzielnicy, ale zapewne nie ostatni z swojego rodu, bo mi mówił p. Piotr Moszyński, że w młodości swojej miał nauczycielem młodzieńca tego nazwiska; więc być może, że jeszcze jacyś Mohortowie żyją.

¹⁰⁾ Wyrażenie staropolskich wojskowych; pierwsze żoldy czyli, znaczyło toż samo, co poczynąć służbę wojskową.

¹¹⁾ Ejnał, hejnał, hajnał słowo węgierskie — znaczy pieśń budzącą. — W Krakowie dawniej na wieży Panny Marji przez kilka niedziel przed Bożem Narodzeniem, zaczawszy wnet po północy aż do świtu na dętych instrumentach grano, aż do samego dnia Bożego Narodzenia, i to tam także zwano hajnał. Hajnał krakowski składa się z trzech pieśni na cześć Matki Boskiej odgrywany na trzech trąbach ze szczytu Marjackiej wieży w Krakowie. Te same pieśni bywały na pobudce otrąbione w chorągwiach polskich od wieków. Zdaje się, że gdy pieśń Boga-Rodzica zaprzestało śpiewać rycerstwo, zastąpiły miejsce nowsze pieśni na cześć Najsw. Panny, hajnałami zwane.

¹²⁾ Było to przysłowie p. Mohorta.

¹³⁾ Jest upowszechnione wyobrażenie, jakoby cała Ukraina była krajem zupełnie równym, co przecież tak nie jest.

Na tej ogromnej przestrzeni, której geologiczną podłogą w znacznej części jest tak zwana płyta stepowego granitu, odkrywają się pojedyncze okolice rzadkim urokiem pięknych widoków natury. Sam step zapewne ma coś jednostajnego, zwłaszcza dla tych, co nic w nim, na nim i w sobie upatrzeć nie umieją; ale nad brzegami stawów i rzek, gdzie się z pod pokładu żyznych ziem odsłania i wychyla płyta stepowego granitu, lub wapieni przypierających o ścianę granitów, uderzają duszę widoki rzadkiej piękności, zwłaszcza nad brzegami rzek większych, gdzie albo ludzka ręka podparła naturę, lub gdzie czarne lasy i dąbrowy obsiadły zabrzeże. Rzadko uśmiechnie się Ukraina niepowszednim wdziękiem natury, ale gdzie się uśmiechnie, tam jest jej wdzięk tak oryginalny i uroczy, iż nic nie może iść z nim w porównanie. Skaliste brzegi i skaliste wyspy na brzegach ujrzyć otoczone szumem wód spienionych, a umajone zielonością starodrzewa po jednostajnym i szerokim oddechu wonnych stepów, jest to widok tak nagradzający, że przy nim możnaby zapomnieć nawet o górskich widokach.

Do najokazalszych wszakże należą niezawodnie widoki brzegów dniewprowych, na które niegdyś przypierały kresy.

¹⁴⁾ Dwie wielkie klęski przeszły przez Ukrainę na lat wiele przed przybyciem p. Ksawerego na kresy, a jednak była ich pamięć bardzo jeszcze świeża, gdy tam p. Ksawery przybył: Mówię tu o dżumie i humańskiej rzezi. Dżumę powściągnął kordon wojskowy wyciągnięty kosztem Szczęsnego Potockiego, i od tego czasu poczęła się datować jego wziętość; — rzeź humańską upacyfikował regimentarz Stępkowski; tradycje jednak pozostały długo bardzo żywe tak po dżumie, jak po rzezi. I od owego to już właściwie czasu poczęła się zmieniać postać polskiej Ukrainy.

Majątki wielkich panów przeszły w inne ręce, wiele mniejszych rodzin szlacheckich przeniosło się do innych prowincyj, z pograniczem wreszcie usunęli się Tatarzy i znikli Kozacy; tak że cała postać kraju zmieniła się zupełnie w przeciągu prawie jednego pokolenia.

¹⁵⁾ Użycie koguta na strażnika i za zegar zdaje się być odwiecznej praktyki na Rusi. Przadki budzi kur do świtu, z kogutem wożą się solarze, z kogutem Czuma ki i Wałki. Po sadach i winnicach wiązano dla czujności koguta z dzwonkiem u nogi, a w wojsku miewał trębacz koguta na siodle za sobą, który znać dawał, kiedy zmieniać strażę po północy.

¹⁶⁾ Dotąd jeszcze używają do nocnej podróży na Ukrainie kagańca, którym człowiek konny przyświeca przodem: jest to ruchomy koszyk żelazny na drążku osadzony, w który się rzucają smolne gałki w ciągu nocnej podróży; kaganiec daje wiele światła — Kozak ma na sobie torbę z zapasem palnych gałek. Na kresach ukraińskich miał w wojsku trębacz obowiązek świecenia kagańcem.

¹⁷⁾ Z umysłu nie jeździł p. Mohort nigdy na polowanie, ale lubił to, aby charty były przy chorągwi, i szczuł nie raz, gdy się co mimochodem pomknęło.

¹⁸⁾ Do praktycznych przyborów obozowego życia dawnych wojskowych należały wilki; był to dywan z wilczych skór, zeszyty suknem lub samemi krajkami z sukna podszyty, który służył na poślanie i nakrycie: w obozie na leżach służył na okrycie łóżka, w marszu do okrycia juk, z tą tylko różnicą, że podług pory roku i potrzeby obracano wilki włosem albo suknem do góry lub na dół.

¹⁹⁾ Za mołojca w Kozaczyźnie był tylko ten mian, kto w pław na koniu przepłynął Dniepr, na arkan wziął konia z tabunu i przejechał się na nim, a w końcu, kto w czajce spuścił się ze wszystkich porohów dniewprowych. Junaki wszakże w chorągwiach polskich, co to lubili i z Kozaczyzną i Tatarami chodzić o lepsze, kasali się nieraz na podobne sztuki, nawet sam książę Józef w czasie pobytu swego na Ukrainie, chcąc być na jarmarku w Perejasławiu za Dnieprem, przepłynął wpław Dniepr. Ktoby był zgadł wówczas, że ten, który Dniepr bez szwanku przepłynął, w drobnej Elstrze utonie! Książę Eustachy Sanguszko tak mi opowiadał ten wypadek. Pani jenerałowa Pupardowa chciała widzieć sławny jarmark Perejasławski, dokąd z końmi i tabunami przybywali Tatarzy, Grecy i Turcy, i gdzie tą razą miał być i Koszowy. Zapowiedziano sprzedaż sławnych koni, a że jenerałowa jeździła prześlicznie na koniu, więc chciała nabyć dla siebie dzianeta i razem z mężem, z siostrą i z kilkoma wojskowymi udała się do Perejasławia. W dzień po jej odjeździe dowiedział

się o tem książę Józef: wezwał księcia Eustachego Sanguszkę, i kiedy do Dniepru przybyli, nie znaleźli tylko małą łódkę na brzegu; czajki ani bajdaku nie było. Książę nie ufając chytkiej łódce, chciał się puścić wplaw — na to rzekł mu kozak: „Koły wam tak potrybno, to siadajcie na moho konia, bo toj was zahubyt, bo win czeres Nipr ne chodyt“. Toż samo zrobił także i książę Eustachy: rozebrawszy się, przesiedli się na konie kozackie, a kozacy wsiedli w łódkę, wzięli ich rzeczy do łódek a konie na powódki w bród. Szczęśliwie przebyli Dniepr i przybyli do Perejasławia, gdzie zastali p. jenerałowę Pupardową z całym towarzystwem. Koszowego nie było, ale był Assawuła Muzyczeńko, który księcia Józefa z wielkimi podejmował honorami jako królewskiego synowca.

Książę Eustachy rzucił coś grubo kozactwu, które z Assawułą było, i kazał dać poczesne, poczem kozacy zdjęli obu z koni i poczęli ich na rękę nosić i podrzucać w górę. „Ty budesz naszym korolom“, wołali na księcia Józefa, i poczęli wprowadzać z sobą księcia. Nie dobra byłaby się z tego historia zrobiła, i Assawuła byłby pewno wielkiego okupu zażądał za księcia, gdyby nie baczność Mohorta. Mohort miał zawsze przy księciu starszego kresowego, który mu o wszystkich czynnościach i ruchach donosił. Skoro się dowiedział, że jenerał Pupard i książę pojechał do Perejasławia, przeprowił się niżej od nich przez Dniepr w kilkadziesiąt koni. Zostawił straż przy czajkach, pospieszył do Perejasławia, i przybył tam właśnie w tej chwili, kiedy kozacy wprowadzili księcia Józefa i księcia Eustachego z sobą. Stanąwszy w porządnym szyku, kazał dać ślepemi ładunkami ognia. Straszny to zrobiło popłoch na Perejasławskim jarmarku: ale kozacy ujrzawszy Mohorta, pomiarkowali, że rzecz pójdzie na serjo, i puścili książąt. Książę Józef chciał tę rzecz jakoś załagodzić, ale Mohort nie dał i chwili oddechu, zabrał wszystkich z sobą i przeprowił przez Dniepr napowrót.

Dwa razy, mówił mi książę Eustachy, byłem tak osobiście podejmowany w obcym kraju: raz za Dnieprem, a drugi raz w Wenecji, kiedym w młodości mojej po raz pierwszy zwiedzał Włochy. Przybyłem do Tryestu, a nie znalazłszy stosownej okazji do przeprawy, posłałem dworzanina mego, aby z Wenecji sprowadził mi barkę. Gdy się o tem Senat wenecki dowiedział, przysłano po mnie dożowską galereę, a na niej przybyło dwóch deputowanych od Senatu zapraszając mnie do Wenecji: przybywszy tam, wysiedliśmy przed pałacem Dożów i posłowie wprowadzili mnie do Senatu, gdzie mię jeden z członków w obecności Doży taką mową powitał, jakbym był posłem Rzeczypospolitej, chociaż nie miałem nad lat 19 wówczas, i chociaż dobrze wiadano o tem, że tylko partykularnie zwiedzał Włochy. Stałem w pałacu

poselstwa, a wieczorem wezwał mnie Doża do swojej łoży w teatrze, gdzie grano wówczas sławną operę: „Cosa rara“.

Z tych czasów ukraińskich przypominam jeszcze sobie jedną anegdotę. Książę Józef wyprawiał częste baliki i podwieczorki dla pań po futorach: zdarzyło się tedy, że całe towarzystwo przejeżdżało często koło dworu skarbnika Pyszyńskiego, poważnego szlachcica, który od wielu bardzo lat był w dobrym zachowaniu z p. Mohortem. Do wioski trzeba się było spuszczać jarem, i pominawszy dwór, wyjeżdżać w górę znowu jarem, naprzeciw dworu był dosyć duży staw. Gdy sobie p. skarbnik zmierzył przejażdżki owego towarzystwa po pod bramą swoją, kazał przekopać groblę, utkać przerwy, i czatować ludziom, gdy się całe towarzystwo jarem spuści ku dworowi. Wówczas to odtkano przerwy i woda buchła tak nagle, że po chwili brodziły już wszystkie konie po brzuchy w wodzie, że nie było już rady innej, jak zajechać na dziedziniec, który na powyższej leżał splazinie, bo woda zalała cały wóz i drogę. Szlachcic dokazał swego: bo ci co go mijali, musieli się wpraszać na gościnę. Podjął też całe towarzystwo *h o n e s t e*, i kiedy po jakimś czasie za mąż wydawał wnuczkę, prosił księcia z całym sztabem w dom swój na wesele.

Przybył i p. Mohort na przepysznym koniu i drogim tureckim rzędzie. Kiedy przyszło do oczeplin, chciano pannę młodą sadzać na dzieży, zwyczajem przyjętym na Rusi: zgorszył się tem p. Mohort, że już szlacheckiego zabyli obyczaju; poszedł na dziedziniec i zdjął z swego konia, posłał tyftek na ziemi, położył na nim tureckie siodło i rzekł: „Nie na dzieży, ale na tureckiem siodle czepi się szlachecką córę, aby ryckerskich rodziła synów“.

²⁰⁾ Jak władza hetmańska rozwijała się z przeciągiem wieków, tak też i artykuły hetmańskie, które obejmowały regulamin siły zbrojnej, stojącej pod wodzą hetmanów, rosły tylko zwolna. Początkowo rządziło się wojskiem tylko wolą książąt i królów, a praktyki wojenne przechodziły następnie w tradycje i prawa hetmańskie, gdy już nie królowie i książęta wodzili wojska za sobą. W późniejszych czasach spisywano artykuły hetmańskie, i sądzę, iż nic nie byłoby bardziej zajmującym, jak skreślenie dziejów władzy hetmańskiej: bo w Rzeczypospolitej dzierżyli właściwie tylko oni i biskupi władzę. Najwięksi też ludzie nasi dawali pastorałem tylko i buławą kierunek dziejom narodowym. Wskutek instytucji podzielona władza skupiała się tylko pod pastorałem i buławą, i tu leży podobno klucz do dziejów. Dzieje kościoła polskiego i dzieje obozów hetmańskich są właściwie dziejami narodu; po za niemi nie leży nic prócz jednej akademii krakowskiej, chociaż i ona tylko część niższego kleru stanowiła.

²¹⁾ Starożytna Polska we wszystkich swoich urządzeniach prosta i praktyczna łączyła kolej królów i hetmanów z pacierzem. P. Ksawery opowiadał mi, iż przybywszy na kresy, polecony p. Mohortowi, odmawiał z nim zawsze razem pacierze kapłańskie, po których następowało wyliczenie wszystkich koronnych i litewskich wielkich i polnych hetmanów. Codziennem powtarzaniem tak się wbijała w pamięć kolej głównych wypadków historycznych, że p. Ksawery zachował do śmierci kolej hetmanów i pamiętnych po tych buławach potrzeb.

²²⁾ Jan Klemens Branicki, hetman W. Koronny (urodzony 1690), ostatni potomek z starożytnego domu Gryfitów Branickich, był właściwie ostatnim hetmanem, który jeszcze zażywał całej powagi i władzy poprzedników swoich. Wysoce poważany w narodzie i od wojska, mieszkał w Białymstoku; umarł r. 1773, pogrzebiony dopiero dnia 20 sierpnia 1777 w Krakowie w kościele ś. Piotra, gdzie się znajduje pomnik jego i wielki obraz, przedstawiający hetmana na koniu wśród wojska w pełnej jeszcze zbroi; popiersie hetmana niezłego pędzla, to samo, które na katafalku stało, znajduje się w kapitularku katedry krakowskiej.

²³⁾ Dla praktyk religijnych mieli nasi dziadowie czasy oznaczone: i tak dawano za dusze zmarłych na nowiu każdego miesiąca, mówiąc: „Nam nowe światło świeci, a kto wie, czy duszom zmarłych świeci“.

²⁴⁾ Dzień Zmartwychwstania Pańskiego, jak jest największym w kościele, tak też i był obchodzony uczuciem obowiązku w narodzie arcykatolickim. Każdy wojskowy miał sobie za to, iż nie godzi się w dzień Zmartwychwstania Pańskiego stać przy chorągwi: przed rezurekcją tedy ciągnęła chorągiew hetmańska do hetmana, a do rotmistrzów ciągnęło na zaciąg towarzystwo; kto zaś miał komendę, stał przy niej, a z nią u grobu Pańskiego, aż się na rezurekcję odezwały dzwony. Zwyczaj zaś był powszechny od wieczerzy Pańskiej, to jest od Wielkiego Czwartku, wieczorem przez cały czas obchodu Męki Pańskiej nic nie brać do ust, aż dopiero święcone jaje po nabożeństwie we Wielką Niedzielę.

²⁵⁾ I zdjął ów pancerz, a pani Krakowska

Wniosła go za nim wraz z pięknym szyszakiem.

Mowa tu jest o p. hetmanowej Branickiej, siostrze króla Stanisława Augusta, którą pospolicie nazywano panią Krakowską, bo hetman Branicki był kasztelanem krakowskim. Była to pani bardzo podniosłego serca i może najznakomitsza osoba w rodzinie królewskiej.

²⁶⁾ Czas do domu, czas!

Zabawili nas!

Jest pieśń na Rusi śpiewana na bardzo rzewną ukraińską nutę, którą był zwyczaj śpiewać przy pożegnaniu, dziękując za gościnne podjęcie domu. Żałuję bardzo, że z tej całej pieśni doszły mnie tylko te dwa wiersze z tradycji. Pewien jednak jestem, iż są ludzie, co ją znają jeszcze; i bardzo byłbym wdzięcznym za to, gdyby mi kto przesłać raczył pieśń i melodję tej pieśni.

²⁷⁾ Wiadomo jest, że sejm czteroletni odjął hetmanom władzę, którą aż po te czasy piastowali. Reforma ta była bardzo niepopularna w całym stanie rycerskim, który w hetmanie skupienie swojej siły uważał i buławę miał za czoło swego stanu. Dla samych zaś wojskowych były te reformy zgorszeniem, a to tem bardziej, że hetmani mieli ustąpić swej władzy na rzecz Stanisława Augusta.

²⁸⁾ Wiadomość o tych czasach mam od księcia Eustachego Sanguszki, który w owym czasie z księciem Józefem przybył do ukraińskiej partji i służbą na kresach swój zawód wojskowy rozpoczął. Przybycie obudwu na Ukrainie znalazło odgłos w całym kraju, i ze wszystkich stron Polski garnęła się młodzież do służby.

²⁹⁾ Znany jest w pojęciu artystów wschodniego kościoła typ świętego Onufrego, któremu długa i rozłożysta broda za całe okrycie służy. Na Rusi jest on czczony jako patron czystych źródeł i po wielu monasterach i pustyniach można się spotkać z posagami jego, gdzie nagi, brodą tylko własną okryty w jaskini klęczący bywa i koło źródeł ku czci ludu podany. Tradycja o ptaszkach myjących w czystych źródłach oczy przed świtem, i oczyszczania się źródeł na Jura (dniu św. Jerzego), jest wzięta z podań ruskiego ludu. Martyrologium kościoła rzymskiego, to jest poczet albo dziennik Męczenników i innych wszelakich świętych w Krakowie u Piotrkowczyka 1591 roku wydane, tak o tym ś. pod dniem 12. czerwca wspomina:

W Egipcie był św. Onufrusz pustelnik, który na wielkiej pustyni 60 lat świątobliwie przeżył, i sławny wielkimi cnotami i zasługami wszedł do nieba.

³⁰⁾ Szlachcic z oracza, z rycerza oracz nie wstydził się tego, że sam skibę orze: ale kiedy orał, zatykał szablę na pierwszej odwalonej skibie, aby każdy znał: że ten orze, co tej ziemi broni. Był to zwyczaj bardzo starożytny, który się do ostatnich przechował czasów. Basztanem nazywa się na spalonym stepie z nowiny wyorany kawał ziemi, na którym się posiewa kawony, melony, kukurydzę, fasolę, ogórki.

³¹⁾ Starym obyczajem znane były wojsku krótkie i długie straże: na pierwszej stał żołnierz przez godzinę; na drugiej przez dwie — z tą tylko różnicą, że w letniej porze roku przypadały długie straże na noc, a krótkie na dzień; przeciwnie zaś w chłodnej porze roku krótkie na noc, dłuższe na dzień. Zmiana straży odbywała się o św. Michale i św. Stanisławie; kiedy dowódca

chciał ulżyć komendzie swojej, lub kiedy na czatach bardzo wielkiej czujności trzeba było, komenderował poczt na krótkie straże.

³²⁾ Jenerał Pupard był to Francuz z rodu, którego Stanisław August sprowadził i oddał mu komendę brygady dwóch pułków cudzoziemskiego autoramentu. Pojął on za żonę pannę Kamieńską, której młodsza siostra poszła za Sławińskiego; była to osoba bardzo urodziwa i w istocie rej wodząca w owych czasach w tem kole, w którem się obracało czoło rycerstwa polskiego na Ukrainie.

J. U. Niemcewicz wspomina w swoich pamiętnikach bardzo zaszczytnie o p. jenerałowej Pupardowej i jej siostrze, i o ludzkości ich dla siebie w położeniu tak trudnem, w jakim się pod ówczas znajdował.

³³⁾ Podział stad ukraińskich na hetmańskie i sułtańskie jest bardzo stary i dziś jeszcze praktykowany, z tą tylko różnicą: że stadem hetmańskiem nazywa się dziś stado Płatowa w Ukrainie zadnieprskiej, a stadem sułtańskiem nazywają konie obecnie z trzech stad sułtanów tatarskich pochodzące. P. Ksawery i książę Eustachy Sanguszkowie takie mi dał o tej rzeczy wyobrażenie: Po Firlejach przeszło stado do Scypionów, a mianowicie do Józefa, marszałka litewskiego, który miał za sobą Werenę Firlejównę, ostatnią z tego domu. Stado to było w Skalacie, gdzie i dromedary chowano. Po Wiśniowieckich i Sobieskich przeszły stada na Ukrainie puścizną do Radziwiłłów — nadto było stado Lubomirskich w Szarogrodzie — stado po Konasewiczu Sahajdaczynym koni z czarną skórą było już wówczas po wszystkich stadach rozbite, i konie z tego stada poznawano tylko po ich dzielnosci i tej czarnej skórze. Nadto mieli Tarnowscy stado hetmańskie w Kahorliku, Wasilowie i Hermanówce. Giżyccy mieli pięć stad na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, a Sanguszkowie stado w Zaslawiu od bardzo już dawnych czasów krwi sułtańskiej.

Stada dawniejsze Wiśniowieckich i Sobieskich uprowadził Płatów z dóbr Radziwiłłowskich — stado Lubomirskich rozprzedano częściami — stado Tarnowskich, gdy Jan Jacek Tarnowski, chorąży Halicki nie chciał złożyć homagium i żadnemu z synów Janowi, Feliksowi i Michałowi złożyć nie pozwolił, przeszło także w obce ręce wraz z starostwem Kahorlickiem, część wszakże jedna wraz z częścią majątku dostała się w ręce Proskurów i została dopiero za dni naszych zmarnowaną, bo jak słyszę, dzisiejszy Proskura pozbył i stada. Utrzymało się tylko stado książąt Sanguszków w dawnym miejscu i w tych samych rękach sułtańskiego zawodu, a konie Sanguszków mogą nam dać wyobrażenie, jakie to konie chowały się w stadach polskich. Książę Eustachy opowiadał mi, iż miał od p. Mohorta konia z stada Konasewicza,

zwanego Sachajdak, na którym lat 16 gorącej swojej przejeździł młodości; i lży mu stanęły w oczach, kiedym począł wypytywać o owe czasy i Mohorta — z ponurym ogniem rzekł mi: „Klucz bym dziś dał za takiego konia, ale go niema“.

Wspomniałem o orlich skrzydłach, z którymi u nóg dzielne konie się rodzą: jest to, jak się zdaje tradycja wschodnia, którą starzy Polacy przyjęli byli razem z końmi sultańskimi; tak bowiem nazywano u nas, jak się domyślam, nie tylko tureckie, „Bachmaty“ ale i arabskie „Neždy“ z pokolenia Anezów. Mówiono, że grzeszny człowiek tych skrzydeł u żrebięcia nie widzi, kiedy się rodzi, że te skrzydła obłamują się, kiedy żrebię po raz pierwszy padnie na ziemię; ztąd też od klaczy sultańskich odbierano żrebięta tak, jak się odbierają dzieci.

Druga tradycja, także jak się zdaje pochodzenia wschodniego, jest o tak zwanych wichrach czyli odwrotach, gdzie się sierść na koniu w przeciwnym odwraca kierunku od całego pomusku włosa. Starzy Polacy nazywali te wichry czyli odwroty orlem piórkiem, bo koń taki, co ma odwrot, miał mieć w sobie coś z orlego przyrodzenia. Ścisłe zachowałem te tradycje z odznaczeniem, co odwrot czyli orle piórko na głowie, na szyi i na piersiach znaczy. Odwrot za popręgiem znaczy śmierć jeźdźcowi, jeżeli w bój pójdzie. Źródła tych tradycji szukaćby wypadało jednych po za Atlasem, drugich aż w pustyniach Arabji; a jednak były one żywe w kole tych rycerzy, którzy puścizną brali rycerstwo starożytnego wschodu i konie od wschodu.

Ci, którzy stada większe chowają, wiedzą o tem, że do nich przybywają nie raz nieproszeni goście. Koń lub kilka nie raz koni, które się do stada przybijają, bywają silne, zuchwałe, natrętne, od koni bite, odbić się nie dadzą, pasą się po roku i dłużej po stronie, ale stada, które sobie obiorą, odstąpić nie chcą. Koń taki sprzedany na jarmarku, wraca, darowany, nawet o mil kilkanaście ucieka od nowego właściciela swego, nie daje się najeździć, niewiadomo co go goni i do stada nęci; ale przyjęty raz już do stada rozmnaża się, idzie ręką, i nie miewa ani gańcu, ani szwanku. To się odnosi do owych myszatyh koni, wspomnianych przy stadzie p. Mohorta.

³⁴⁾ Tradycja o futorze, „żelaznym ulem“ zwanym, odnosi się w czasy hetmana Żółkiewskiego, i jest cała wzięta z podania p. Ksawerego tak, jak ją miał od p. Mohorta. Sam tekst objaśnia rzecz całą. A zajmując byłoby rzeczą, gdyby można na Ukrainie odszukać miejsce tej starożytnej tradycji.

³⁵⁾ Pieśń gminna podziśdzień śpiewana. Twierdzą Perekopu zamknięty jest półwysep Krymu, i Perekop ten jako klucz do dziedziny hanów krymskich gra wielką rolę w tradycjach i pieśniach ukraińskiego ludu.

³⁶⁾ Przed rozpoczęciem kampanji tak zwanej pierwszej 1792 roku stał obóz wojsk polskich pod Braclawiem. Z tych czasów opowiadał mi p. Ksawery następującą historyjkę. Między nowo zaciężnymi przybyło dwóch Łaszczów, szalapatów i lekkoduchów okrótnych, którym bardzo nie na rękę była surowość p. Mohorta, który właśnie pod ten czas został mianowany oboźnym. Płatali tedy figle po obozie, ale tak zręcznie, że nie można ich było złapać na uczynku; i tak np. jednej nocy założyli wszystkie podogonia po wierzchach stodół, po soszkach; innej znowu nocy przekulbaczyli konie na przewrót, popiersnikami do ogonów, podogoniami do głowy, nareszcie wyróżnęli z kulbaki samego p. Mohorta sto dukatów, które zawsze zaszyte w terlicy miewał. To paniczowski figiel, rzekł p. Mohort, nikt z wojskowych towarzyszy nie zrobiłby tego, i poskarżył się księciu.

Księżę wziął tę rzecz bardzo ostro — znalazła się i kulbaka w gnojówkę wrzucona, i obok niej podrzucona kieszka ze stoma dukatami, bo rzeczywiście nie chodziło tym lekkoduchom, jak tylko o to, aby dowieść Mohortowi, że czujność jego nic nie pomoże. Księżę się bardzo rozgniewał i rzekł: Ja im tu ołowiem głowę zmyję i nauczę szanować starszych. Wszystkich nowo zaciężnych aresztowano i księżę rzecz wziął tak ostro, że się psota wydać musiała i nie było żartu. Widząc to p. Mohort wzniósł za młodem towarzystwem instancję, wziął wszystkich razem do spowiedzi nie wchodząc w to, kto z nich winien, a za karę musieli posłać ks. Bazyłjanom dwie beczki starego miodu.

³⁷⁾ Starzy wojskowi uważają na to, kiedy koń liga w obozie, zapowiada to bowiem zawsze marsz niezawodny.

³⁸⁾ Dzisiejsze uczone archeologiczne wywody zaprzeczyły temu, jakoby być miały kiedy strażnicze mogiły, na których stawiano czaty, z których zapalano wici, ostrzegające o przybyciu nieprzyjaciela. A p. Ksawery Krasicki i pan Kazimierz Ostaszewski mówili mi nie tylko o strażniczych mogiłach, ale i o strażniczych laskach, za ich jeszcze czasów znanych. Kiedy bowiem nieprzyjaciel nadchodził, ściągaly się czaty ze strażniczych mogił do strażniczych lasów. Czy się to dotąd zachowało? nie wiem, bo wszystko, com tu dał, mam nie z miejscowości, ale z podania.

³⁹⁾ Pan Mohort miał szablę z napisem:

Kiedy mnie ściśnie jaka ciężka trwoga,
Daj mi ratunek Rodzicielko Boga,

i nazywał ją „starą sługą Matki Boskiej“. Szable z napisami były rzeczą powszednią, a najczęściej znajdują się na nich wezwania do Matki Boskiej albo apostrofy do klejnotu szlacheckiego.

⁴⁰⁾ Jeszcze w zeszłym wieku był zwyczaj, że umarłych w otwartej trumnie niesiono do grobu. Osoby młode i w dziewictwie schodzące chowano w stroju weselnym. Na wieku trumny nieśli młodzieńcy wieniec, jakby na tacy ślubny wieniec družbowie.

⁴¹⁾ Był zwyczaj we wszystkich chorągwiach od wieków, iż z pocztu towarzyszków dobierano śpiewaków, którzy na czele jadąc śpiewali pobożne i światowe pieśni. Zwyczaj śpiewania pieśni światowych przeszedł na pułki ułańskie, a piosnka tu przytoczona była ulubioną piosnką księcia Józefa, i wojsko śpiewało ją przez cały czas Księstwa Warszawskiego.

⁴²⁾ Na wyprawie wiedeńskiej był jeden z Przezdzieckich, który później dożył starości. Gdy już ociemniał i z pokoju więcej nie wychodził, skarżył się na zimno; wpuszczono tedy piec piekarski do izby i urządzono mu niby pokoić na tym piecu, tam siedział przez dzień cały i ledwo na wielkanoc sprowadzano go schodkami na izbę. Broń wszakże swoją, zbroję całą i rząd z konia, na którym był na wiedeńskiej wyprawie, miał Przezdziecki na tym zapiecku do swej śmierci przy łożu, i każdą sztukę zbroi i rzędu obmacał codziennie dwa razy, kiedy z rana powstał i nim szedł na spoczynek.

⁴³⁾ Tradycja historyczna, o czem w Janinie.

⁴⁴⁾ Miejsowość i bitwa jest ściśle historycznie opisana.

⁴⁵⁾ I jedna wiara, mówi Paweł święty.

Ostatnie te słowa Mohorta na boryszkowskiej grobli odnoszą się do zwanej pieśni katechizmowej:

Jeden Bóg wszędzie, jeden chrzest przyjęty,
I jedna wiara, mówi Paweł święty.
Piotr z następcami jest głową w kościele,
Ta wiara sama, innych chociaż wiele
Wiatr się rachuje, w nich żaden zbawiony
Człowiek nie będzie, ale potępiony.
Bóg to objawił swym wiernym dla tego,
Iż nieomylna prawda święta Jego.

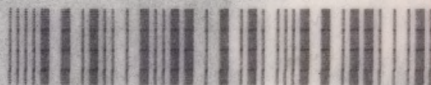


SPIS RZECZY.

	Str.
PIEŚŃ O DOMU NASZYM	3
PIEŚŃ O ZIEMI NASZEJ	84
Wstęp — Na jesieni	87
Pieśń o ziemi naszej	95
MOHORT	125
Do Edwarda Tadeusza Bielińskiego	127
Wieczory kalenickie	131

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

7578/III S



001-007580-03-0

